

Henry Oyen

Pirat z Florydy

Powieść sensacyjno_przygodowa

Tom

Całość w tomach

**Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1991**

Przekład G.N.

**Tłoczono pismem punktowym dla
niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9
Pap. kart. 140 g kl. III_Bą1
Przedruk z "Wydawnictwa
Lubelskiego",**

Lublin 1990

**Pisała Katarzyna Jurczyk.
Korekty dokonały
U. Maksimowicz
i**

I

Roger Payne zdecydował się ostatecznie. Odczekał jeszcze, aż drzwi gabinetu zamkną się za wychodzącą z pośpiechem stenotypistką, po czym bezceremonialnie zarzucił swe długie nogi na blat biurka i ryknął donośnym głosem w

**kierunku swego wspólnika
siedzącego naprzeciw niego.**

- Jim!

**Jim Tibbetts zmarszczył
gniewnie czoło. Właśnie sumował
potężną kolumnę cyfr, będącą
zestawieniem wydatków
przedsiębiorstwa, a tubalny głos
wspólnika omal nie zniweczył
tego mozolnego obrachunku.**

**Roger Payne uśmiechnął się
jednak, gdyż bardzo lubił
Tibbettsa. W przeciwnym razie
nigdy by przecież nie założył z
nim spółki i nie uruchomił
przedsiębiorstwa handlu
maszynami znanego pod firmą
"Tibbetts i Payne". Pracowali
razem od dwóch lat. Tak, dwa
lata minęły już od dnia, kiedy
instalując urządzenia
nawadniające pierwszy raz
zastosował maszynę sprzedaną mu**

przez Tibbettsa. Dla Payne'a owe dwa lata równały się niemal dwóm latom więzienia, ale obecnie podjął już decyzję.

Payne w czterech ścianach biura nie czuł się na właściwym miejscu. Po prostu nie pasował do tego otoczenia. Nawet jego smagła karnacja jaskrawo odbijała od tła. Nie była to powierzchowna opalenizna, którą każdy może zdobyć na dwutygodniowym urlopie. Ciemny koloryt jego skóry miał naturalny odcień. Widać było, że pochodził z bezpośredniego zetknięcia z wichrem i słońcem, mógł też być efektem zamieci śnieżnych albo wynikiem pieszczoty zefirów południowych.

Twarz jego była wąska, rysy ostre, a ciało szczupłe, o

**mięśniach twardych jak stal.
Nawet nieskazitelny krój
ubrania, zrobionego na
zamówienie, nie mógł zamaskować
jego mocno rozrośniętych barków.
Szeroka klatka piersiowa i
masywne ręce sprawiały, że można
było wątpić w zdolność ich
właściciela do manipulowania
maszyną do liczenia.**

**Dodajmy do tego śmiały błękit
oczu Rogera, rzucających raz po
raz nieobecne i zgoła
niekupieckie spojrzenia na
pulsujący miejskim życiem, lecz
ponury wąwóz ulicy Wabash
Avenue. Wyraz tych oczu zgoła
nie licował z człowiekiem**

interesu.

Cała jego sylwetka tak od strony fizycznej, jak i duchowej nie była w ogóle dostrojona do przedsiębiorstwa i Roger wiedział o tym doskonale. Zsunął więc nagle nogi z biurka, stanął w pełnej energii pozie na wprost Tibbettsa i wybuchnął:

- Jim! Chciałbym, żeby mi pan spłacił mój udział.

Tibbetts, zdziwiony, zamrugał oczyma. Był to mężczyzna łysy, krępy, w okularach, w obojętności uprzejmy.

- Co też pan wygaduje?

Pochylił się nad swoją pracą i zaczął na nowo sumować kolumny cyfr. Robił dodawanie z dołu do góry, po czym sprawdzał wyniki sumując w odwrotnym kierunku, ścierał gumą cyfry naniesione ołówkiem i wpisywał je ponownie

**starannie i czysto atramentem.
Wreszcie odłożył na bok
sprawdzony arkusz rachunkowy i z
rezygnacją splótł ręce.**

**- Wiedziałem, Rogerze, że
kiedyś musi do tego dojść.
Przeczuwałem to już od wielu
tygodni. Obijał się pan o te
mury jak więzień. Tam, do
diaska, Rogerze, to mnie bardzo
martwi.**

**- Jimie - odparł Roger. -
Przyzna pan chyba, że to
przedsiębiorstwo nie jest dla**

**mnie odpowiednim terenem
działania?**

- Tym niemniej jest to dobry

interes - zaprotestował łagodnie Tibbetts. - Rozwija się znakomicie, a pracujemy przecież zaledwie dwa lata. Niech się pan zastanowi, ileśmy już uzyskali i jakie mamy widoki na przyszłość. Za trzy, cztery lata możemy się stać zamożnymi ludźmi. A dlaczego powiodło się nam tak dobrze - zapytuję pana? Bowiem Roger Payne umie obchodzić się z maszynami, a Jim Tibbetts jest swego rodzaju geniuszem w zakresie sprzedaży. Naprawdę byłoby szkoda zrezygnować z tego wszystkiego.

- Dwa lata - powtórzył wolno Roger. - Proszę mi wierzyć, Jimie, że z jednej strony wydają mi się one wiecznością, z drugiej czymś nierzeczywistym. Dawniej pracowałem naprawdę. Wznosiłem mosty, zakładałem

**instalacje nawadniające,
budowałem szosy i to było życie.
A teraz?**

**- Było to zwykle marnowanie
czasu, wie pan to dobrze -
zaprotestował Tibbetts. - Ile
zaoszczędził pan w tym okresie?
Parę nędznych dolarów? A jak
stoją pana interesy teraz, po
dwóch latach pracy w naszym
przedsiębiorstwie?**

**- Tamto życie było dla mnie
synonimem wolności - odparł
Payne.**

**- Rogerze - dodał Tibbetts
niemal ze smutkiem - przecież
nie zacznie pan znowu marzyć.**

**- Nie - stwierdził Payne z
naciskiem. - Teraz dopiero się
budzę. To tak jakbym przespał te
ostatnie dwa lata, ale wreszcie
otworzyły mi się oczy. Doszedłem
do przekonania, że nie mam nic**

wspólnego ze sprawami, które stanowią tu zasadniczą treść istnienia firmy. Przecież sam pan zauważył, że miotalem się tutaj jak więzień. Bo nim byłem, a wie pan dlaczego? Bo zgubiłem

swoją drogę. Teraz ją odnalazłem, wobec czego za wszelką cenę muszę się stąd wyrwać.

- Skąd ten przymus, Rogerze?

Roger Payne wyciągnął swą ciemną, twardą pięść i pogroził nią ponurym kamiennym murem przeciwległych kamienic.

- Stamtąd, Jimie. Te mury stały mi się więzieniem.

Pojmuję, że pan czuje się tu zupełnie dobrze, ale ja nie. Muszę stąd uciekać i to jak najprędzej.

- Wy tłumaczcie mi, do diabła, dlaczego natychmiast i jak najprędzej. Zgadza się z tym, że robi się pan coraz starszy, to normalne zjawisko. Ale ileż to czasu minęło od dnia, kiedy podarowałem panu tę oto szpilkę do krawata w dniu dwudziestych siódmych urodzin? Powtarzam, dwudziestych siódmych, nie pięćdziesiątych siódmych, bo to jest dopiero wiek, w którym można sobie pozwolić na marzenia i na wycofanie się z interesów.

- Wiem o tym i właśnie chcę uciekać, zanim wchłonie mnie ten przeklęty mechanizm. Bezlitośnie wciąga on każdego, kto nie potrafi uciec w porę. Nawet mnie

by połknął. Możliwe, że po trzydziestu latach, tak jak pan mówi, mógłbym wycofać się z interesów i raz jeszcze próbować życia w lasach, ale wtedy byłoby istotnie za późno. Jimie, niech pan powie, czy nie byłoby to doprawdy żalosne widowisko, gdybym dopiero po trzydziestu latach ślęczenia przy biurku zabrał się do urzeczywistnienia snu mej młodości? Byłoby to wręcz groteskowe. Nie, muszę stąd odejść.

Zerwał się, nadał fotelowi obrotowemu nogą inny kierunek i ciągnął dalej.

- Nie dam się uwięzić. Po stokroć wolałbym już wyruszyć pieszo na Zachód i podjąć się znowu robót przy nawadnianiu

terenów, i jeździć znów z Dagosami tam i z powrotem w interesach Higginsa, niż tkwić tu i zbijać mamonę.

- Zwariowany, szalony chłopcze - mruknął Tibbetts nie chcąc się zdradzić ze wzruszeniem.

- Zgoda, Jimie. Jestem szalony. Niech i tak będzie. Tym niemniej nie zmienię swoich poglądów na tę sprawę. Musi mi pan spłacić mój udział w przedsiębiorstwie i znaleźć sobie nowego wspólnika. A ja? - Nabrał w płuca powietrza. - Ja odejdę stąd na łono przyrody, na swobodę.

- Ale co pan zamierza tam robić? Założyłbym się, że sam

pan nie wie. Czy też może ma pan już jakiś plan?

- O tak, mam. Przede wszystkim wyrwać się z miasta, skoro tylko pozalutwiam najważniejsze sprawy.

- Dokąd chce się pan udać?

- Do domu. Do Jordan City i w pierwszym rzędzie rozejrzeć się w mojej starej ojczyźnie.

- Do Jordan City? A po co? Czyżby miał pan zamiar tam utknąć?

Payne roześmiał się.

- Wcale nie mam zamiaru tam pozostać.

- Więc co dalej?

- Muszę się zastanowić, co z sobą począć. Na razie nie mam pojęcia, co zrobię. W żadnym wypadku nie będzie to zajęcie, które by mnie zmusiło do powrotu do wielkiego miasta.

Jim Tibbetts patrzył długo badawczym wzrokiem w ogorzałą twarz swego współnika, a to, co na niej wyczytał, obróciło wniwecz resztki jego nadziei.

- Widzę, że pańskie postanowienie jest niezłomne - stwierdził ze smutkiem.

- Głowa do góry, Jimie - odparł Payne. - Wie pan przecież, że mi nie zależy na pieniądzach, porozumiemy się przeto bez trudu.

Tibbetts pokiwał głową i przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu.

- Jeżeli tak się już pan

**upiera przy swoim postanowieniu
wystąpienia z firmy, to nie
odejdzie pan stąd z pustą kiesą
po dwóch latach naszej
współpracy. Czy rzeczywiście
jest pan zdecydowany rozstać się
ze mną?**

**- Tak. To byłoby dla mnie
piekło, gdybym musiał tu zostać.**

**Tibbetts chwycił w swą
delikatną, białą dłoń
wyciągniętą doń silną rękę
Roger'a i przytrzymał ją przez
moment. Po chwili wahania
powiedział:**

**- Rozumiem pana, Rogerze, to
musiało się stać.**

II

**Na urodzajnych preriach
dookoła Jordan City pasą się**

trzody rasowych wołów, które ocenić można by na tysiące sztuk. Bujne zboże osiąga tam wzrost dorosłego mężczyzny, a wypełnione po wręby spichlerze stoją przy każdym domku farmerów. Banki Jordan City mogą się pochwalić kontami swych klientów, na których figurują sumy budzące szacunek nawet w Ameryce.

Jordan City należy do starych miast. Jego dzieje sięgają początków osiedlania się w dolinie rzeki Missisipi. Wzdłuż najdawniejszych ulic biegną olbrzymie, odwieczne klony. Z wyjątkiem wyasfaltowanych szos państwowych wszystkie pozostałe drogi zabrukowane są twardymi czerwonymi ceglami. W starszych dzielnicach miasta nawet chodniki zrobione są z tych

samych cegieł, a w szparach tu i ówdzie wyrastają kępy miękkiego mchu. W obramowaniu pomarańczowych gajów i krzaków bzu stoją kamienne domostwa, w

których bogaci okoliczni farmerzy po wycofaniu się z interesów dożywają ostatnich lat.

Istnieje tam również nowsza dzielnica o domach utrzymanych w stylu hinduskich bungalów. Dookoła nich kręcą się agenci przedsiębiorstw gramofonowych. W niedzielę zaś ojcowie rodzin zasiadają uroczyście przy kierownicach swych fordów, żeby

wywieźć całą rodzinę za miasto na świeże powietrze. Bogatsi farmerzy, zamieszkujący starsze dzielnice miasta, wyruszają na wycieczki podmiejskie swymi sześciocylindrowymi maszynami.

Prezydent jordanowskiej "Bank and Trust Company" major Trimble

przyjmuje wkłady obu dzielnic miasta, kierując się w operacjach finansowych bezwzględną bezstronnością.

Wysoka wieża kościoła metodystów działa jak magnes przyciągający w niedzielę obywateli obu tych dzielnic. Następuje wymiana zdań przeważnie na tematy robót polowych, hodowli bydła i pogody. Młodzież męska ucieka zwykle do Chicago na podbój świata.

W tej farmami otoczonej oazie

spokoju wylądowała pewnego dnia wraz z południowym pociągiem poważna i czcigodna osobistość. Było to w tym samym czasie, kiedy Roger Payne powziął swą decyzję. Osobistość ta odznaczała się tuszą, była dobrze odżywiona i miała bardzo pewny siebie sposób bycia. Izaak Granger. Już samo nazwisko jak czarodziejski klucz otwierało podwoje domostw ekskluzywnych i wpływowych sfer Jordan City, decydujących zarówno o powodzeniu banku majora Trimble, jak też o popularności świątyni metodystów.

Mister Granger posiadał jeszcze moc innych zalet, dzięki którym potrafił podbijać ludzkie serca. Zgodnie z informacjami

najpoważniejszej gazety lokalnej "Jordan Record", wydawanej przez majora Trimble, przybył on do Jordan City, żeby się w tym najpiękniejszym z miast osiedlić na stałe. Ponadto uchodził on za starego przyjaciela majora Trimble. Wywodził się rzekomo z dawnego świetnego rodu, odznaczającego się zamożnością, przynajmniej tak mówił major Trimble każdemu, kto chciał go wysłuchać.

Na skutek wszystkich tych okoliczności major Trimble oczekiwał mr Grangera na dworcu. Swoim ogromnym autem zawiózł go do domu i przedstawił małżonce. Dziwne było poniekąd, że tak

stary przyjaciel majora nie znał dotychczas jego żony.

Kiedy wreszcie obaj mężczyźni znaleźli się sami w bibliotece, Izaak Granger zdjął płaszcz i zapytał:

- No, jakże się przedstawiają nasze sprawy? Czy są widoki na dobry połów? A przede wszystkim, czy zarzucił pan już sieci?

- W pierwszym rzędzie, przezacny mój gościu - odparł major, pocierając swój długi, ostry nos - pragnąłbym obejrzeć listy polecające senatora Fairclothe'a.

Przybyły uśmiechnął się i wyciągnął z portfela żądane listy. Major Trimble zbadał je szczegółowo, jak przystało na doświadczonego bankiera.

- All right - stwierdził i czekał dalszego ciągu. Mr

**Granger wręczył mu jeszcze
weksel bankowy. - All right -
powtórzył raz jeszcze bankier. -
A ponadto dziesięć procent od
wszelkich transakcji dokonanych
na tym terenie lub dzięki
pośrednictwu naszej instytucji.
- Dziesięć procent - zgodził
się mr Granger - ale poza tym
nie ponosi pan żadnej
odpowiedzialności.
- O to sam się już zatroszczę
- odparł lakonicznie major**

**Trimble, a po chwili dodał
jeszcze. - Sądzę, Granger, że
zrobi pan tu dobre interesy.
Istotnie mr Granger robił owe**

dobre interesy.

Jeszcze na długo przedtem, zanim Roger Payne sprzedał swój udział w firmie "Tibbetts i Payne", Izaak Granger dyrygował chórem w kościele metodystów, a jego małżonka, przystojna i okazała dama, przewodniczyła Stowarzyszeniu Miłośników Jordan City. Jej pozycja towarzyska była nie do zachwiania. Zanim jeszcze Roger uciekł ostatecznie z wielkiego miasta, Izaaka Grangera, a wraz z nim i całe Jordan City spotkał wyjątkowy zaszczyt i wyróżnienie.

Granger wylegitymował się listami polecającymi senatora Lafayette'a Fairclothe'a. Były one pisane na papierze listowym senatu Stanów Zjednoczonych i informowały o mianowaniu Izaaka Grangera kierownikiem oddziału

**"Prairie Highlands Association".
Prezesem tego przedsiębiorstwa
był właśnie senator Lafayette
Fairclothe. Firma ta, ciesząca
się poparciem rządu,
wyświadczała łaknącej ziemi
ludności tego rodzaju
dobrodziejstwo, że zapewniała
jej pierwszeństwo w kupnie
żywnych połaci prerii położonych
na Florydzie koło Western
Everglades.**

**Pewnego popołudnia na parę dni
przed przybyciem Rogera do
Jordan City zjawili się u
Grangera jego sąsiedzi i
przyjaciele z majorem Trimble'em
na czele z prośbą, iżby w
pierwszym rzędzie im umożliwiono
nabywanie żywnych terenów na
Florydzie. Spotkało się to z
pełnym zrozumieniem i uznaniem
Grangera.**

Major Trimble jako stary przyjaciel rodziny Rogera namawiał go, aby sam skorzystał z tej wyjątkowej okazji, i prosił, aby werbował do tego

interesu, którego Granger był przedstawicielem, jak najliczniejsze rzesze współobywateli, nakłaniając ich do udawania się na Florydę. Ostrożność podyktowała Rogerowi bezpośrednie skomunikowanie się z senatorem Fairclothe'em. Szczere i konkretne odpowiedzi, jakie otrzymał listownie od senatora, utwierdziły go w mniemaniu, że interes jest

pewny.

W słowach senator Stanów Zjednoczonych tkwi jakaś dziwna magia. Ponadto wrodzona żyłka awanturnicza, nieprzeparate dążenie do swobody i tęsknota za pierwotną przyrodą zdecydowały o tym, że Roger nabył tysiąc akrów prerii na płaskowzgórzu w górnym biegu rzeki Chokohatchee.

Musiał się błyskawicznie zdecydować, albowiem wiedział, że sam major Trimble miał chęć na ten właśnie kawał ziemi. Po uprawomocnieniu się aktu kupna Roger porozumiał się telegraficznie ze swym przyjacielem, inżynierem Higginsem, i od tego momentu wszystkie jego myśli były ściśle ukierunkowane na własny szmat ziemi na słonecznej Florydzie.

III

**Migotliwe promienie słońca
zabłysnęły nad jeziorem i
rozzłociły wysoki cypel półwyspu
Gumbo Key, zwiastując
podzwrotnikowy świt. Za chwilę
rozjaśniły się mroki dżungli
palm kokosowych i zabarwiły
purpurą biało lakierowane burty
"Good Hope". Nazwę tę nosiła
łódź wycieczkowa towarzystwa
"Paradise Garden Colony", która
przycumowana do nadbrzeżnego
pala kołysała się w wąskim
przesmyku zachodniego wybrzeża
półwyspu.**

**Roger Payne zbudził się nagle
ze snu. Po raz pierwszy oglądał**

**niezwykle widowisko wstającego
dnia w południowej Florydzie.
Widywał już najrozmaitsze świty
w swoim życiu: wyblakłe,
spopielale i hałaśliwe poranki
miast, blady, z wolna
wypełzający brzask północnej
zimy, skąpane w błękicie
przedświty w górach Zachodu, ale
jutrzenkę, która jak błyskawica
rozpalała niebo, widział po raz
pierwszy.**

**Przeleżał jeszcze chwilę na
wąskim legowisku. Wyprężył swe
muskularne ciało tak, że stopami
oparł się silnie o ścianę,
uderzając jednocześnie o
przeciwległy kraniec koi, i
zaczął się zastanawiać nad tym,
jakim cudem mężczyzna jego**

wzrostu, a więc liczący ponad sześć stóp, mógł spać w tej podobnej do trumny kajucie.

"Good Hope" przybyła tu z ostatniego portu we Flora City po całej nocy żeglugi. Na jej pokładzie znajdowali się przeważnie drobni kupcy, którzy chcieli się dostać w górę rzeki Chokohatchee, żeby dotrzeć do "Paradise Garden Colony". Teraz stateczek stał na kotwicy u ujścia rzeki i czekał na światło poranka. Roger Payne wraz z innymi płynący na statku do nowo nabytych posiadłości w górze rzeki Chokohatchee ochoczo zerwał się z posłania.

- Wstawaj, Higgins. Już dnieje.

Higgins, który dzielił z nim kajutę, mruknął coś gniewnie pod nosem. Był to młody jeszcze

człowiek, lecz zahartowany wieloletnią twardą pracą w najodleglejszych i najdzikszych zakątkach świata. Ciało miał masywne i krępe, a okrągłą głowę pokrytą rudym owłosieniem.

- Odkąd to kochasz się we wschodach słońca? - zapytał z ironią. - Lepiej idź na pokład i nasyć nim swe oczy. Moje nie odczuwają tego rodzaju pragnień. Pozwól mi spać. A może trudno ci

doczekać się chwili, kiedy ponownie ujrzysz ową młodą damę, która ubiegłego wieczora nie chciała opuścić swej kajuty?

- Daj spokój. Prawie nie

zwróciłem na nią uwagi.

- To prawda. Wcale nie zwróciłeś na nią uwagi i właśnie dlatego przypuszczam, że coś z tobą nie w porządku. Powiadam ci, wspaniała dziewczyna.

Wysoka, smukła, ruchy księżniczki i...

- Śpij dalej, Hig. Śniesz przecież na jawie.

- Masz rację, lecz sen ten jest z krwi i kości, a ty nie zwróciłeś na nią uwagi.

- Ściągnęły mnie tu interesy. Nie mam czasu na nic innego. Muszę obejrzeć wybrzeże.

- Idź sam. Niech ci wschód słońca przyświeca, a ja tymczasem odwrócę się do ściany i jeszcze trochę się prześpię.

Na wąskim nabrzeżu Payne potknął się o linę jakiejś innej łodzi przycumowanej w pobliżu

"Good Hope". Dookoła unosiła się subtelna błękitna mgła podzwrotnikowej nocy, rozjaśniona pierwszym przebłyskiem świtu. Półwysep był gęsto zadrzewiony jak dżungla. Poprzez gęstwinę wiła się dróżka wiodąca na wschodnie nadbrzeże. Dróżka była wąska i podobna do tunelu, gdyż wachlarze palm, gałęzie czerwonych limb i rosochatych dębów tworzyły łuk, z którego zwieszały się długie pasma mchu hiszpańskiego. W tej właśnie chwili czerwone promienie wschodzącego słońca muskały zwisające festony mchu sycąc je żywym cynobrem.

Payne zdążył drogą ku brzegowi i nagle odniósł wrażenie, że widzi przed sobą całkiem nowy świat. Nadchodził ranek.

Łagodna, aksamitna ciemność

**nocnego nieba ustąpiła miejsca
słabej purpurze. Z tajemnej dali
wschodu wylaniały się pasma
skąpanej w łunie świtu**

**bursztynowej ziemi. Cynobrowe i
szkarłatne płomienie wzbiły się
w górę. Na horyzoncie zaczerniły
się ciemne plamy ziemi i drzew
wyraźnie odcinających się na tle
wzmagającego się światła.**

**Z krzaków mangrowii wysunęła
się olbrzymia czapla i wzbiła
się do góry, majestatycznie
wachlując skrzydłami. Z
pobliskiego drzewa zerwał się
flaming, którego delikatna blada
czerwień daremnie starała się**

przyćmić jasność wschodzącego słońca. Żółta płetwa nadpływającego delfina przecięła ciemną morską toń. A za chwilę olbrzymia luna pokryła cały wschodni horyzont. Morze poczęło różowieć. Złoto i czerwień opanowały niebo. Obydwa kolory rozrastały się, wznosiły się wyżej i wyżej i nagle nastął nowy dzień.

W pełnym świetle poranka ujrzał Roger dwa okręty przymocowane do krótkiego mola. Jeden z nich, przepiękny jacht długości sześćdziesięciu stóp, cały śnieżnobiały, o lśniących brązowych ozdobach, czekał gotowy. W blaskach słońca błyszcząca złotymi literami jego nazwa: "Anna".

Drugi był to "Manhattan" - niski, brudny statek o długości

czterdziestu stóp. Na nim pasażerowie "Good Hope" mieli ruszyć w górę rzeki. Japoński steward w nowym białym uniformie opuścił właśnie "Annę" i zniknął w gąszczu, a za parę chwil zjawiał się z ręczną walizką zabraną z "Good Hope".

Lśniące silnym blaskiem słońce igrało w wachlarzach palm, w konarach drzew, we mchu. Zabarwiało na różowo brzeg zasypany muszlami i odsłaniało kadłub statku "Good Hope".

W ciszy poranka usłyszał Roger dobiegające od strony brzegu lekkie, szybkie kroki. Po chwili ze swego miejsca w cieniu palm ujrzał dziewczynę. Nucąc

wesoło szła ku otwartemu morzu i stanęła w świetlistym kręgu słońca. Przez moment stała olśniona. Wietrzyk poranny rozwiewał jej długie złote włosy. Lekka, biała suknia otulała jak welon jej młodą, smukłą postać. Była wysoka i niezwykle piękna.

Roger usłyszał za sobą ciężkie kroki. To Higgins stawiał się na zew poranka.

Dziewczyna przyglądała się z zachwytem cudownie rozbudzonej naturze. Wyciągnęła swe ramiona ku otwartemu morzu i rzekła głośno, niemal nabożnie:

- Kocham cię...

Roger i Higgins poczuli się jak winowajcy i starali się ukryć w cieniu palm.

**- Wszystko stracone, Rogerze -
szepnął inżynier. - W tym
wypadku zgłaszasz się za późno.
Słyszysz? Jest już zajęta.**

- Cicho, cicho.

**I w tej samej chwili z wysoka,
z gęstwiny leśnej spadła z
trzaskiem na ziemię duża gałąź
palmy kokosowej. Dziewczyna
wzdrygnęła się z przerażenia. W
jej oczach czaił się strach.
Policzki pobladły. Roger
postąpił krok naprzód oczarowany
jej widokiem. Nie rzekł ani
słowa. Wyraz jej twarzy
onieśmielał go: stał
niezdecydowany na miejscu.
Tymczasem ona odzyskała
równowagę. Wyprostowała się,
policzki jej nabrały kolorów. A
gdy dostrzegła Rogera i
rudowłosego Higginsa, uspokoiła
się całkowicie. Uśmiechnęła się.**

- Nie mieliśmy pojęcia o tym, że tygrysy i inne dzikie bestie niepokoją te strony - zachichotał Higgins. - Wystarczy jedno twoje słowo, miss, a położymy je wszystkie trupem.

Lecz ani Roger, ani dziewczyna nie słuchali jego słów. Roger spoglądał na nią w milczeniu. Chciał odpowiedzieć na jej uśmiech, ale gdy ich oczy się

spotkały, usta jego, jakkolwiek na wpół otwarte, nie zdobyły się ani na jedno słowo. Wpatrywał się w nią tylko zachłannie.

Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie do Higginsa. Gdy

jednak spojrzenie jej padło ponownie na Rogera, uśmiech znikł, a twarz jej przybrała wyraz tej samej powagi co oblicze Rogera Payne'a.

- A może natkniemy się na goryle, miss? - zażartował Higgins. Dziewczyna z wolna obróciła się ku niemu i spytała zimno:

- Dlaczego pan to mówi?

- Chętnie poluję na goryle, zwłaszcza wczesnym rankiem. To dodaje apetytu. - A gdy spostrzegł, że dziewczyna nie ma wcale ochoty do żartów, rzekł: - Gotów jestem założyć się, że ogarnął panią lęk przed dzikimi zwierzętami.

- Czy zna pan tę okolicę? - zapytała spokojnie.

- Nie, zupełnie nie.

- Czy wie pan coś o tutejszych

ludziach?

- Nie.

- Ach tak? - udała zdziwienie.

- I mówił pan o tygrysach i gorylach?

- Bardzo mi przykro, żeśmy panią nastraszyli - zaczął Roger. - Nie chcielibyśmy przeszkadzać...

- Wprost przeciwnie. Obecność panów bardzo mnie cieszy - dodała pośpiesznie. - Nie wyobrażacie sobie, jaka byłam rada, gdy obróciwszy się ujrzałam was obu, zamiast...

- Zamiast tygrysów i goryli? - dokończył Roger z uśmiechem. - Och, proszę mi wybaczyć - zawołał zmieszany, zauważywszy niezadowolenie, jakie wywołały jego słowa. - Na Boga, nie chciałem przecież pani przestraszyć. To nie do

pomyślenia, by w tych stronach żyły dzikie zwierzęta.

- Tak - odparła powoli. - Tu z

pewnością nie ma dzikich zwierząt. - Brzmiało to wyraźnie dwuznacznie. Roześmiała się. - Nie, tu stanowczo nie ma dzikich zwierząt, tylko ludzie. Z przestachu straciłam na chwilę grunt pod nogami.

- Grunt pod nogami? Czy ten, o który starają się miejscowi i zamiejscowi ludzie, miss? - zapytał Higgins, energicznie mrugając oczyma.

- Ależ Higgins - skarcił go Roger. Dziewczyna jednak

**odrzuciła głowę w tył i
roześmiała się swobodnie.
Higgins zawtórował swym
gromkim,
basowym śmiechem, a w końcu
wesołość udzieliła się także
Rogerowi. Wachlarzowate
sklepienia skąpanych w słońcu
palm podchwyciły ten śmiech i
przez wodę poniosły go aż do
przystani śnieżnobiałej "Anny".
- Przy płynęliśmy statkiem
"Good Hope" i wstaliśmy wcześniej
- tłumaczył Roger.
- Czy kupił pan tu ziemię?
- Tak, większy obszar położony
nad górnym biegiem rzeki.
- Czy wybiera się pan tam
jeszcze dzisiaj?
- Tak.
- A później, po obejrzeniu
posiadłości, wyjedzie pan jak
wszyscy inni?**

- Nie, chciałbym mój grunt przygotować pod uprawę. Chętnie będę pracował na nim, o ile rzeczywiście jest tak dobry, jak mi go przedstawiono.

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Spoważniała.

- Czy można wiedzieć, u kogo pan tę ziemię zakupił?

- Nabyłem ją od towarzystwa, na czele którego stoi senator Fairclothe.

- Od senatora? Ależ to jest przecież... - urwała nagle, a po chwili zapytała: - Jak panu tę ziemię przedstawiono?

- Jako prerie, według dołączonych planów i map. Oczywiście zadowolę się połową

obiecanych dochodów, ale nawet według tej kalkulacji lokata kapitału wydaje mi się niezwykle korzystna.

- Czy na decyzję pana wpłynęła okoliczność, że senator Fairclothe jest prezydentem towarzystwa?

- Bezsprzecznie. Jest przecież senatorem!

Zmieszana odwróciła się szybko w stronę przycumowanego jachtu, lecz mimo to nie udało jej się ukryć rumieńców, które wystąpiły na jej policzki.

- Spodziewam się, że nie dozna pan rozczarowania - rzekła po chwili.

Odgłosy rozmów dotarły aż do jachtu i zwabiły na przedni pomost wysoką, szczupłą kobietę.

W jej wielkich diamentowych kolczykach odbijało się słońce.

**- Dzień dobry, Anetko! -
zawołała.**

- Dzień dobry, cioteczko.

Wstałaś tak wcześnie?

- Wracaj na pokład, kochanie.

Zaraz odpływamy.

**Dziewczyna z ociąganiem,
niepewnym głosem zapytała:**

- Czy mister Garman?...

- Owszem. Jest już w drodze.

**Jego łódź jest do naszej
dyspozycji. Chodź, kochanie,
ranki są chłodne mimo pięknego
słońca!**

**Zanim dziewczyna wróciła do
kabiny, popatrzyła uważnie na
Rogera. Było to przelotne
spojrzenie, które Roger daremnie
starał się zgłębić. A potem
znikła. Za chwilę cichy turkot
maszyn towarzyszył oddalaniu się**

jachtu z przystani.

- "Manhattan", ahoy - rozległ się z kotłowni męski głos.

- He? - odparł mrukliwie ktoś znad brzegu. - Macie tu jeszcze trochę benzyny?

- Dostarczcie nam ją na "Manhattanie".

- All right.

Biały kadłub "Anny" parł z potężną siłą błękitną wodę.

Głęboka bruzda tysiącem drobnych fal rozpryskiwała się na wybrzeżu. Niebawem zgrabny, chyży jacht zginął za pierwszym zakrętem Chokohatchee.

Roger Payne jeszcze długo po

zniknięciu statku spoglądał na rzekę nic nie widzącymi oczyma. Był oszołomiony i równocześnie bardzo zadowolony, że wkrótce ruszy w tym samym kierunku co jacht.

IV

Pokład "Good Hope" począł się wyraźnie ożywiać. Zapachy, dochodzące z kuchni okrętowej, mieszały się ze świeżym powietrzem porannym. Głosy potężniały coraz bardziej, buty dudniły po pokładzie. Większość pasażerów wstała już i oczekiwała dnia, który zawieść ich miał do ziemi obiecanej.

Jednym z pierwszych był Granger, agent i mąż zaufania tej trzody, która w swej

łatwowierności nie znała granic. Różowy, świeżo ogolony, skromnie, lecz wytwornie ubrany, oczekiwał poranka. Natura przeznaczyła Grangera do oszukiwania ludzi. Żądza pieniędzy popchnęła go do pośredniczenia przy sprzedaży terenów w południowej Florydzie. Jego imponująca postać, umiar i opanowanie, ujmujący głos i wzbudzające zaufanie maniery złożyły się na jego nie kwestionowany kapitał.

Miał taki wpływ na ludzi, że starzy nieufni emeryci oddawali bez wahania swe majątki w jego zwinne ręce, nauczyciele wyciągali swe oszczędności. A Izaak Granger przelewał te pieniądze na konto swego towarzystwa, oczywiście po potrąceniu pokaźnej prowizji.

**Granger był zresztą tylko
jednym z wielu trybików maszyny
skonstruowanej do wyzysku**

**naiwnych, a łaknących gruntu
amerykańskich obywateli.**

**Wpływowi, chytry dyrektorzy
towarzystwa rozporządzali wielką
liczbą takich trybików.**

**Pierwsze miejsce zajmował w
tym orszaku senator Fairclothe.
Stanowił najdroższą część tej
maszyny. Trzeba było wydać wiele
pieniędzy i przeprowadzić wiele
konferencji, zanim udało się
pozyskać jego nazwisko dla
prospektów towarzystwa. Co
prawda - to się opłacało.**

"Przyszłość naszego kraju zależy od farmerów. Polecam tę lokatę kapitału wszystkim moim współobywatelom. Lafayette Fairclothe, senator Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej." Ta deklaracja miała wartość milionów. Albowiem właśnie wtedy zapanowała zwyczajka na tereny na Florydzie, a "Paradise Garden Colony", filia towarzystwa "Prairie Highlands Association" należała do owych organizacji, które wznieciły tam ów historyczny skandal, głośny nawet w Waszyngtonie. Musiała to być afera o olbrzymich rozmiarach. Takie formy przybrała ona jednak znacznie później.

Granger przywiózł swoją trzódkę z daleka. Wszyscy przybysze pochodzili z okolic

**odległych nie mniej niż tysiąc
mil od południowej Florydy.
Teraz ten różnobarwny tłum zajął
miejsca w jadalni "Good Hope".
Przeważali koloniści, ludzie
poważni, w niczym niepodobni do
turystów, którzy właśnie
wybierają się z wycieczką.
Większość stanowili ludzie
dobroduszni, zmęczeni**

monotonnym

**życiem. Mężczyźni mieli za sobą
lata ciężkiej pracy, kobiety
czasy długiego, jednostajnego
oszczędzania. Teraz nadzieja
spokojnej starości, mogącej im
wynagrodzić okres spędzony w
kieracie codziennych obowiązków,
nastrajała wszystkich wesole.**

**Byli to bądź farmerzy, bądź
drobni mieszczanie. Niektórzy
przybyli z wielkich miast,
liczniejsi z małych miasteczek i
wsi. Wszyscy jednak oddawali się
marzeniom, wszyscy ufali
obietnicom Grangera. Byli jakby
zaślepieni. W swych ojczystych
stronach może ostrożni i
przebiegli, pod wpływem
wytrawnego oszusta zmienili się
nagle w naiwne, dobroduszne
dzieci. Co przyświecało ich
myślom? Obszar ziemi w kraju
wiecznego słońca, rekordowe
żniwa bez zbytej pracy,
niezwykłe zyski przy spekulacji
gruntami - to pokusa nie mniej
silna od gorączki złota, która
coraz to nowe zastępy ściąga do
Kalifornii.**

Przy śniadaniu rozeszła się pogłoska, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego i skutkiem tego droga w górę rzeki przeciągnie się o parę godzin. Potem zaczęto szeptać o dwu, a nawet trzydniowej zwłoce. Dalsza podróż rzeką miała być niebezpieczna, ba, na razie niemożliwa. A wreszcie od ucha do ucha poczęła krążyć zwłowrózbną wieść, że należy się poważnie liczyć z trudnym do przewidzenia opóźnieniem. Granger, wciąż zajęty i bardzo niespokojny, biegał z jednego końca okrętu na drugi, marszczył czoło, przechadzał się z zaciśniętymi wargami.

- Coś nie w porządku, mr Granger?

- Nie warto o tym mówić, przyjacielu. Rychło zaradzimy

złu. Nie przejmujcie się.

- Nie mamy powodu do obaw, jak długo pan, mr Granger, troszczy się o nas.

- Och, szkoda gadać! Jesteśmy w najlepszych rękach - mówili wszyscy. - Żaden z nas nie nadawałby się do tego lepiej od niego!

Tymczasem Grangera ogarniało coraz większe podniecenie. Jego

twarz zdradzała z każdą chwilą rosnące zaniepokojenie. Po całym okręcie rozlegały się jego głośne protesty przeciw komunikatom kapitana.

- Oświadczam panu, kapitanie

Sayles, że dziś jeszcze musimy tam dopłynąć. Nie mogę rozczarować mych przyjaciół! Muszę dbać o swe dobre imię. Nigdy w życiu nie złamałem słowa, a przecież przyrzekłem im, że jeszcze dzisiaj odstawię ich do naszej kolonii.

- Szczerze nad tym boleję, mr Granger, lecz uważam to za zbyt niebezpieczne. Czy weźmie pan na siebie odpowiedzialność za życie tych ludzi? Są przecież pańskimi przyjaciółmi, nieprawdaż? - I kapitan oznajmił donośnym głosem: - Komisarz rządowy zamknął na tydzień górny bieg rzeki!

Ta zasmucająca nowina szybko rozeszła się po okręcie. Lecz Granger nie należał do ludzi, którzy od razu ustępują. Krzątał się jeszcze gorączkowo, jedna z

kobiet zauważyła nawet, że wszedł do swojej kajuty, by tam się pomodlić. Wszystkie próby spełzły jednak na niczym. Musiał się poddać. W końcu, wyraźnie walcząc z sobą zwołał wszystkich do wielkiej sali,

- Kochani ludzie, sąsiedzi, przyjaciele! Jestem niezwykle strapiony! - Potem, mimo bolesnych słów, spojrział wokół wzrokiem pełnym dostojeństwa.

- Zbyt szybko chcieliśmy osiągnąć naszą ziemię obiecaną. Nie możemy dziś płynąć ku naszym pięknym posiadłościom. Musimy się na tydzień uzbroić w cierpliwość. Rozporządzenie rządu zamknęło bowiem na ten czas rzekę dla żeglugi.

Olbrzymia praca, dzięki której "Paradise Garden Colony" chce zmienić te dzikie strony w

**prawdziwy raj, pokrzyżowała
nieco nasze plany. Otóż
niedaleko stąd, w górnym biegu**

**rzeki, towarzystwo "Colony"
buduje potężny most kolejowy.
Teraz właśnie wykańcza się w
przyspieszonym tempie linię
kolejową biegnącą w kierunku
naszej kolonii. Sami rozumiecie,
o ile więcej warte będą nasze
tereny po wybudowaniu kolei.
Ceny gruntów podskoczą
gwałtownie i każdy z nas
wzbogaci się już w najbliższym
czasie. Gdy tą częścią Ameryki
zainteresują się przemysłowcy,
my będziemy dyktować ceny, w**

naszych bowiem rękach znajdują się najważniejsze tereny. To, co zapłaciliśmy w setkach, odbierzemy w tysiącach.

Konstrukcja tego mostu wymaga olbrzymich technicznych przygotowań i właśnie z tego

powodu zatarasowano rzekę. Na całej rzece pływa teraz tak wiele rozmaitych statków, że

nawet Indianin na swym małym kajaku nie przedostałby się przez nią do żyznych obszarów

"Colony". Niestety, nie mogliśmy o tym wcześniej wiedzieć.

Oczywiście, jesteśmy zdecydowani całkiem bezpłatnie odstawić naszych członków do Flora City.

A za tydzień podejmiemy powtórnie naszą drogę w górę Chokohatchee. Nie biadajmy zbyt, kochani przyjaciele.

Czyż warto by było człowiekowi

**zdobywać świat, o ile by
równocześnie miał utracić życie?
Cały tydzień w przepięknym
podzwrotnikowym mieście! Cały
tydzień czasu, by nasycić dusze
czarem gorącej Florydy.
Przyjaciele! Sądzę, że
powinniśmy się cieszyć tym
przypadkiem.**

**- Ale jedzenie w hotelu we
Florze jest haniebne - zawołał
wychudły, starszy mężczyzna. -
Ciągle jeszcze cierpię przez
kawalek wołowiny, którą mi tam
podano. Mięso było twarde jak
podeszwa.**

**- Perkins! Proszę się
powstrzymać od podobnych,**

**bezbożnych słów. Duch "Colony",
jej członków...**

**- Jestem tego samego zdania -
przerwała mu pani Perkins. -
Przekleństwa i narzekania po
wszystkim, co mr Granger zrobił
dla nas. Doprawdy wstydzę się za
ciebie, Tomaszu Perkins!**

**- Czy nie ma pan zrozumienia
dla wyższych spraw niż jedzenie,
panie Perkins? - zapytała z
wyrzutem tęga kobieta w czerni.
- Te cuda dookoła, przepiękne
krajobrazy. Można by sądzić, że
ich widok wywiera korzystny
wpływ na każdego.**

**- Dobrze już, dobrze, pani
Caine - przerwała jej nieco
gwałtownie pani Perkins. - Niech
pani raczej myśli o swoim mężu,
o mego zatroszczę się sama. Mam
wrażenie, że nie starczy pani**

wtedy czasu na mieszanie się do cudzych spraw!

- Ależ, moje panie - mruknął Granger. - Nie chciałbym, aby przypadek, który nam się zdarzył, zakłócił naszą harmonię.

- Posłuchaj pan! - huknął jakiś gruby jegomość. - Powiada pan, że rzeka zamknięta. No, dobrze, lecz jak się ma rzecz z drogą lądową?

- Drogi przyjacielu, nie udało się jeszcze ukończyć pięknej szosy, którą tysiące gości przyjeżdżać będzie do naszej kolonii.

- Dobrze. Pójdziemy zatem pieszo aż do miejsca, gdzie się zaczyna. O ile zauważyłem, nie ma kalek na pokładzie.

- To nie takie proste do przeprowadzenia, kochany

**przyjacielu. Akurat u ujścia
rzeki znajduje się jedyna
bagnista część lądu. Jest to
wprawdzie wąskie pasmo bagna,
lecz jak długo szosy nie
zrobiono, rzeka stanowi jedyny
środek komunikacyjny, a ta jest
niestety zamknięta. Tak więc,
przyjaciele, zapomnijmy o
interesach i naszych przyszłych**

**bogactwach! Skorzystajmy z
uciech, jakie oferuje urocze
Flora City. Naszej ziemi nikt
nam nie odbierze, a jej wartość
wzrasta z dnia na dzień. Drodzy
przyjaciele, zaraz ruszamy.
Wszyscy na pokład. Z powrotem do**

Flora City!

- Diabelnie sprytne - zauważył z grymasem na ustach Higgins, który wraz z Payne'em uczestniczył w zebraniu. -

Trzeba mu przyznać, zna się na tym rzemiośle. Teraz jednak mam ochotę wystąpić naprzód i powiedzieć mu prosto w twarz, że jest bezczelnym kłamcą!

- Zaczekaj chwilę - mruknął Roger. - Nie przybyłem tutaj po to, by wywoływać skandale, lecz aby dostać się do mych gruntów.

- Oczywiście.

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że okręt ten dalej nie popłynie. A jeśli nawet Grangera nazwiemy kłamcą, to sprawie naszej wcale to nie pomoże.

- Masz rację!

- Awantura ostrzegłaby tylko

**Grangera, że wiemy o
możliwościach dalszej podróży i
że jesteśmy zdecydowani z tego
skorzystać.**

**- Chcesz zatem spróbować? Lecz
w jaki sposób?**

**- "Manhattan" wyrusza przecież
w dalszą drogę, słyszeliśmy to
na własne uszy. Nie wiem
wprawdzie kiedy, ale taki jest
jego cel. A więc i my
popłyniemy.**

**Higgins nie dawał żadnej
odpowiedzi.**

**- Widzę, że nie masz odwagi
iść ze mną.**

**- Nic nie rozumiesz - odparł
Higgins. - To jasne, że pójdę z
tobą. Zastanawiałem się tylko,
jak by się to najlepiej dało
zrobić. Masz rację. Jeśli
powiemy im, że zostajemy tutaj,
"Manhattan" nie ruszy w dalszą**

**drogę. Coś tu nie jest w
porządku. Coś kręca. Więc i my**

**powinniśmy się uciec do
oszustwa. I musimy tamtych
oszustów prześcignąć!**

**- Oszukać? Ależ po co? Mam
przecież prawo udać się dalej i
obejrzeć ziemię, w której
ulokowałem pieniądze.**

**- Naturalnie. Ale to samo
prawo ma też ta cała naiwna
gromadka na statku. A jak
widzisz, nie płyną.**

**- No, nie wiem. A gdyby tak
wszyscy oświadczyli, że nie
ustąpią?**

- Co ci się marzy? To są

biedacy zahipnotyzowani przez Grangera. Odważ się na jedno słowo przeciw "Colony", a zaczną się do ciebie odnosić jak do wyklętego.

Roger przyznał mu słuszność.

- Musimy się tak zachowywać, jakbyśmy wracali do Flora City - rozpoczął. - Kłamię niechętnie, nie leży to w mej naturze, lecz co interes, to interes. Ruszaj się, Higgins! Następna podróż za tydzień, mr Granger? Mnie tam wszystko jedno. Wycofamy się teraz do naszej kajuty, aby się trochę przespać. Spróbuj nas tylko obudzić, a zapłacisz nam za to!

Obaj młodzieńcy podążyli do swej kajuty. Roger chwycił walizę swoją i Higginsa, zamknął drzwi od wewnątrz i począł się spuszczać na dół, w miejsce,

skąd nie mógł być dostrzeżony przez tłum, który zgromadził się na dziobie statku.

- Naprzód, Higgins - zachęcał półgłosem towarzysza i przeskoczył przez barierkę. Higgins zsunął się tuż za nim. Zauważył, że Payne odwiązał łódź umocowaną poniżej "Good Hope".

- To poszło jak z płotka - szepnął wskazując do barki. - I cóż teraz?

- Musimy okrążyć krzaki mangrowii, by stracić "Good Hope" z oczu. Weź wiosło i pomagaj mi. Szybko, lecz bez hałasu.

Skuleni wiosłowali przez chwilę parę z największym wysiłkiem. Niebawem znaleźli się poza gąszczem krzaków i wpłynęli w małą, ustronną zatokę.

- Do diabła! - zaklął Higgins.

V

Na brzegu stał barczysty, starannie wygolony mężczyzna w zatłuszczonym kombinezonie i spoglądał w zaczerwienione niebo. Payne skierował spojrzenie w tę samą stronę. Wysoko między różnymi odcieniami

purpury wczesnego ranka widniało z lekka zarysowane, śnieżnobiałe pasmo. Nieraz już podziwiał czystą biel śniegu dziewiczych lasów północy, nigdy wszakże nie

wydawała mu się tak nieskalana jak dzisiaj.

Potem jednak zauważył ze zdumieniem, że pasmo się porusza i że jest to chmara gibkich ptaków, w prostej linii zdążających z zachodu na wschód. Skąpane w blaskach porannego słońca, jak widziadła unosiły się nad purpurowym morzem.

Ruchy

ich były tak zgrabne i pełne powabu, że piękność tych stworzeń wydawała się wprost nierealna. Z przechylnymi w tył cienkimi szyjami leciały z gracją niby łabędzie nad cichym jeziorem. A jednak poruszały się szybko ku jakiemuś celowi leżącemu na wschodzie gdzieś w górnym biegu rzeki.

- Przepiękne! Widok godny trudów naszej podróży.

Ku zdumieniu Rogera słowa jego wywołały lekki przestach u człowieka w kombinezonie. Gdy jednak jego wzrok odkrył mężczyzn w łodzi, uśmiechnął się do nich z ulgą swymi niebieskimi bystrymi oczami.

- Co to za ptaki? - zapytał Roger.

Twarz obcego zmieniła się znowu. Teraz przybrała wyraz

całkowitej obojętności.

- Nie widziałem żadnych ptaków. Chciałem tylko zobaczyć, czy będzie padać.

- Spójrz pan więc w tamtą stronę. Co to za ptaki?

**- A co mnie obchodzą ptaki? -
odburknął niegrzecznie
nieznajomy.**

**Roger przyjrzał mu się
badawczo. Był zdumiony.
Inteligencja widoczna na twarzy
tego człowieka stała w żywej
sprzeczności z jego odpowiedzią.
Obcy odwzajemnił spojrzenie,
zmierzył obu przybyszów
niechętnym wzrokiem i zapytał
rozdrażnionym tonem.**

- Co panowie tu robią?

- Chcemy się ukryć.

**- Hm. Przybyliście panowie
statkiem "Good Hope",
nieprawdaż?**

- Tak.

- Statek niebawem odpływa.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy.

**Nie chcemy wracać z tamtymi.
Mamy zamiar ruszyć wzdłuż
górnego biegu rzeki. Zakupiłem**

tam kawał ziemi i pragnę go obejrzeć.

- Jak pan to sobie wyobraża?

- Popłyniemy "Manhattanem".

Wiemy, że rusza dalej, i chcemy się tam za wszelką cenę dostać. Choćbyśmy nawet musieli użyć przemocy.

- Ciekawe. Należę bowiem do załogi "Manhattanu". Jestem maszynistą.

- To się świetnie składa.

Pańskie ubranie będzie dla mnie w sam raz. A może na statku przydałby się nowy maszynista? - Roześmieli się obaj.

- Przyjacielu - odezwał się nagle Higgins. - Założyłbym się, że nie należy pan do tutejszej bandy. My również nie.

Obcy zbył tę uwagę milczeniem.

- Mnie pan w błąd nie wprowadzi. Jestem o tym głęboko

przekonany.

**- Gdzie wasza ziemia? - tamten
zmienił temat.**

**- W górnym biegu rzeki. W
prerii.**

- Co? Z kim pan zawarł umowę?

**- Z towarzystwem terenowym
"Prairie Highlands Association",
którego prezydentem jest senator
Fairclothe. Czy "Manhattan"
płynie aż tak daleko?**

**- Nie. Bardzo trudno dotrzeć
do obszarów zwanych "Colony".
Nie byłem tam ani razu. A
pańskie tereny leżą jeszcze
znacznie dalej.**

- Dokąd właściwie "Manhattan"

dopływa?

- Według mapy jest to "Colony". Będziemy tam około południa.

- Moja ziemia leży w sekcji 16 i 17.

- A zatem przy źródle. Powiedz mi pan, czy zna pan tę okolicę, tutejszych ludzi i tak dalej?

- Nie. Wiem tylko tyle, że wpakowałem w te grunta moc pieniędzy i że jestem zdecydowany zobaczyć je z bliska.

Obcemu te informacje widocznie wystarczały. Rozejrzał się dookoła, czy nikt nie podsłuchuje, a następnie rzekł:

- Na przednim pomoście "Manhattanu" znajduje się mała, wolna kajuta. Teraz nie ma nikogo na pokładzie. Pośpieszcie się, jeżeli chcecie z nami

popłynąć. - Odwrócił się i znikł.

Payne i Higgins przekradli się dzunglą w kierunku "Manhattanu".

Jeden skok w wodę i już za moment chwycili się boku statku. Nikt z brzegu nie mógł ich tutaj dostrzec. W następnej chwili dostali się poprzez niewysoką barierę na pokład i wśliznęli się do niskiej kajuty poniżej steru.

- Pfu! - zawołał Higgins poczuwszy przykrą woń, która wionęła mu w twarz. - Co to? Arszenik?

- Zamknij dobrze drzwi, wszystko w porządku.

- Naprawdę dziwna droga prowadzi do twych gruntów.

- Najważniejsze, że ruszamy dalej.

- Ależ tu powietrze jak w trupiarni!

- Pst!

Poprzez szparę w drzwiach Roger zobaczył załogę wracającą na pokład. Na przodzie szedł maszynista, tuż za nim kroczył kapitan, wysoki zbir o złych oczach, a pochód zamykał na wpół nagi Mulat pozostający stale w pobliżu kapitana.

- Ci dwaj to ciężki orzech do zgryzienia. Maszynista nie należy do tego towarzystwa, to pewne.

- Mam wrażenie, że w ogóle nie pasuje do tego statku - szepnął

Higgins. - Próbuje się dostosować, ale to mu się nie udaje. Chciałbym wiedzieć, co on tu robi. Musi mieć jakiś ukryty cel.

- O, popatrz! "Good Hope" odpływa. Chyba nie zobaczymy się więcej.

Ostry gwizd dał właśnie sygnał do podniesienia kotwicy. Zawtórował mu dziwnie smutny chór nie wyszkolonych głosów, które zaintonowały entuzjastyczną pieśń. Roger przyłożył ucho do szczeliny w drzwiach i uśmiechnął się. Głos Grangera górował nad tłumem. Znał się doskonale na swym fachu. Hymnem zawracał swą posłuszną trzodę z wrót raju. We Flora City pozostawi tych ludzi na łasce losu. I zanim się potem rozjadą, po wielu nieudanych

**próbach osiągnięcia "Colony",
będzie już daleko i znów zarzuci
sidła na nowe ofiary. Tak,
trzeba przyznać, rozumiał się
świetnie na swym rzemiośle.**

**W parę minut później kadłub
"Manhattanu" ruszył w takt
łoskotu potężnych maszyn. Bez
zapowiedzi statek zaczął się
oddalać od przystani ku
głębokiemu kanałowi.**

"Manhattan"

**wziął od razu takie tempo, że
Payne i Higgins popatrzyli na
siebie zdumieni.**

**Kapitan znajdował się obok
steru ponad ich głowami, Mulat**

wałęsał się po pokładzie w pobliżu drzwi kajuty. Zabrakło im więc odwagi, by bodaj szeptem porozumieć się ze sobą, lecz każdy z nich wiedział, o co drugi chciał zapytać.

Intrygowała ich duża szybkość, zwłaszcza że rozwijał ją tak nędzny statek jak "Manhattan".

Payne od czasu do czasu rzucał spojrzenie na wodę i ziemię, które "Manhattan" zostawiał za sobą. Najpierw widział samą tylko wodę, albowiem ujście Chokohatchee przypominało raczej zatokę morską niż rzekę. W dali, po obu stronach na brzegu rosły niskie krzaki mangrowii. Ponad nimi uwijało się ptactwo wszelkiego rodzaju, spłoszone odgłosami szybko posuwającego się statku.

Wielkie, ociężałe pelikany

odrywały się z trudem od ziemi, by potem wyfrunąć wyżej z zadziwiającą chyżością; małe błękitne czaple ciągnęły w niezliczonych szeregach ku brzegowi, dzikie kaczki trzepotały się niespokojnie w powietrzu.

Nawet rzeka zaczęła się ożywiać: na powierzchni ukazał się ciemny grzbiet świni morskiej, to znów promienie słońca odbijały się w lśniących łuskach skaczącego tarpona. Zobaczyli też czerwoną rybę, która daremnie starała się ujść paszczy barrakuta; chwilę później wyleciała w powietrze rozerwana zębami potężnego rekina.

Tymczasem "Manhattan" zmienił kurs. Po ciemnej barwie wody Payne poznał, że wpłynęli we

**właściwe łóżysko rzeki. Na tej
przestrzeni szerokość
Chokohatchee wynosiła może
dwieście jardów i przez barierę**

**widać było z pokładu brzeg.
Oczom ich ukazała się ziemia tak
płaska, że tylko nieznacznie
wznosiła się nad koryto rzeki.
Zdumiewała też swą niezwykle
bujną roślinnością. Wzdłuż nurtu
ciągnęły się wielkie cyprysy,
nieprawdopodobnie grube przy
korzeniu. Pomędzy ich pniami
rosły strzeliste palmy, pleniły
się krzaki mangrowii i inne
podzwrotnikowe gatunki. Między
drobniejszymi drzewami wiło się**

kłębowisko paproci, lian i delikatnych kwiatów. Błękitne, żółte, purpurowe kielichy błyszcząły intensywnie na tle soczystej zieleni. Wybijały pnącza i szkarłatne orchidee opasywały szare konary starych dębów, z których zwisał zwiędły mech hiszpański.

Rzeka zwężała się. Na brzegu można było dostrzec pełzające żółwie. Opodal wygrzewały się krokodyle, a dzika świnia morska pluskała się między wodnymi hiacyntami. Z właściwym jej lenistwem szukała pożywienia, nie troszcząc się o krokodyle, o statek i dzikie myszołowy, wyglądające zza gałęzi cyprysów. Nagle kuropatwa spadła z głuchym odgłosem z gałęzi do wody i chociaż statek dawno już ją minął, uciekała z krzykiem,

trzepocząc skrzydłami.

VI

Przez dwie godziny posuwał się "Manhattan" wzdłuż rzeki.

Następnie zmniejszył swą szybkość. Przez uchylone drzwi Payne zauważył, że rzeka zwęża się jeszcze bardziej. W godzinę później usłyszał, że kapitan wydaje maszyniście rozkaz. Ten wysunął głowę z kotłowni, a wyraz jego twarzy zdradzał, iż polecenie go zaskoczyło.

- Co pan powiada, kapitanie?

Mam się zatrzymać przy

**"Mangrove
Point"?**

- Tak. Rozkaz bosmana.

Maszynista znikł, a statek z wolna zaczął się zbliżać do wybrzeża. Wnet gałęzie mangrowii musnęły jego kadłub i stanął w miejscu. Nad samym brzegiem, tam, gdzie krzaki tworzyły gęsty szpaler, ukazał się strumień i płynący po nim kajak, w którym siedziało dwóch dziko wyglądających mężczyzn. Kajak cicho jak wąż podsunął się do statku i zatrzymał się koło jego dziobu. Obaj mężczyźni jednym susem przeskoczyli barierę i dostali się na pokład.

- Gdzie on jest? - zapytał jeden z nich, którego twarz pokrywały straszne blizny.

- Bosman żąda, żebyśmy go

odstawili w kajdankach do Palm Island.

- Gdyby decyzja zależała ode mnie, roztrzaskałbym mu czaszkę, a następnie wrzucił do krokodylej jamy - mruknął kapitan.

- Twardy jak stal. Niełatwo przyjdzie nam go zwięzać.

- Wywołaj go. A my damy sobie już z nim radę.

Obaj mężczyźni stanęli na przednim pokładzie, kapitan i Mulat pozostali obok steru.

- Hallo, Davis! - krzyknął kapitan wyciągając pistolet. - Chodź na górę i pomóż nam!

Davis wyszedł z kotłowni, wytarł ręce o spodnie, a zobaczywszy przybyłych zrozumiał, że dał się złapać w pułapkę. Podeszedł do kapitana i zapytał:

- Co to ma znaczyć?
- Ręce do góry!
- Dlaczego, pytam.
- Sam dobrze wiesz dlaczego.

Zachciało ci się z nami płynąć aż do bagien, co? Przeklęty szpiegu! Dobrze, zabierzemy cię tam, ale tam też zostaniesz.

Człowiek o twarzy pokrytej bliznami wyciągnął z kieszeni dobrze skręcony powróż.

- Schowaj ręce, przeklęty

psie!

Davis uczynił ruch, jak gdyby zamierzał wykonać rozkaz, w rzeczywistości jednak chwycił w pól mężczyznę trzymającego

sznur i rzucił go w stronę kapitana. Manewr jego był bardzo zręczny, tak że kapitan został nagle przyciśnięty do bariery. Davis szybko odepchnął swą żywą tarczę i złapał uzbrojoną rękę kapitana. Po czym wyjął rewolwer. W tej samej chwili tamci dwaj jak wilki rzucili się na niego.

- Stop! On ma broń!

Jakkolwiek silne ramię Mulata chwyciło go za biodro, Davis tak gwałtownie skręcił przegub ręki kapitana, że rewolwer napastnika z pluskiem wpadł w wodę, a on sam potoczył się ze swymi przeciwnikami na podłogę.

- Jest silny jak niedźwiedź!

Roztrzaskajcie mu głowę!

Payne i Higgins wymienili spojrzenia. Pierwszy odezwał się Higgins.

- Czterech przeciw jednemu.

- Ruszajmy, Hig!

Payne jednym kopnięciem nogi otworzył drzwi i wdrapał się na pokład. Kapitan spojrział na niego osłupiałym wzrokiem. Rozglądał się za toporem, lecz Roger odepchnął go na bok i z rozmachem wyrzucił leżący opodal topór za burtę. Higgins też nie próżnował. Bił i kopał skłębione pod maszyną ciała i w ten sposób uwolnił Davisa. Sam jednak znalazł się w końcu na pokładzie, a cała gromada na nim. Payne pospieszył mu z pomocą. Parę chwil trwała zacięta walka, po czym wreszcie stanęli na nogi i poczęli przeciwników okładać pięściami.

- On ucieka! - krzyknął kapitan i wskazał Davisa, który przez burtę skoczył do

kajaka i po kilku zręcznych uderzeniach wiosel oddalił się od statku płynąc w stronę dżungli.

- Uciekasz? - zawołał za nim Roger.

- Nic innego mi nie pozostaje. Wytłumaczę wam później - odparł Davis i krzaki mangrowii zamknęły się za nim. Przepadł w gąszczu. Roger odwrócił się do kapitana, który pieniając się ze złości krzyknął:

- A wy skąd wzięliście się na okręcie? Coście za jedni?

- Zakupiliśmy tam w górze grunta.

- Wynoście mi się natychmiast ze statku! Tam, do diabła! - zaklął kapitan i wyciągnąwszy długi, zakrzywiony nóż podchodził z boku do Rogera z ostrzem skierowanym w jego pierś. Był zdecydowany rzucić się na niego.

Roger opierał się plecami o barierę. Nie miał wyjścia. Słyszał, że Higgins coś do niego mówi, lecz nie odwrócił nawet głowy. Oba kciuki zatknął za pas, oczy jego wpatrywały się badawczo w kapitana, jak gdyby znieruchomiały z trwogi spodziewając się ataku. W rzeczywistości jednak pełen napięcia wyczekiwał odpowiedniego momentu, by uderzyć. Jego twarz niczym nie zdradzała jednak tego zamiaru. Nagle wyciągnął lewą nogę.

Kapitan podniósł rękę, aby osłonić się przed ciosem, a zarazem zaatakować, lecz zanim zdołał ją opuścić, Roger skoczył naprzód i prawą pięścią walnął go mocno w brzuch.

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy. Załoga stała za kapitanem jakby skamieniała z przerażenia. Kapitan potknął się, kolana ugięły się pod nim, otwartymi ustami chwycił powietrze, oczy wyszły mu z orbit. Zataczając się na chwiejnych nogach przechylał się coraz bardziej, aż wreszcie upadł. Gdy ciało stuknęło głucho o pokład, jeden z marynarzy krzyknął:

- O Boże, zabito go uderzeniem

pięści!

- Nie zabito - powiedział Higgins. - Dano mu tylko nauzkę. Jeśli jednak któryś z was spróbuje sztuczek z nożem, to bądźcie pewni, że przyplaci to życiem.

- Przekłęty głupcze! - szepnął człowiek z blizną do swego towarzysza. - Dlaczego zostawiłeś strzelbę w kajaku? Jest ich przecież tylko dwóch. Dalej, na nich!

W tej chwili kapitan jęknął boleśnie.

- Może jeszcze któryś z was spróbuje? Tylko śmiało! Nie boicie się nas chyba! - krzyknął Higgins.

On i Roger stali z zaciśniętymi pięściami,

zdecydowani rzucić się na tych ludzi, gdyby ci odważyli się ich zaatakować. Załoga jednak ani drgnęła. Znowu rozległ się jęk kapitana.

- A zatem dobrze - odezwał się Roger. - Nic nie chcemy od was, chłopcy - dodał łagodniej,

- Coście za jedni?

- Powiedzieliśmy już!

- Dlaczego wmieszaliście się w bójkę?

- Bo było was czterech na jednego. Chcieliście go zabić?

- A cóż to was obchodzi?

- To nasza sprawa. Potem kolej na was.

- Dajcie mi coś pić. Umieram z pragnienia - westchnął kapitan.

- Wódki.

Jeden z mężczyzn wyjął z kieszeni flaszkę. Napój był, zdaje się, dość mocny, gdyż

natychmiast postawił kapitana na nogi. A gdy pociągnął jeszcze raz, całkiem oprzytomniał.

- Na pamięć wieloryba - roześmiał się Higgins. - Dwa łyki i nieboszczyk idzie na spacer.

Kapitan z na wpół zmrużonymi oczyma oparł się o barierę okrętu i spytał:

- Gdzie zostałem trafiony?

- Ponizej pasa.

- Bardzo krwawie?

- Nie.

- Kto do mnie strzelał?

- Nikt nie strzelał, kapitanie

- wyjaśnił mu Payne. - Trochę

za blisko podszedł pan ku mnie ze swym nożem. Nie pozostawało mi nic innego, jak pogłaskać pana w pewne miejsce. I to wszystko.

- A więc nie zostałem postrzelony! - zawołał kapitan z ulgą w głosie, po czym zbadał swój brzuch.

- Czym wobec tego on mnie tak dotkliwie ugodził, chłopcy?

Roger wyciągnął swą twardą, brązową pięść.

- Żałuję mocno, kapitanie, lecz jeśli ktoś na mnie napada z nożem, łuna staje mi przed oczami i walę z całych sił.

Człowiek o twarzy pokrytej bliznami obruszył się:

- Jeśli jesteście pomocnikami szeryfa i sądzicie, że zawrócimy z wami, to...

- Powiedziałem wam przecież,

kim jesteśmy. Nie mamy nic wspólnego z szeryfem.

Zakupiliśmy tu ziemię i chcielibyśmy ją obejrzeć. Leży w górze rzeki przy źródłach.

- Czy znacie tego człowieka, Davisa, maszynistę?

- Nie.

- Dlaczego zatem pomagaliście mu?

- Tylko dlatego stanęliśmy w jego obronie, że rzuciliście się wszyscy na niego.

- Co o nim wiecie?

- Nic. Powtarzam, on nas wcale nie obchodzi. Interesuje nas jedno, a mianowicie to, aby jak najszybciej dotrzeć do źródeł rzeki.

- Nie możemy zabrać was ze sobą.

- To samo powiedziano nam już w porcie.

Kapitan naradzał się ze swymi ludźmi. Potem zwrócił się do Rogera.

- Musicie wysiąść na ląd. My płyniemy dalej.

- Dokąd?

- Tam nie możemy was zabrać. Przyślemy wam Indianina, który odstawi was z powrotem do Gumbo Key. Zejdźcie ze statku.

- Powoli, przyjacielu. - Roger stracił cierpliwość. -

Zostajemy, rozumiano?

- Jazda z okrętu, powtarzam. Mamy diabelnie mało czasu.

Higgins kuksnął Rogera w bok.

- Przygotowałem moją starą

Betsy - szepnął.

- Zabierz się zatem do tych drabów - odrzekł Roger. - Dosyć tej zabawy. Idę wprawić maszynę w ruch. A ty przypilnuj, by jeden z nich zajął się sterem. Nikt nie może przeszkodzić mi w tym, bym z bliska obejrzał moją ziemię.

Stara Betsy był to wielki, dalekonośny pistolet, nieco zardzewiały, lecz niezwykle pewny. Właśnie Higgins wyciągnął go z tylnej kieszeni i zawołał:

- Ręce do góry, kapitanie! Zechce się pan udać na górę i zaopiekować sterem. Ma pan płynąć w górę rzeki, zrozumiano? Wszyscy inni niechaj staną przede mną w szeregu. Dosyć tych głupstw, szkoda nam na to czasu, by się z wami cackać.

Roger, schodząc do kotłowni,

zawołał ze śmiechem:

- Jesteśmy naturalnie korsarzami. Możecie nas oczywiście oskarżyć, jeżeli chcecie mieć do czynienia z sądem. Lecz po tym wszystkim, co dotychczas tu słyszałem i widziałem, sędzę, że nie pragniecie procesów. A może się mylę? Lecz teraz słuchajcie mnie, chłopcy: gdy odstawicie nas na miejsce, każdy z was dostanie pięć dolarów i kwita. No jak się na to zapatrujecie?

Kapitan patrzył na niego oczyma, w których czaił się śmiertelny strach.

- Nie zmuszajcie nas do tego -

błagał ochrypłym głosem. - Na miłość boską, wszystko, tylko nie to.

VII

Roger nie mógł ukryć zdumienia. Trwoga we wzroku kapitana była szczerą.

- Żądajcie wszystkiego, tylko nie tego. Jeśli pan to zrobi, ściągnie pan na siebie nieszczęście - rzekł kapitan.

Higgins stracił do reszty cierpliwość. Podszedł do kapitana.

- Dość tego gadania. Odnoszę wrażenie, że dotychczas mieliście do czynienia tylko z niemowlętami. Naprzód! Ująć ster! - zawołał rozkazującym

głosem. - Steruj pan prosto do celu, o ile nie chce pan mieć nieprzyjemności. Przestrzegam, że jeśli zmieni pan trasę lub inaczej wprowadzi nas w błąd, krokodyle będą miały uciechę!

- Hallo, Hig, czekaj! - Roger zauważył, że załoga statku też rozpaczliwie się wzbrania przed dalszą drogą. W miarę możliwości wolał uniknąć przemocy.

Był nowicjuszem w tym regionie, chciał się tu osiedlić i zakupionych tysiąc akrów przygotować pod uprawę. Na długi okres, aż do czasu kiedy ukończona zostanie linia kolejowa projektowana z północy, rzeka Chokohatchee będzie jedynym środkiem komunikacyjnym ze światem zewnętrznym. O tym nie wolno mu zapominać. Załoga

statku pochodziła w każdym razie z tych stron. Nie wybadał dotychczas, jakiego to pokroju byli ludzie, lecz podejrzewał ich o nabożny lęk przed prawem. I mimo ich żalosnego zachowania podczas bójki poznał w nich desperatów. Wiedział, że bagna południowej Florydy były doskonałą kryjówką indywidualów unikających światła dziennego.

Ci ludzie spędzali snadź większą część swego życia na rzece, z której i on chciał korzystać, dlatego też nie miał najmniejszej ochoty robić sobie z nich śmiertelnych wrogów.

**- Nie steruj, kapitanie -
mruknął jeden z nich.**

- Stul pysk!

**Człowiek o twarzy pokrytej
bliznami - on bowiem odezwał się
przed chwilą do kapitana -
wlepił ponury wzrok w wylot
pistoletu Higginsa.**

**- Strzelaj zatem, jeśli cię
bierze chęćka. Nie popłynę
dalej!**

**- A więc za żadne skarby nie
chcecie popłynąć?**

- Nie wolno nam!

- Poczekaj, Hig - rzekł Roger.

- Tylko bez zbytniego pośpiechu.

**- Do diabła! Musimy przecież
ruszyć z miejsca. Czy faktycznie
mamy tu utknąć przez tych
drabów?**

**- Ci ludzie nic nas nie
obchodzą. Spróbujmy z nimi
pogadać.**

- Zgoda. Jeśli sądzisz, że ty to lepiej potrafisz! - Higgins wycofał się obrażony ku barierze, nie wypuszczając jednak pistoletu z ręki. Roger zwrócił się ponownie do kapitana:

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego boicie się płynąć dalej?

- Wcale się nie boimy. Tyle tylko, że wy nas zatrzymujecie.

- Wobec tego zabierzcie nas z sobą.

- Mamy rozkaz, który nam na to nie pozwala.

- Któż wam go wydał?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- Czy chodzi o osobistość pozostającą w kontakcie z towarzystwem?

- Oszczędź pan sobie dalszego

**trudu - warknął ten z bliznami.
- Nie wydobędzie pan z nas ani
słowa, choćbyś się godzinami**

wypytywał.

**Roger rozważał coś przez
chwilę. Potem zdecydował się
ustąpić. I tak już za wiele
uciekał się dziś do przemocy.**

**- Pomówmy jak mężczyzna z
mężczyzną. Wytłumaczcie mi, o
ile może to wam zaszkodzić,
jeżeli zabierzecie nas ze sobą.
Czyż i tego wam nie wolno
powiedzieć? - spytał niemal
łagodnie.**

**Zdesperowany, słaby uśmiech
pojawił się wokół ust kapitana.**

Wystarczył za wszelką odpowiedź.

- Co się do diabła właściwie tutaj dzieje? - wybuchnął Higgins. - Nie możecie nam nawet powiedzieć, czego się lękacie?

- Pan nie wie, zdaje się, co to strach - odezwał się człowiek o twarzy pokrytej bliznami. - Lecz niech pan wierzy, że w mojej skórze nie czułby się pan wcale lepiej ode mnie.

- Czy rozumiesz coś z tego wszystkiego? - wściekał się Higgins. - A przy tym nie robią naprawdę wrażenia uczniów drżących na sam widok nauczyciela.

Porównanie to skłoniło Rogera do uśmiechu. Zwrócił się do kapitana.

- Jaka odległość dzieli nas od miejscowości, której się tak obawiacie?

- Cztery mile!
- W linii powietrznej czy wodnej?
- Wodnej.
- A jak się ma rzecz z drogą lądową?

Pod wpływem tego pytania kapitan jakby się rozluźnił. Pełne ulgi spojrzenie rzucone w stronę Rogera zdradzało, że było mu ono na rękę.

- Droga lądowa? - rozważał. - Hm, nie jest najgorsza. Nie mogę powiedzieć, że całkiem dobra, ale możliwa. Najpierw bardzo bagnista, lecz już o milę dalej brzeg znacznie się podnosi, a stamtąd prowadzi droga prosto na

miejsce.

- Doskonale. Dopłyniemy więc tylko do wzniesienia brzegów.

Tam wysiądziemy, a wy zatrzymacie się jeszcze przez pół godziny od naszego wyruszenia.

- Tego nie rozumiem.

- Nie wątpię, że jesteście uczciwi, lecz chciałbym mieć pewność. Nie wiem, czego się lękacie, nie byłoby jednak po naszej myśli, byście nas uprzedzili i tam w górze oznajmili o naszym przybyciu.

- Wspaniale! - zawołał Higgins patrząc z podziwem na Rogera.

Kapitan spojrział pytająco na człowieka z bliznami, a ten ponuro skinął głową na znak zgody i rzekł:

- All right. Ale my wrócimy do

bagien. Naprzód, Pedro!

- Nie! Nie ruszycie się z miejsca, dopóki nie wysiadziemy
- rozkazał Roger.

- Niby dlaczego?

- Davis wyświadczył nam dzisiaj rano przysługę. Chcę mu dać możliwość ucieczki. Kapitanie, proszę ująć ster. Płyniemy! Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu. Straciliśmy już dość czasu.

"Manhattan" wyswobodził się ze splątanych krzaków mangrowii, które go krępowały, i szybko popłynął w górę rzeki. Roger próbował ponownie skłonić kapitana do mówienia.

- Jedno małe wyjaśnienie, a może zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi - rozpoczął.

- Jesteśmy panu ogromnie zobowiązani - zapewnił kapitan.

A człowiek z bliznami wtrącił się:

- Nie możemy nic więcej powiedzieć!

Tak więc Roger nie doczekał się żadnych wyjaśnień. Kapitan stał z ponurą twarzą przy sterze. Skierował teraz statek na sam środek rzeki. A jego ludzie nie zdradzali większej

ochoty do pogawędki niż krokodyle wygrzewające się na brzegu. Niebawem rzeka stała się węższa, woda przybrała jaśniejszy kolor, brudny żółty odcień ustąpił miejsca blademu błękitowi.

**- Zbliżamy się do wapiennych
złóży! - krzyknął Higgins. -
Lecz ciągle jeszcze nie widzę
stałego lądu. Taką okolicę
należałoby sprzedawać na galony,
a nie na akry.**

**Wkrótce jednak krajobraz
zaczął się zmieniać. Krzaki
mangrowii przerzedziły się coraz
bardziej. Nieliczne, tu i ówdzie
rozsiane smukłe sosny strzelały
wysoko w górę ponad
podzwrotnikową roślinność
splątana u ich stóp.**

**- Oto ziemia! - zawołał Roger.
- Gdzie sosny, tam stały grunt,
choćby tylko piaszczysty.**

**- Masz rację. Zaczynam się tu
czuć jak w domu. Dżungla jest
wprawdzie ładna, ale stokroć
bardziej wolę parę prawdziwych
drzew.**

Niebawem piaszczyste okolice i

sosny znikły. Na szerokiej przestrzeni rozpościerały się znowu tereny bagniste, potem istna dżungla krzewów bzu tak gęstych, że najmniejszy promyk światła nie mógł się przez nie przedrzeć. Kosy, wielkie, ociążałe, lśniące ptaki, uwijały się w tysiącnych rojach. Na grubszych gałęziach wylegiwały się pełne wyczekiwania myszołowy.

Payne badał okolicę przez lornetkę. Potem zwrócił się do Higginsa.

- Zeskocz na brzeg i popatrz, czy prowadzi tędy jakaś droga.

- O ile mnie wzrok nie myli, ciągnie się przed nami dzika ścieżka. Możemy jednak z niej skorzystać.

Roger wyniósł z cuchnącej komórki pod sterem oba kufry i

podążył za Higginsem. A potem zwrócił się do załogi.

- Nie chcę się z wami nieprzyjaźnie rozstawać. Oto dziesięć dolarów.

Wyjawszy z kieszeni dwa banknoty pięciodolarowe, podał je kapitanowi i człowiekowi o twarzy pokrytej bliznami.

- Hallo! - zawołał jeszcze kapitan. - Spodziewam się, że nie powiecie nikomu, żeście tu z nami przyплыли.

- Nie. Jeżeli wam na tym zależy, zachowamy to w tajemnicy. Ale i wam nie wolno nas zdradzić.

- Nie powiemy ani słowa, jeśli i wy będziecie milczeć.

- Świetnie. A teraz zatrzymacie się tu pół godziny i nie starajcie się nas wyprzedzić. Liczę na to, że będziecie na tyle uczciwi. Do widzenia.

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Załoga "Manhattanu" przypatrywała się im w milczeniu, aż znikli z pola widzenia.

VIII

- Mili chłopcy, co? - odezwał się po chwili Higgins. - Ciekaw jestem tylko, w jakich okolicznościach zdobyli swe zbójckie wawrzyny. Czy ty coś z tego wszystkiego rozumiesz?

Roger zaprzeczył głową.

- Słyszałem wprawdzie, że kryje się tutaj cała banda podejrzanych indywiduów, ale nie chciałem w to wierzyć. Teraz przypadek potwierdza pogłoskę. Dostaliśmy się właśnie między nich.

- Nazwali Davisa szpiegiem. Co to ma znaczyć?

- Nie boję się o Davisa. O ile zauważyłem, umie wybrnąć z każdej sytuacji.

- I ja tak sędzę. To samo można zresztą i o tobie powiedzieć. Niewiele brakowało, a byłbyś się zaprzyjaźnił z tymi

**ludźmi, choć przecież
dołożyliśmy im zdrowo.**

**- Nie chcę mieć wrogów wzdłuż
całego biegu rzeki. Tylko przez
rzekę możemy mieć kontakt z
cywilizowanymi ośrodkami. Nie
można wiedzieć, czy ci ludzie
nie przydadzą się nam kiedyś.**

**- Racja! Poza tym jeśli chodzi
o drogę lądową, nie wprowadził
nas kapitan w błąd - odparł
Higgins przeskakując przez
głęboką kałużę. - Szlak nie jest
za dobry, ale też nie najgorszy.**

**Wąż wodny, krótki i gruby jak
męskie ramię, wysunął się z
błota właśnie w chwili, gdy
Roger zamierzał przeskoczyć.**

**- Stój! - krzyknął Higgins. -
Poczekaj, zaraz uraczę go pałką.
- Szybko zerwał grubą gałąź z
karłowatej jabłoni.**

- Mój Boże, co to za drzewo! -

zawołał z pogardą. - Lekkie jak papier.

Mimo to udało mu się podkraść blisko węża. Jednym silnym uderzeniem odrąbał od tułowia wstrętą, płaską głowę, która poleciała wprost do kałuży.

- Jestem pewny, że bagna te są pełne węży.

- Możliwe - odpowiedział Roger. - Ale moja posiadłość nie leży tutaj, tylko nad górnym biegiem rzeki.

- Tam w górze jest rzeczywiście dobra ziemia. Już znowu widać sosny.

Pół godziny później znaleźli się na otwartej przestrzeni. Na brzegu rosło parę szpilkowych drzew. W kierunku północnym i zachodnim rozciągała się preria porośnięta tylko rzadką trawą. Karłowate palmy tworzyły małe,

okrągłe wysepki. Tu i ówdzie
ponure cyprysy świadczyły o
bliskości wody. Zza
wachlarzowatych liści palm
wysunęło się kilka rogów. Trzoda
dzikich wołów, niezwykle chudych
i drobnych, podbiegła parskając
i wlepiła zdumione oczy w
intruzów, po czym uciekła czym

prędzej. Małe brązowe przepiórki
trzepotały się nad trawami. Rude
wiewiórki skakały po mchu
zwisającym z cyprysów. Wielki,
skrzeczący żuraw leciał z
rozpostartymi skrzydłami ku
rzece. Nad wodą, tam gdzie żuraw
upolował właśnie zdobycz,

zabłysły żółte oczy żbika, który szedł śladami żurawia i teraz dopiero przez niego stracił upatrzony łup. Przy pomocy lornetki dostrzegł Roger też głowę sarny wyglądającej zza drzewnej gęstwiny.

Higgins z ciekawością fachowca wyźłobił otwór w ziemi.

- Piasek, ta ziemia niewarta ani grosza.

- Ruszajmy!

Preria ciągnęła się nad rzeką zaledwie na przestrzeni jednej mili. Na wschodzie rosły karłowate jabłonie. Były niskie, ich wierzchołki nie przekraczały 15 stóp i uginały się dosłownie pod ciężarem wybujałej winnej latorośli. Dzikie wino ciasno oplatało konary drzew. Wąskie, zielone liście i delikatne blad różowe kwiaty tworzyły wraz

z gałęziami drzew dżunglę nie do przebycia.

Tę gęstwinę przecinała szeroka, nadająca się nawet do jazdy konnej ścieżka, która prowadziła wzdłuż rzeki ku otwartej prerii. Rozpościerał się stąd widok na przepiękną okolicę. Poprzez siatkę winnej latorośli przedzierały się promienie słoneczne, nasycając cienie dżungli jasnymi plamami. Ścieżka wiała się znacząc się wyraźnie świetlistym śladem. Atmosfera była duszna jak w cieplarni. Zapachy roślin podzwrotnikowych zlewały się w egzotyczną, upajającą nieokreśloną woń. Odurzała ona zmysły i ogarniała słodkim znużeniem, z którego trudno się było otrząsnąć. Prerię paliło słońce, tutaj ciężkie od

zapachów cienie wchłaniały

**promienie słońca wydzielając
obezwładniające ciepło. Ścieżka,
jako też nieliczne otwarte
miejsca pomiędzy potężnymi
pniami dawały wprawdzie
przewiew, był on jednak za
słaby, by orzeźwić powietrze.**

**Payne stanął i wyteńczył słuch,
starając się przeniknąć
tajemniczą głębię dżungli.
Higgins bezustannie badał
ziemię.**

**- Mulisty grunt, lecz nie
najgorszy. O ile twoja ziemia
jest taka sama, rychło się
wzbogacisz.**

- A czy poza tym nic nie widzisz?

- Co masz na myśli? - Higgins był mniej wrażliwy od swego przyjaciela na uroki przyrody.

- Mam wrażenie, że powietrze przesiąknięte tu jest jakąś niezwykle przyjemną wonią.

- To kwiat lotosu - odparł Higgins. - Znam się na tym dobrze. W swoim czasie w Jukatanie zostałem nieźle odurzony tym zapachem. A efekt jest taki, że człowiekowi już się nic innego nie chce, jak położyć się w cieniu drzewa z piękną kobietą u boku, która cię od czasu do czasu uraczy dobrym napojem. Mogę cię tylko przestrzec, Rog, że ten lotos to najgorsza trucizna, jeśli ma się ciężką pracę przed sobą. Hm, tak, teraz i ja go czuję. Wynika

**z tego faktu wniosek, że
jesteśmy tu, na południu
Florydy, bliżej okolic
podzwrotnikowych, niż można by
sądzić na podstawie mapy.**

- Patrz, kto nadchodzi.

**Na skrzyżowaniu ścieżki
zjawiała się młoda Murzynka. Szła
bezszelestnie, kołysząc się
leniwie w biodrach, ze
spuszczonymi oczyma, zatopiona w
marzeniach, które wyczarowały
zmysłowy uśmiech na jej grube
wargi. Znikła na drodze
prowadzącej do lepianki, a
widocznej z pewnej odległości**

między drzewami. W głębi chaty

przywitał ją donośny śmiech Murzyna, na który odpowiedziała łagodnym, wesołym śmiechem. A potem zapanowała zupełna cisza, mącona tylko świergotem ptaków kołyszących się na gałęziach.

Główna ścieżka rozwidlała się na wiele drobnych odgałęzień, które gubiły się w bujnej, oszalamiającej roślinności. Płomienne kardynały uwijały się nad głowami intruzów, małe zielone papugi skakały po pędach winnej latorośli, towarzysząc im jeszcze długo swym gwizdem. Roger, który postępował pierwszy, zatrzymał się nagle. W głębi jednej z bocznych ścieżek dostrzegł pawia. A zza jego przepysznego ogona przezierała tafla wody migocąca jak szafir w samym środku dżungli. Na czerwonym ogrodzeniu basenu

**rozzucono szerokie maty,
puszyste dywany i poduszki. W
cieniu rozłożystego drzewa pod
jedwabnym baldachimem stał
wygodny fotel. Świeża,
przezroczysta woda basenu
wypływała z czary, trzymanej
przez bachantkę z brązu, która z
odrzuconą w tył głową, na wpół
przymkniętymi oczyma spoglądała
na taflę rozlewającą się u jej
stóp. Higgins okiem znawcy
patrzył na kolorowe zdobienia
basenu.**

**- Wprost artystyczne - odezwał
się. - Cudowna inkrustacja
mozaiki i cegły! To włoska
robota. Nie dorównujemy im pod
tym względem. Tak, mój
przyjacielu, jakiś bogaty pasza
wydał moc pieniędzy, ściągnął
włoskich robotników, którzy w
samym środku dżungli wybudowali**

**mu to cacko. Pomyśl tylko -
dżungla, kwiaty, ptaki,
odurzające powietrze i basen do
pływania. Nawet sułtan nie
mógłby sobie tego lepiej
urządzić.**

**- Ruszajmy! Nie mamy czasu! -
Payne nie podzielał jego**

**zachwytu i szedł naprzód
szybkimi krokami.**

**Ścieżka skręciła ku rzece.
Nagle znaleźli się na polance.
Za chwilę ujrzeli wielką, niską
wille w stylu mauretańskim
pomalowaną na czerwono. Poniżej
lśniła woda małego jeziora
będącego zarazem źródłem**

Chokohatchee. Przy krytym pomoście spoczywał śnieżnobiały jacht. Była to "Anna".

IX

- Według map powinny się tu znajdować tereny "Paradise Garden Colony" - zauważył Roger.

- To niemożliwe - odparł Higgins. - Żyje tu bowiem jakiś nabab z kiesą pełną złota i orientalnymi upodobaniami. Dziwiłbym się bardzo, gdyby gdzieś w pobliżu rozciągała się tak zachwalana "Colony".

- Wnet się o tym przekonamy.

- Uwaga! Oto dzikie zwierzę, które chce się na ciebie rzucić.

Mały, biały piesek wybiegł właśnie z willi; jego szczekanie przypominało ćwierkanie ptaszka.

- Do nas, Nero - zachęcał Higgins.

Zza palmy wyszła piękna, smukła kobieta, którą już przedtem widzieli na jachcie.

- Flossy - zawołała tupiąc nogą, co wprowadziło w ruch długie kolczyki u jej uszu. - Pies nie gryzie.

- To dobrze - powiedział Roger. - Przestraszyłem się już nie na żarty.

- Ramos - zawołała pani. - Jacyś obcy ludzie. Chodź, Flossy.

Payne stanął nagle oko w oko z barczystym mężczyzną o śniadej cerze. Miał on zakrzywiony nos, kółka w uszach i czarny wąsik. Stanął szeroko na środku drogi prowadzącej do jeziora i mierzył intruzów leniwym, bezczelnym spojrzeniem.

**- Czy panowie szukają kogoś? -
zapytał napuszczonym tonem.**

**- Mieszaniec - zawołał
gniewnie Higgins. - Daję głowę,
że od czasu, kiedy byłem w
Meksyku, nie widziałem tak
wstrętnego typu.**

**Na wpół otwarte ciemne oczy
Ramosa zwęziły się w wąską
szczelinę. Podszedł bliżej.**

**- Jeżeli panowie nie macie tu
znajomych, radzę wam czym
prędzej się ulotnić - mruknął.**

- Naprawdę? - zapytał Roger.

**- Nie wysilaj się na
uprzejmość wobec niego - szepnął
Higgins. - Czy nie widzisz, że**

to przeklęty mieszaniec. Z drogi, Metysie!

Payne chwycił Higginsa za bary powstrzymując go od ataku. Potem zwrócił się do obcego.

- Chcielibyśmy wiedzieć, którą prowadzi droga do źródła.

- A ja powtarzam: jeśli nie macie tu znajomych, wynoście się! Im prędzej, tym lepiej.

- Chcemy się dostać do terenów wokół źródła. Tu znaleźliśmy się całkiem przypadkowo.

- Musicie zawrócić - rzekł z uporem Metys i pokazał na ścieżkę, którą przyszli. - Znikajcie, ale już!

- Nie - odrzekł powoli Payne.

- Tego nie mamy w programie. Musimy przeprowić się tamtędy.

I pokazał na błękitną wodę jeziora.

**- Zawołaj swego pana -
krzyknął Higgins. - Chcemy z nim
pogadać. - I piszczącym
dyszkantem począł wołać: - Na
pomoc! Na pomoc!**

**Zdziwiony Payne instynktownie
spojrzał na pomost. Dziewczyna,
którą o świcie spotkali w Gumbo
Key, szła właśnie ku nim z
uśmiechem na ustach i wydawało
się, że wszystko śmieje się wraz
z nią - drzewa, kwiaty, słońce.**

**- Ach, to panowie -
rozpoczęła. Ramos pochylił się z
pokorą.**

**- Czy zna pani tych ludzi,
miss?**

Dziewczyna i Roger spojrzeli na siebie. Potem ona zwróciła się energicznie do Metysa.

- Tak. Znam ich.

- Czy wolno mi prosić, miss, o nazwiska tych ludzi?

- Uważam, że jesteś zbyt ciekawy.

- Mam polecenie mrs Livingstone. Nie zna tych panów, a pragnie wiedzieć, kim są.

- Ja ich znam, to musi wystarczyć. Was, Ramosie, znam znacznie mniej. Kim pan jest właściwie?

- Jestem nadzorcą tej posiadłości, miss. Zwłaszcza pod nieobecność Garmana.

- Anetko! - starsza pani ukazała się znowu w drzwiach.

- Cioteczko - zwróciła się do niej dziewczyna stanowczo. - Chciałabym koniecznie prosić o

parę wyjaśnień. Przede wszystkim dlaczego głosi się powszechnie, że tu jest kolonia, podczas gdy w rzeczywistości znajduje się na tym obszarze zimowa posiadłość mr Garmana? Po co to wprowadzanie ludzi w błąd? I dlaczego Ramos biega stale dookoła i węszy jak pies?

- Wejść do środka, kochanie.

Zostaw obcych Ramosowi. On już sam da sobie z nimi radę.

- Dlaczego mi nie odpowiadasz, cioteczko?

- Jesteś jeszcze dzieckiem!

- Nie jestem dzieckiem. -

Głęboka czerwień pokryła policzki dziewczęcia. - I nie chcę, by mnie traktowano jak dziecko. Proszę cię, odpowiedz mi!

- Jak możesz wszczynać podobną dyskusję przy obcych?

- Przy obcych? Co za różnica. Tu nawet ty wydajesz mi się obcą, cioteczko. Nie rozumiem cię. Wszystko dookoła takie dziwne. Ojciec chciał, bym pojechała wcześniej, a teraz jestem tu taka samotna.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że także mr Garman jest ci obcy?

Anetka zaczerwieniła się po same uszy. Wszelkimi siłami zdawała się powstrzymywać od gwałtownej odpowiedzi. Szybkie spojrzenie rzucone w stronę Rogera wyrażało jakąś prośbę. Payne przyszedł jej z pomocą.

- Przykro mi, że wtargnęliśmy tutaj. Szukamy drogi do źródła i trafiliśmy tu przypadkowo. Jeśli państwo będą tak łaskawi i pokażą nam dalszą drogę, odejdziemy natychmiast.

Dziewczyna spojrzała na ciotkę, na Ramosa i w końcu opanowana już zupełnie zwróciła się do Rogera.

- Proszę za mną, panowie. - I ruszyła w stronę przystani.

- Hallo, Willy Tygrys!

Łagodny Indianin ze szczepu Seminolów, o stoickim wyrazie twarzy, którego cała postawa zadawała kłam groźnemu

nazwaniu,

wyszedł właśnie z przystani. Na widok dziewczęcia uśmiechnął się, reakcja nieczęsta u Seminolów, albowiem mężczyźni tego szczepu rzadko okazują

**radość czy ból. Uśmiechem
pragnął Willy Tygrys wyrazić, że
jest pokornym sługą swej pani.**

**- Willy, mógłbyś mi
wyświadczyć przysługę?
Chciałabym, abyś tym panom,
którzy są moimi przyjaciółmi,
pokazał drogę do źródeł
Chokohatchee. Nie zapomnij, że
czynisz to dla mnie.**

**Indianin kiwnął ze
rozumieniem głową, znikł i za
chwilę przyплыnął w długim
kajaku, w którym umieścił
ponadto swoją strzelbę i jakieś
narzędzia.**

**- Nazywam się Roger Payne -
rzekł Roger zamierzając właśnie
za Higginsem wsiąść do kajaka. -
Jestem pani bardzo wdzięczny,
miss...**

**Ona jednak po jego wymownej
pauzie nie podała swego**

nazwiska.

- Nie chciałabym panu wymieniać nazwiska, przynajmniej nie teraz - odezwała się wreszcie poważnie. - Może później, gdy obejrzy pan już teren sprzedany przez senatora Fairclothe'a. A może w ogóle nie. Bądź pan zdrow.

Roger spojrział na Ramosa, który przyglądał im się z pewnego oddalenia, i odrzekł:

- Do widzenia!

X

Higgins usadowił się naprzeciw milczącego Seminola, który na swym zwinnym kajaku prędko przepłynął jezioro i skręcił w spokojny, bardziej na północ skierowany strumyk. Indianin miał na sobie barwnie haftowaną czerwoną koszulę swego plemienia oraz długie spodnie jako jedyny dowód, że uznaje także cywilizację innej rasy.

- Jak się nazywasz? - zapytał Higgins.

- Willy Tygrys.

- Przydomek Tygrys wcale jednak do ciebie nie pasuje, mój chłopcze - to rzekłszy Higgins wyciągnął rękę za burtę kajaka, zaczerpnął wody i wylał jej pełną dłoń na głowę Indianina.

- Niniejszym chrzczę cię imieniem Willy Jagniątko. Obyś zawsze pozostał taki łagodny jak

jagnię.

**Brązowa jak mahoń twarz
Indianina skrzywiła się w
grymas.**

**- Panie, dać dobremu
Indianinowi wody ognistej -
poprosił przerywając wiosłowanie
i trąc się ręką po brzuchu. -
Willy Jagnię ma brzuch, boli
chory żołądek. Woda ognista daje
siłę i zdrowie.**

**- Woda ognista. A więc tak
nazywacie gorzałkę - mruknął
Higgins. - Nie, Jagniątko, nie
mamy nic do chłania. Jak**

**sądzisz, Rogerze, czy można mu
dać trochę tytoniu do żucia?**

- Daj mu, jeśli masz.

- Nie wybieram się nigdy bez tytoniu w okolice zamieszkiwane przez Indian.

Higgins wyciągnął z kieszeni laskę tytoniu, na widok której Indianinowi aż ślinka pociekła do ust.

- Willy - zapytał nagle Roger.

- Kto to jest mr Garman?

- Nie wiem.

- Schowaj tytoń, Higginsie.

- Garman jest wielkim bosmanem

- odrzekł szybko Indianin.

Eroka_bonus_che_mnie dać tytoń, proszę.

- Bosman czego?

Nie odwracając oczu od tytoniu, Willy zakreślił swym ramieniem duży łuk obejmujący ziemię, wodę, niebo.

- Wielki bosman całego brzegu.

Dobry tytoń. Silny!

- **Jakie on robi interesy?**
- **Nie wiem.**
- **Gdzie jest obecnie?**
- **Nie wiem.**
- **Dlaczego miałby być panem całego kraju?**
- **Nie wiem.**
- **I zrozum tu tutejszych ludzi. Willy nie wygląda jak zwyczajny Indianin, lecz pod tym względem wszyscy są do siebie podobni. Otworzył usta tylko po to, by dostać tytoń, a teraz znowu nic nie wie.**
- **Nie wiem - powtórzył monotonna Willy.**

Gdy kajak zawadził o grunt i zatrzymał się, Willy zdjął spodnie, skutkiem czego stał się tym bardziej widoczny cały przepych jego koszuli. Harmonia zestawienia kolorów rozwinięta w tak wielkim stopniu wśród

**mieszkańców okolicznych bagien
wprawiła Rogera w najwyższe
zdumienie. Odcień czerwieni
wydawał mu się tak subtelny jak
barwa flamingów. Cała koszula
była zahaftowana czerwonymi,
żółtymi, liliowymi i czarnymi**

**pasmami, a na ramionach zdobiły
ją szkarłatne kity zupełnie
podobne do epoletów. Willy
wysiadł i boso, w wysoko
podwiniętej koszuli począł pchać
kajak w górę. Opodal na mulistej
wysepce wygrzewał się wąż wodny.
Bosą nogą Indianin kopnął go
zręcznie na bok jak kawałek
drzewa. Potem zatrzymał się i**

stojąc aż po uda w płynnym mule stopami badał grunt.

**- Alpate! - zawołał. -
Krokodyl!**

Rzeczywiście już za chwilę muł poruszył się gwałtownie, a z wody wyłoniła się ciemna zwierzęca głowa. Nastąpiła krótka walka. Kilkoma uderzeniami Indianin odrzucił od siebie młodego krokodyla, potem błyskawicznie chwycił siekierę i odciął mu łeb.

Parę jardów dalej kajak znów popłynął wzdłuż dzungli paproci rozpościerających się daleko jak okiem sięgnąć.

- Co to? - zapytał Roger.

- Oho, koniec rzeki.

- Co takiego?

- Jezioro Oho. Rzeka tu się kończy. Jesteśmy na miejscu.

Roger wyjął mapę i zagłębił

się w nią.

- Gdzie znajduje się Deer Hammoc? Wzgórze Jelenia?

- Echu_Hammoc tutaj - Indianin wskazał palcem na grupkę małych palm po stronie północnej, których korony wznosiły się ponad paprocie.

- Zaprowadź nas tam!

Z trudem posuwali się wzdłuż traw. Gdy Payne wszędzie wokół zobaczył zalane grunta, ogarnęła go wściekłość. Na przestrzeni wielu mil na wschód, północ i południe ciągnęła się wodna pustynia. Tu i ówdzie drzewa tworzyły jakby małe wysepki wśród oceanu, a poza tym nic tylko beznadziejna płaszczyna wodna i błękitne niebo ponad nią.

Podczas gdy zbliżali się do

pagórka, nie zamienili ani słowa. Higgins zauważył wzburzenie Rogera, a rozumiejąc, że teraz nie pora na zbyteczne rozmowy, wbił swój przyrząd mierniczy w ziemię i niebawem wyciągnął go z powrotem.

- Spód wapienny. Ponad nim cienka warstwa mułu. Przede wszystkim dużo wody.

Paprocie rosły tu gęściej. Jedynie dzięki przesmykowi przetartemu przez inne łodzie udało im się przedostać dalej. Higgins ponownie zbadał grunt.

- Sześć stóp mułu - oświadczył. - A nad nim jedna wody.

**Po obu stronach wodnej połąci
plenila się bujna roślinność, a
woda stawała się coraz płytsza.
Indianin wspiał się na palce, by
zobaczyć, co się dzieje za
porostami.**

**- Echu - zawołał chwytając za
strzelbę. - Ojusjelen na
wzgórzu.**

**Kajak sunał bezszelestnie ku
nieznacznemu wzniesieniu terenu.
Indianin bezustannie rozsuwał na
bok trawę i rozglądał się
uważnie. Gdy znaleźli się w
odległości 50 jardów od
wzniesienia, Willy począł
strzelać. Przy trzecim strzale
zobaczyli smukłego jelenia,
który podskoczył w górę i padł z
łoskotem między palmowe zarośla,
gdzie spodziewał się znaleźć
schronienie. Dzień dobiegał
końca. Podzwrotnikowy zmierzch**

czynił krajobraz jeszcze bardziej beznadziejnym. Pastelowe chmury pędzące po niebie mieniły się różnobarwnie w gasnących promieniach słońca. Zachód kąpał się w płynnym szkarłacie, a wierzchołki drzew na małych wzniesieniach barwiły się na różowo.

Higgins i Payne zajęli się oprawianiem zabitego jelenia, podczas gdy Willy zabrał się do sporządzania indiańskiego obozu. Na najbardziej wysuniętym

pod skrawku pagórka wykopał jamę ognisko, następnie wyźłobił trzy

mniejsze otwory, które rozchodziły się z tego miejsca jak szprychy z osi koła; przy pomocy swej siekiery zrobił z gałęzi drzew legowiska tuż przy ogniu. W końcu począł wrzucać do paleniska krótkie, grube polana, podpalił je, a w trzy rowy włożył długie pnie, które końcami swymi sięgały aż do ognia. Payne i Higgins przypatrywali mu się i podziwiali jego zręczność.

- Zbrodnią jest odbierać tę ziemię tutejszym ludziom - odezwał się Higgins. - Kochają ją i wiedzą, jak tu trzeba żyć.

Roger skinął tylko głową i patrzył ciągle na wodną pustynię, przez którą się tu dostali.

- Gdzie znajdują się twe tereny? - zapytał Higgins.

Roger wskazał ręką na

**kołyszące się morze paproci i
zalane obszary na południowym
stoku pagórka.**

- Oto one!

XI

- Rozejrzemy się jutro!

**Higgins leżał wygodnie na swym
legowisku, palił fajkę i silił
się na optymizm. Na drugim
poślaniu odpoczywał Willy, który
najadł się ponad wszelką miarę
pieczonej dziczyzny. Teraz syty
i oszołomiony patrzył otępiałym
wzrokiem w ogień.**

**Payne zajął trzecie miejsce.
Wyciągnięty na plecach poprzez
wachlarze palm spoglądał na
blado świecące gwiazdy, które
rozjaśniały nocne niebo
Południa. Ognisko napelnione**

było czerwonym, nabrzmiałym od żaru popiołem. Maleńkimi płomykami tliły się w trzech rowach pnie drzew. Ilekroć główny ogień całkowicie się wypalał, przysuwał Willy te długie bale do ogniska,

dostarczając w ten sposób płomieniowi nowego pożywienia.

Od ognia rozchodziło się ciepło chroniące legowisko od wilgoci, która zwykle dawała się w tych stronach odczuć tuż po zachodzie słońca. Ponadto nie dopuszczało ono trujących oparów, podnoszących się o zmierzchu nad moczarami. Właśnie

**dzięki takim sposobom znosili
Seminoles od setek lat szkodliwy
klimat tego kraju.**

**- Może nie jest tak źle, jak
to wygląda - rozpoczął Higgins.**

**- Trzeba się tylko wszystkiemu
należycie przypatrzeć.**

**- Dziękuję, mój kochany -
odparł Roger. - optymizm jest
cudownym środkiem nasennym.**

Wiem

**o tym. Czy dziwi cię, że jestem
trochę przygnębiony? Towarzystwo
"Prairie Highlands Association"
sprzedało mi te moczary jako
dziewiczą prerię czekającą
niecierpliwie pługa, W opisach,
którymi mnie zarzucono,
wietrzyłem grubą przesadę,
dlatego przekreśliłem od razu
prawdziwość połowy informacji.
Ostatecznie cena była dość
niska. Orientowałem się też na**

tyle w tutejszych warunkach, by mimo kłamliwych map, sfalszowanych orzeczeń i wmontowanych sprytnie fotografii wiedzieć, że wokół znajduje się wiele wody. Z tego właśnie powodu zabrałem cię ze sobą. Byłem zdecydowany na odwadnianie

terenu, a ty jesteś przecież w tej dziedzinie fachowcem. Brałem w rachubę wszystko, lecz nie byłem przygotowany na to, że zastanę moczary. Nie byłbym nigdy przypuszczał, że towarzystwo zdobędzie się na taką bezczelność, aby wyłudzić ode mnie pieniądze za jeziora i bagna, zwłaszcza że mam oświadczenie senatora, i to na urzędowym papierze.

- Masz rację. I ja bym temu nie dał wiary, gdybym nie

widział. Ale może się mylisz?

Może to nie twoja ziemia?

- Nie mylę się. Sam zresztą też badałeś mapy. Mieli jeszcze tę czelność, że reklamowali całe przedsięwzięcie tym oto pagórkami. Poznałem go od razu. Na zdjęciach znajdował się on w środku urodzajnych pastwisk rozciągających się po obu stronach. A widoki miasta, które ma być w pobliżu? A szosy, groble, zagrody farmerów? A wzorowe wystawy rzekomo tutejszych produktów, jakie urządzili? Wszystko było przepiękne - żyto, trzcina

cukrowa, kartofle, pasza.

Wierzyłem tylko w połowę, ale nawet ta połowa jest kłamstwem, podłym oszustwem.

- Nie rozumiem tego wszystkiego - mruknął Higgins. - Mieli przecież z sobą rzeczoznawców, wydawali orzeczenia, na dokumentach figurują dobre nazwiska, poparli to ludzie o jak najlepszej opinii. W jaki sposób im się to udało?

- Całkiem jasne. Ci rzeczoznawcy nigdy tu nie byli - odrzekł Payne z goryczą. - Wreszcie zaczynam to rozumieć. Ci ludzie po prostu nie znają tych stron, byłiby tu przecież niepożądani. Trzymanie ich z daleka nie napotykało żadnych trudności. Rzeka stanowi tutaj jedyną drogę komunikacyjną, a tę

można zwyczajnie zamknąć, jak to właśnie uczyniono w przypadku pasażerów "Good Hope". Puścili w obieg pełno bajeczek o tutejszej ziemi, a nie znalazł się nikt, kto by je sprawdził. To znaczy, teraz jesteśmy my dwaj.

- Chciałbym się dowiedzieć, jakim sposobem udało im się nakłonić rzeczoznawców do fałszywych orzeczeń?

- Za tym wszystkim kryje się senator. Z pomocą Waszyngtonu można bowiem pewnych ludzi przekonać do różnych rzeczy, co normalnie wydawałoby się

niemożliwe. Jestem tylko

**niezmiernie ciekaw, kto miał
tyle czelności, że wrobił w to
senatora?**

- Jak to rozumieć?

**- Czy słyszałeś kiedyś o
jakimś znanym polityku, by w
podobnych interesach odgrywał
rolę większą od manekina?**

- Zdaje mi się, że masz rację.

**- Do przedsięwzięcia tej miary
potrzebne jest nazwisko
wielkiego polityka o
nieposzlakowanej opinii. Senator
Fairclothe dał się w to wplątać,
bo nie można z całą pewnością o
nim twierdzić, że jest łotrem.
Ostatecznie nie jest głupcem,
zwłaszcza w polityce. Aby zdobyć
sobie w Waszyngtonie podobną
pozycję co on i z roku na rok ją
utrzymać, trzeba być
doświadczonym politykiem. Toteż
gotów jestem się założyć, że**

**nigdy nie widział tych jezior,
które jego towarzystwo sprzedaje
jako tereny farmerskie. Nie jest
na tyle głupi, aby brać na
siebie takie ryzyko. Musiałby
się przecież liczyć z tym, że
jego polityczni przeciwnicy
dowiedzą się o tym, nieprawdaż?
Gdyby im się to udało, stanęliby
w obronie poszkodowanych
nabywców i przed następnymi
wyborami rozpoczęliby kampanię
przeciw senatorowi. Właśnie
dlatego sędzę, że Fairclothe nie
ma pojęcia, jak ten obszar
wygląda. Ktoś wpłynął na niego,
by podpisał to oświadczenie, a
zapewne też nie inaczej ma się
sprawa z rzeczoznawcami.
Zastanawiam się tylko, kim jest
człowiek, który ich wszystkich
usidłał? Albo może padli ofiarą
całej bandy łotrów? W każdym**

**razie porachuję się z nimi,
możesz mi wierzyć.**

**- Zażadasz od nich zwrotu
pieniędzy? Oddadzą ci je bez
sprzeciwu, aby cię zmusić do
milczenia.**

**- Nie. Nie zamkną mi ust,
teraz już za późno.**

**- Naturalnie. Ja też nie mam
zamiaru milczeć. To, co zrobili,
jest zbyt wielką podłością, by
im miało ujść płazem.**

- Brawo, Hig!

**Niebawem ogarnęła Higginsa
senność. Ale przed zapadnięciem
w sen zastanawiał się głośno,
jak można by wykorzystać te**

tereny.

- A gdyby tak hodowla krokodyli? Nie. Rybołówstwo? Może. Mam pomysł! Bawoły wodne!

To byłoby coś naprawdę nowego. Nie śmieję się. Może właśnie w tym tkwi szansa. Widzę już olbrzymie inseraty w gazetach. Kupujcie przepiękne obszary pełne bawołów wodnych, a wzbogaciecie się szybko. Bawoły żywią się tylko tym, co w wodzie, a tej mamy pod dostatkiem. Zgłoście się do nas i poradźcie się. - No, Rog, jakże ci się ten pomysł podoba? Założymy Towarzystwo Akcyjne. Zamieścimy wspaniałe zdjęcie autentycznego bawoła i za wysoką cenę zaczniemy sprzedawać udziały. Co z tego, że tu nie ma bawołów, skoro nie ma tu też

urodzajnej ziemi, co jednak zupełnie nie powstrzymało tych ludzi od jej sprzedania.

- Ziemia jest, ale pod wodą.

- Naturalnie. Nawet całkiem dobra ziemia.

- Można ją odwodnić.

- To nie ulega wątpliwości.

Obejrzymy sobie jutro wszystko dokładniej. Halo, Jagniątko, ogień wygasa.

Lecz Willy chrapał już głośno i równomiernie. Higgins podniósł się, rozniecił ogień i niebawem poszedł za przykładem Indianina.

Roger Payne długo jeszcze nie mógł zasnąć. Przyczyną jego bezsenności nie była zamglona i pełna gwiazd noc ani odgłosy wydry, łasicy i innych zwierząt, które buszowały pod osłoną mroku. Spoglądał ku wierzchołkom drzew, lecz zamiast gwiazd

widział głębokie oczy

dziewczęcia spotkanego tu, na tym odludziu. Czerwień na jej policzkach, dumne odrzucenie głowy, gdy wystąpiła przeciw ciotce, by pomóc dwóm obcym, prawie nie znanym przybyszom - oto szczegóły, które spędzały sen z jego powiek.

Payne wiele podróżował i czas swój przeważnie poświęcał pracy. Jeśli chodzi o kobiety, głęboko nie kochał jeszcze ani razu.

Teraz leżąc na twardym posłaniu, pod gołym niebem, coraz bardziej przekonany, jak chybiona była jego transakcja, dziwił się, że

nie odczuwa wcale przygnębienia ani rozczarowania. Jak miał to sobie tłumaczyć?

Tym razem postawił na złą kartę. To było jasne. Miał jednak na tyle kupieckiego rozeznania, żeby wiedzieć, że zrobiłby najlepiej gdyby wycofał się z tego przedsięwzięcia z możliwie najmniejszą stratą. Jego awanturnicza natura nieraz go już porywała do eksperymentów, które pociągały za sobą straty. Nigdy jednak nie żałował swych pomyłek. Umiał zawsze nad nimi przejść do porządku dziennego, a wzbogaciwszy się o nowe doświadczenie zabierał się do jeszcze trudniejszej pracy. W obliczu obecnego rozczarowania powinien zrobić to samo, uważając, że znacznie lepiej

stracić włożony kapitał, niż dać się przezeń ujarzmić i czas, zawsze drogi, poświęcić sprawie wątpliwej, jeśli nie całkiem beznadziejnej.

Gdy jednak przypominał sobie sylwetkę dziewczyny, jej oczy i głos, przeczuł, że w tym wypadku nie zdecyduje się działać tak, jak powinien. Doszedłszy do tego wniosku, zamknął powieki i po paru chwilach zasnął.

Wczesnym rankiem Roger z Higginsem wypłynęli kajakiem Willy'ego, by obejrzeć owe tysiąc akrów ziemi zakupionej

przez Rogera.

- Pagórek stanowi północno_wschodnią krawędź obszarów "Prairie Highlands Association" - wyjaśnił Roger pochylony nad mapą. - Czy widzisz gdzieś lasek sosnowy?

- Tak, na zachodzie majączy coś w tym rodzaju.

Payne skierował lornetkę na zachód i skinął głową.

- Rzeczywiście, są drzewa. Południowa linia ciągnie się aż do dwóch cyprysów o niezwykłych rozmiarach. Zgadza się. Teraz widzę je całkiem dokładnie. Skierujmy się najpierw w tamtą stronę.

W połowie drogi kajak wbił się tak mocno w ziemię, że dalszą część musieli odbyć pieszo brnąc po kolana w wodzie.

- W przypadku linii granicznej są przynajmniej ucziwi -

odezwał się Roger, gdy znaleźli się w pobliżu drzew. - Nie powiedzieli jednak ani słowa, że cyprysy znajdują się w środku beznadziejnych moczarów.

- Na pamięć wieloryba, co za kraj - mruczał Higgins obejmując wzrokiem gęsto zarośnięte mokradła. - Najlepsza kryjówka dla złoczyńców. Przypuszczam, że to to samo bagno, w którym wczoraj znikł nasz przyjaciel Davis. Czy zauważyłeś, że leży głębiej niż jezioro?

- Naturalnie.

- Kanał przeprowadzony przez moczary odwodniłby prawdopodobnie twoją ziemię. Należałoby oczywiście wykopać głęboki rów, lecz dla tysiąca akrów to by się opłacało. Zastanowimy się jeszcze nad tym.

Payne, nie dawszy żadnej

odpowiedzi, podążył pierwszy w stronę kajaka i zaczął wiosłować ku sosnom.

- Nie ma tu tak wiele wody, jak sobie wyobrażaliśmy - zauważył Higgins, gdy łódź była już w pełnym biegu. - Tylko środek znajduje się głęboko pod

wodą. Chciałbym wiedzieć, jak wygląda dno. - To rzekłszy Higgins próbował wbić swe wiosło w ziemię.

- Do diabła! - zaklął, bo wiosło z łatwością ugrzęzło w mule. Higgins pchnął je na głębokość trzech stóp w głąb gruntu, następnie wyciągnął z

powrotem i zaczął badać ślady.

- Czarny muł na głębokości trzech stóp, a do dna ciągle jeszcze nie dotarłem.

Raz po raz ponawiali swe próby, ciągle z tym samym rezultatem. Pokłady mułu dochodziły do głębokości pięciu stóp i były czarne jak torf. Im bardziej na zachód, tym woda stawała się płytsza, wreszcie ustąpiła całkowicie wyschniętym terenom. Obszary te były tak gęsto porośnięte paprocią, że z trudem tylko można się było przez nie przedostać. Niebawem skończyły się paprocie, a w odległości ostatnich stu jardów rozpościerał się wyżej położony i całkiem już suchy grunt. Wschodnią krawędź rozległej prerii, którą zauważyli jeszcze podczas marszu w górę, porastały

sosny. Popłynęli teraz w kierunku pagórka. Roger zatrzymywał się jeszcze parę razy badając uważnie teren. Północna strona była silniej zadrzewiona. Dokładniejsza obserwacja wykazała, że znajduje się tam istna dżungla krzaków bzu tak gęstych, że człowiek tylko z trudem mógłby się przez nie przedostać.

Natrafili tu na ziemię wyżej położoną i bardziej suchą. Pokrywał ją czarny muł tego samego koloru i grubości jak na zalanych obszarach. Roger w milczeniu począł wiosłować z powrotem do Wzgórza Jelenia. Tuż przed wylądowaniem z wymownym gestem rzucił wiosło o ziemię.

- A zatem, Higgins?

- Już wiem. To wzniesienie na północy ułatwia odprowadzenie

wody. Stąd woda spływa na tereny niżej położone, dlatego to bagno.

- Rozumiem. Ale trzeba będzie dla tej wody znaleźć odpływ do rzeki.

- Świetnie. Twoja ziemia nadaje się do odwodnienia. Będzie to tylko diabelnie dużo kosztowało. A część północna, porośnięta bzem, też by się przydała.

- Zupełna racja. Dlatego jest ważne, bym sobie i tę część zarezerwował.

- Aha. Do kogo należą te tereny?

- Nie do tych oszustów z "Prairie Highlands Association", lecz do "Southern Cypress Company". Ci mają tu tak rozległe posiadłości, że zapewne w ogóle nie wiedzą, jak ta część wygląda. Teraz jednak czas pomyśleć o śniadaniu, a potem trzeba się rozejrzeć za możliwością nadania telegramu. Dokupię ten obszar i wtedy moglibyśmy od razu zabrać się do pracy.

Od strony pagórka doleciał do nich głos.

- Pospieszcie się! Inaczej nic ze śniadania nie zostanie!

Roger wysiadł z kajaka i zbliżył się do ogniska, przy którym siedziało teraz dwóch mężczyzn. Jeden z nich na jego widok podniósł się. Roger natychmiast rozpoznał w nim

Ramosa. Potem zauważył Willy'ego leżącego jak kłoda na jednym z legowisk. Roger zmierzył spojrzeniem człowieka, który przed chwilą przywoływał go na śniadanie, a teraz nie ruszał się z miejsca i odezwał się:

- Nazywam się Payne.

Przypuszczam, że mam przed sobą mr Garmana.

XII

- Słusznie. - Obcy mężczyzna

zajadał ze smakiem kawał mięsa i nie podniósł nawet oczu. -

Jestem Garman.

Niebawem zakończył posiłek i wytarł jedwabną chusteczką swe zwisające, żółte wąsy. Podczas tej czynności załśniły na jego palcach dwa wielkie diamenty. Spod krzaczastych brwi spoglądał teraz wnikliwie na Rogera.

Skulony przy ognisku Garman robił wrażenie człowieka ociężałego. Ostro zarysowana, wielka głowa pasowała do potężnego ciała. Głowa ta wydawała się prawie kwadratowa, a to skutkiem wystających kości policzkowych, wysokiego czoła i płaskiej tylnej części czaszki. Natomiast policzki miał różowe i zaokrąglone. Grzbiet ręki, którą powoli przesuwał chusteczkę po pełnych czerwonych wargach, porastał aż do paznokci żółty meszek, natomiast wewnętrzna

część dłoni była obnażona jak łapy goryla.

- A więc, Payne - rozpoczął Garman otwierając szeroko usta i ukazując spod wąsów swe śnieżnobiałe uzębienie. - Podoba mi się pan. Słuszny wzrost, mniej więcej taki jak mój, gdy miałem osiemnaście lat.

Higgins chwycił Willy'ego za bary i obrócił go twarzą ku sobie.

- Mój Boże! - zawołał wskazując nabrzmiałą twarz Indianina, w której oczy wyłaziły niemal z orbit. - Zadusili biedaka na śmierć. Ty nędzny, podły mieszańcze! - ryknął w stronę Ramosa. - Indianin był poczciwym chłopcem i jeśliś go uśmiercił, rozprawię się z tobą.

- Chwileczkę - zatrzymał go

Roger. - Na szyi nie ma przecież śladów przemocy.

- Ale spójrz na twarz!

Roger pochylił się nad Indianinem i począł nad słuchiwać, czy bije mu serce.

- Żyje - stwierdził.

- Żyje? - zapytał drwiąco

Garman. - To zapewne bardzo ważne dla Willy'ego Tygrysa.

- Hig, daj szybko wody. Skrop mu nią twarz. Czy oddycha?

- Zdaje mi się, że tak.

Wyciągnij język, by ułatwić mu dostęp powietrza!

- Przynieś jeszcze wody. On oddycha...

- Hallo, Willy! - krzyknął Higgins zlewając wodą wykrzywioną twarz Indianina.

Tygrys powoli odzyskiwał przytomność. Gwałtowne dreszcze wstrząsnęły jego klatką piersiową. Płuca wciągały łapczywie powietrze, które z trudem przedostawało się przez nabrzmiałą krtani. Wreszcie Willy począł oddychać.

- Na pamięć wieloryba, wraca do sił! - zawołał Higgins. - Lecz człowiek, który mu tę krzywdę wyrządził, zapłaci za to.

Garman nasycił się wreszcie pieczeniem. Teraz wetknął do ust wielkie brązowe cygaro, zapalił je ostrożnie przykładając doń kilkakrotnie zapalnik. Zaciągnął się głęboko, następnie wypuścił dym, który rozszedł się przed

jego na wpół zmrużonymi oczyma.

- Willy cierpi na ataki duszności - rozpoczął z wolna. - Ma zbyt wrażliwe sumienie. Ataki te powracają stale, ilekroć popełnia błąd.

- Dusiliście go - stwierdził Roger szorstko. - Dusiliście go w taki sposób, który nie pozostawia śladów. Jeszcze trochę i byłby na pewno skonał.

Garman skinął głową spoza kłębow dymu.

- Tak, w przeciągu pięciu minut. Może wcześniej. Myślałem, że już nie żyje. Pewnego dnia przyplaci taki atak życiem, o ile dalej będzie robił głupstwa.

Z ust Indianina wydobyło się westchnienie, jak gdyby się podświadomie bronił przed bolesnym powrotem do życia.

**Tymczasem Garman, jak
prawdziwy
smakosz, rozkoszował się swym
cygarem. Poświęcał mu całą
uwagę, podczas gdy Ramos
przypatrywał się Indianinowi ze
złośliwym uśmiechem**

**zdradzającym
radość z powodu cierpień swej
ofiary.**

**Oddech Indianina stawał się
coraz spokojniejszy. Leżał
jeszcze chwilę bez ruchu,
następnie otworzył oczy.
Higgins, który zwykle umiał kryć
swe wzruszenia, zerwał się z
miejsca. W oczach Willy'ego
widoczne było bezgraniczne**

rozczarowanie.

Roger zagryzł usta i położył dłoń na ramieniu chłopca, jakby chcąc go uspokoić. Skurcz przebiegł po twarzy Willy'ego, niebawem wróciła mu świadomość. Wstał, rozejrzał się przerażonym wzrokiem dookoła i wtedy zobaczył Garmana. Na jego widok upadł znowu. Skurczył się, jak gdyby zamierzał zapaść się pod ziemię, jak gdyby wolał to aniżeli niewysłowny strach. Wszystko to nie wywarło na Garmanie wrażenia. Ciężki dym cygara unosił się w górę tworząc gęste kółka nad jego głową. Osoba Willy'ego jak gdyby w ogóle dla niego nie istniała. Roger zrozumiał, że Garman chciał przez Ramosa usunąć Willy'ego.

Teraz zastanawiał się

**niechybnie nad tym, jak mógłby
załatwić się z Payne'em i
Higginsem. Z jego sposobu
mówienia, milczenia, nawet
siedzenia przebijała niezwykła
pewność siebie. Ani na chwilę
nie ulegało dla niego
najmniejszej wątpliwości, że
potrafi się z nimi oboma
rozprawić . Chodziło mu tylko o
sposób, który w danej chwili
byłby najodpowiedniejszy. Roger
usiadł. I on starał się
zignorować obecność Garmana.
Wziął kawał dziczyzny i zaczął
jeść. Higgins poszedł niebawem w**

jego ślady.

Ktoś patrzący z boku mógłby śmiało uważać tych czterech ludzi za towarzystwo myśliwskie, które śniadało w najlepszej harmonii.

- Pan mi się podoba, Payne - rozpoczął Garman. - Nie brak panu zimnej krwi. Czuje się pan tutaj jak u siebie w domu.

- Dziwi to pana? Przecież to wszystko do mnie należy. - Roger wskazał ręką okolicę.

- Słusznie, lecz chwilowo znalazł się pan w pułapce. Jak zamierza pan się z niej wydostać?

Roger skończył właśnie jeść. Otarł ręce i zapytał:

- Kim pan jest, panie Garman? I czego pan tu właściwie szuka?

Garman przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi. Jego nalana różowa twarz silnie poczerwieniała.

- Teraz zachowuje się już pan całkiem inaczej, Payne. To mi się znacznie mniej podoba.

- Wiedziałem, że skoro zacznę stawiać pytania, stracę pańską łaskę. Jestem nawet przekonany, że moja obecność nie jest dla pana miła.

- Zgadza się.

- Nie odpowiada panu, że ktoś obcy dotarł aż tutaj i ma możliwość obejrzeć sobie ten kraj z bliska. Zwłaszcza, że nie zaniedbał pan żadnych środków ostrożności, by temu zapobiec. Mam wrażenie, że komuś nie uszłoby to płazem, gdyby się pan dowiedział, w jaki sposób dostaliśmy się w te strony.

- Niech się pan o to nie troszczy. Radzę panom, abyście jak najprędzej stąd znikli.

Roger nie uważając na groźbę

zawartą w tych słowach ciągnął dalej:

- Przypuszczam, że i pan należy do tych wpływowych ludzi towarzystwa "Prairie Highlands Association", którzy sprzedali mi bagna jako grunta farmerskie.**
- A więc tak się sprawy mają.**

Rozumiem.

- Zostałem oszukany i przyznaję, że mnie to głęboko dotknęło. Ale nie szkodzi. Zniosę ten cios. Lecz przestrzegam pana, nie dam się wyprowadzić w pole. Pod wodą jest dobra ziemia. Odwodnię ją bez względu na koszt. Tak, taki**

jest mój plan, panie Garman, i nikomu nie uda się mnie od tego odwieść. Zapamiętaj pan to sobie!

Garman kurzył dalej swe cygaro. Nagle wstał z miejsca. Postać miał okazałą, ale giętką.

- Czeka pana ciężka praca, Payne.

- Możliwe, lecz dam sobie radę.

- Zobaczymy.

Garman zwrócił się teraz w stronę Indianina i rzucił pod jego adresem parę słów w gwarze Seminolów. Willy jak zbity pies pośpieszył, by wykonać jego rozkaz. Wziął strzelbę, wskoczył do kajaka i ruszył z miejsca tak szybko, jakby jego życie od tego zależało.

Higgins pobiegł za nim, lecz zatrzymał go okrzyk Payne'a. Gdy

Willy odpłynął, Ramos znikł, a za chwilę wrócił z dwoma osiodłanymi końmi ukrytymi dotychczas w krzakach. Garman usadowił swe potężne ciało na siodło i ruszył ku piaszczystej prerii.

- Jeśli zmęczy pana zdobywanie nowych dróg - zawołał jeszcze - zgłoś się pan do mnie, a wtedy pogadamy rozsądnie.

XIII

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi zatrzymać Indianina? - zapytał Higgins, gdy stracili jeźdźców z oczu. - Człowiek bez kajaka jest w tych stronach zgubiony, przynajmniej mnie się tak wydaje.

- MAsz rację - odparł Roger. -

Lecz Garman był zdecydowany zabrać nam kajak, nieprawdaż?

- A ja byłem zdecydowany nie oddać mu go.

- Zauważyłem to. I właśnie dlatego zatrzymałem cię.

- Nie rozumiem. Po tym, co się wydarzyło na statku, nie spodziewałem się, że tak szybko ustąpisz.

- Na statku byli ludzie innego pokroju niż Garman. Orientowałem się doskonale, że dadzą się zastraszyć, inaczej nigdy nie pozwoliłbym na to, byś wyciągnął swój pistolet. Gdybyś spróbował tak się zachować tutaj, byłoby

doszło do strzelaniny albo byliby cię zmusili do schowania broni. Co innego zagrozić bandzie rzecznych korsarzy, a co innego człowiekowi w rodzaju Garmana. Chciałem za wszelką cenę uniknąć rozlewu krwi.

- Ja także.

- Wobec tego nie manewruj nigdy pistoletem w jego obecności. Nie tędy droga z takim człowiekiem jak Garman.

- Bardzo możliwe.

- Takich ludzi trzeba traktować inaczej.

Higgins uśmiechnął się sceptycznie.

- ~a propos Indianina.

Widziałem już niejednego, któremu się porządnie dostało, lecz nigdy nie spotkałem się z takim panicznym strachem, jak w oczach tego biednego chłopca. Do

**diabła, dlaczego oni mu
właściwie to zrobili?**

**- Nie wiem. Strasznie mi
przykro, ostatecznie to ja
ponoszę winę za to, że został w
tę całą sprawę wmieszany.**

- No, nie całkiem.

**Higgins nie wspomniał ani
słowem o dziewczynie, czym sobie
pozyskał niezwykłą wdzięczność
Rogera. Garman dowiedział się
zapewne, że Aneta poleciła
Indianinowi, by był ich
przewodnikiem. Jak dalece to mu
się nie spodobało, wynikało z**

**kary, jaką wymierzył niewinnemu
Seminolowi. Lecz co łączyło**

Garmana z Anetą?

- Indianin był tylko kozłem ofiarnym - dodał Higgins. - Mam wrażenie, że Garman ma w tych stronach dużo do powiedzenia.

Czy podzielasz moje zdanie?

- Naturalnie.

- Ukrywa się tutaj cała masa różnych indywiduów, którzy bez szemrania podporządkowali się Garmanowi. Udało mu się to zapewne przy pomocy zastosowania najostrożniejszych środków perswazji. Teraz zamierza rozpocząć walkę z tobą. I prawdopodobnie posługiwać się będzie tymi samymi metodami, do jakich tu przywykł.

- Mam nadzieję, że nie.

Zresztą nie dam mu tak łatwo pretekstu. Jak już zaznaczyłem, mam tu pracy po same uszy, chcę tę ziemię przygotować pod

uprawę, dlatego nie wolno mi się wdawać w zatargi. Gwałt i przemoc uznaję tylko w braku innego wyjścia.

- Co zatem zamierzasz uczynić?

- Usunąć się tymczasem stąd i zapomnieć o "naszym przyjacielu" Garmanie.

- Tak, ale kajak był naszą jedyną szansą wydostania się stąd. A ty, nie mrugnawszy okiem, pozwoliłeś mu odpłynąć. Czy to znaczy, że rozporządzasz innymi sposobami?

Roger skinął głową, rozłożył mapę i zagłębił się w nią.

- Garman sądzi, że zapędził nas w kozi róg, gdyż każdy, kto się tu zjawia, byłby w podobnej sytuacji zgubiony. Lecz my obaj wyrosliśmy przecież w lasach.

- Całkiem słusznie - odrzekł Higgins. - Z wyjątkiem Davisa

nie spotkałem nikogo, kto by w tym położeniu nie rozpaczał.

Payne wyciągnął drugą mapę.

- Nie sędzę - rozpoczął - aby starym rębaczom z Północy wydostanie się stąd sprawiało szczególne trudności. Na

wschodzie jest pełno wody.

Przynajmniej tak wynika z

wszystkich map. Na próby

przejścia tamtędy szkoda więc

wysiłków. Na południu ciągną się

moczary porośnięte cyprysami. Cały

zachód zajmuje piaszczysta

preria. I tam pewno zastawiono

na nas jakąś pułapkę. Także co

do innego szczegółu wszystkie

mapy są zgodne, a mianowicie, że w odległości 45 mil stąd w kierunku północnym znajduje się stary ośrodek handlowy Legrue, tam też kończy się trasa planowanej linii kolejowej.

- A co nas - według twojej mapy - dzieli od tego miejsca?

- Tak zwana Diabelska Preria.

- Słyszałem o niej. Przez nią nikt się jeszcze nie przedostał.

- Sądzę, Hig, że my obaj będziemy pierwsi, którzy się na to porwą. Nie mamy innego wyjścia. Tak, spróbujemy dostać się do Legrue.

Higgins zamiast odpowiedzi odciął sobie kawał dziczyzny, a Roger rozniecił ogień. Po sutym posiłku upiekli jeszcze parę kawałków mięsa, zapakowali je na drogę i byli gotowi do odejścia. Wszystko inne, co nie uważali za

**bezwzględnie potrzebne,
pozostawili na miejscu.**

**Roger przyłożył do oczu
lornetkę i badał przez chwilę
okolicę. Gdy się upewnił, że w
pobliżu nikogo nie ma, począł
brnąć po grząskim gruncie, aż
dotarł do dzungli krzewów bzu na
północy. Higgins podążał za nim
krok w krok.**

**Teraz każdy krok musieli
dosłownie zdobywać. Bez osiągnął
tutaj wysokość od 10 do 12 stóp
i był tak gęsty, że z trudem
tylko można było się przezeń
przedrzeć. Roger szedł pierwszy,
przebijał się łokciem i raz po
raz uderzał ramionami o twarde
konary. Później zamienił się z
nim Higgins i w ten sam sposób
wywalczał dalszą drogę. Po
godzinie, gdy pierwszą milę**

mieli za sobą, użyczyli sobie krótkiego odpoczynku. Znaleźli się teraz w sercu dżungli, z dala od wszelkiej ludzkiej pomocy. Na górze, w gałęziach uwijały się kosi, napęlniając swymi głosami gorące powietrze. Ponad nimi krążyły mysołowy wypatrujące zdobyczy. Po ziemi zaś pełzały po raz pierwszy wypłoszone ze swych kryjówek wszelkiego rodzaju jaszczurki, króliki, węże. Tu i ówdzie błyszczwały kałuże, lecz woda w nich nie nadawała się wcale do picia.

Mimo gęstego cienia było duszno i gorąco. Higgins

**niebawem począł ciężko dyszeć.
Był roślejszy i tęższy niż
Payne, dlatego trudniej mu było
przedzierać się przez dżunglę.
Nie rozmawiali ze sobą. Ilekroć
zatrzymywali się, śledzili
kompasy, poprawiali kierunek i
ruszali dalej. Niebawem i oddech
Payne'a stał się nierówny,
urywany, ponieważ począł on już
odczuwać ból w mięśniach nóg i
wszelkimi sposobami starał się
utrzymać dotychczasowe tempo,
wiedząc, że wypoczynek, zanim
mięśnie przyzwyczają się do
nowego wysiłku, może być
niebezpieczny.**

**Dżungla stawiała się coraz
gęstsza. Rozmaite rośliny pnące
i dzikie wino wiły się między
krzakami aż do wysokości
ludzkiej piersi. Dotychczas
wystarczało jedno uderzenie**

ramienia, by utorować sobie drogę wśród krzaków, teraz tworzyły one ścianę nie do przebycia. Ciasno splątane na ziemi zielska stanowiły dla idących prawdziwą pułapkę. Szerokimi liśćmi zakrywały zdradliwe jamy wypełnione wodą, w których obaj mężczyźni brnęli często po kolana. W jednym z tych dołów Roger natrafił butem na gniazdo jadowitych, wodnych węzów, parę chwil potem Higgins potknął się i upadł na śliski,

twardy pancierz żółwia.

Widoczne z daleka pasmo światła było zapowiedzią

krótkiego odpoczynku, toteż bez słów poczęli przedzierać się w tamtą stronę. Gdy znaleźli się w pobliżu, z ziemi zerwała się chmara czarnych myszółowów. Skrzydła ptaków dźwigały ociężałe ciała, czarne dzioby parowały jeszcze od zdobyczy, którą chcąc nie chcąc musiały pozostawić na ziemi. Soczystym przekleństwem dał Higgins wyraz swemu wstrętowi, Payne natomiast ograniczył się do okrzyku padliny.

Wąska ścieżka prowadząca przez dżunglę unaoczniała im niebawem całą tragedię tych dziewiczych lasów. W kierunku prześwitującego światła prowadziły też ślady młodego byka. Nie dostrzegli jednak śladów powrotnych. Zwierzę zgubiło się w tej dżungli i

**przedostało się aż na polanę.
Tutaj siły odmówiły mu
posłuszeństwa i niebawem
skonęło. Roger zatrzymał się.**

**- Byk przyszedł z zachodu.
Przez gąszcza przedzierał się
snadź niezbyt długo. Zatem
preria i trzody muszą się
znajdować w pobliżu -
zawyrokował w końcu. - W tamtą
stronę nie wolno nam iść. Ludzie
Garmana zauważyliby nas od razu.
Nie chciałbym, aby wiedział,
dokąd się udaliśmy.**

Higgins milczał.

- A zatem? - zapytał Roger.

**Zamiast odpowiedzi Higgins
ruszył w głąb gąszczy. Roger,
nie rzekłszy ani słowa, podążył
za nim.**

**Okolo południa padli obaj
wyczerpani ze znużenia na
ziemię. Zjedli trochę pieczeni z**

**zapasów wziętych na drogę, z
głębokiego źródła zaczerpnęli
ostrożnie nieco wody,
zadowolając się jednak tylko
zwilżeniem warg.**

- Mamy pewnie ze cztery mile

za sobą - zauważył Higgins.

**- Mniej więcej. W godzinę
przebywamy około mili. Sądzę, że
lepiej będzie, jeśli zaraz,
zanim nasze mięśnie
zesztywnieją, ruszymy dalej.**

**Zaczęli iść przed siebie
przygotowani na to, że podobnie
jak przed południem będą musieli
zdobywać sobie każdą piędź
ziemi. Nagle z najgłębszej**

dżungli wydostali się na jasną polanę i zadyszani, z szeroko otwartymi oczami chłonęli widok, jakby byli u wrót prawdziwego raju. Przed nimi rozpościerało się małe jezioro otoczone łąkami o świeżej, soczystej zieleni. Nieco dalej widać było karłowate palmy, sosny i cyprysy. Woda miała odcień modry i przezroczysty, trawy falowały łagodnie. Palmy rosły w pojedynczych kępach i stanowiły wraz z sosnami i cyprysami rodzaj wysepek na tle uroczonego jeziora. Długie, chwiejne pasma mchu hiszpańskiego zwisały z sosen, a w górze, między cyprysami, rosły płomienne orchidee. Granice tego bajecznego zakątka tworzyły jabłonie, dookoła ich smukłych pni wiło się dzikie wino.

- Ziemia była tu pierwotnie czarna - zawołał Higgins, gdy ugasił pragnienie ożywczą wodą jeziora.

- Masz rację. Istotnie zachowały się ślady czarnoziemu. Pierwszorzędny grunt. W każdym razie wart wysiłku, jaki nas kosztował, oczywiście o ile jeszcze nie jest sprzedany. To byłby odpowiedni teren dla mnie.

- Ruszajmy dalej. Nie mamy czasu!

Przecięli uroczą polanę i weszli między jabłonie. Drzewa osiągały wysokość 15 stóp, lecz nietrudno było się przez nie przedostać. Gdy i tę przeszkodę mieli za sobą, oczom ich ukazała się preria gęsto porośnięta wysokimi paprociami, tak że

**brnęli w nich aż po pierś.
Liście tych roślin dochodziły do
półcalowych rozmiarów, a ich
ostre jak nóż końce raniły raz
po raz ich ręce. Na północy
zarysowało się na horyzoncie
olbrzymie bagno okolone dzikim
lasem. Resztę dnia zużyli na to,
by dotrzeć do tego lasu, co im
się udało dopiero z nastaniem
zmierchu.**

**Nowy obszar położony był
znacznie niżej aniżeli przebyte
łąki. Pokryta mułem, groźnie
rozpościerająca się przed nimi
połać nie wróżyła nic dobrego.
Zanim zajrzeli do map, poznali,
że mają przed sobą Diabelską
Prerię. Gdy potem na małej**

przeestrzeni zdeptali trawę na obozowisko, zauważyli w oddali biały obłok wylaniający się z ponurej dziczy lasu. Był to rój srebrzystych czapli lecących ku złotym promieniom zachodzącego słońca. Ptaki, przechyliwszy w tył giętkie grzbiety, z wyprostowanymi nogami pruły z wdziękiem powietrze ginąc w wieczorze, który na zachodzie pochłaniał już dzień.

Nagle odgłosy strzałów zamąciły spokój wieczoru. Paf, paf, paf! - rozległo się wokół. Karabiny nie ustawały w pracy. Gromada pięknych ptaków rozproszyła się, a wiele z nich spadło na ziemię. I zaraz, za późno, by przeszkodzić popełnionej zbrodni, głęboki mrok pokrył ziemię.

Ranek w korzystniejszym świetle przedstawił wnętrze Diabelskiej Prerii niż zmierzch wieczorny. Zaraz też po śniadaniu ruszyli Payne i Higgins w dalszą drogę. Szli wąską ścieżką biegnącą w kierunku północno_zachodnim. Niebawem znaleźli się u krawędzi wąskiego, a zarazem głębokiego trzęsawiska. Przy pomocy zręcznie rzuconych gałęzi i konarów utworzyli pomost, przez

który przeszli bez przeszkód. Tego samego sposobu musieli się chwycić nieraz jeszcze w trakcie swej wędrówki.

Skąpy obiad spożyli siedząc na pniach cyprysów, zanurzeni po kolana w wodzie. Parę chwil później Higgins celnym strzałem między oczy trafił panterę, która wyskoczyła ze swej kryjówki. Na ziemi roilo się od węzów i krokodyli. Prócz nich nie było tu żadnych żywych istot.

- Diabelska Preria! Świetnie pasująca do tego miejsca nazwa - odezwał się Higgins podczas krótkiego odpoczynku.

- Chodźmy dalej.

Teraz dotarli do ogrodu Diabelskiej Prerii. Na rozległej przestrzeni ciągnęły się tu piękne trawniki pełne lilii wodnych. Nagle Roger zapadł się aż po ramiona, albowiem uroczy trawnik ukrywał zdradzieckie bagno. Z największym trudem

udało się Higginsowi wyciągnąć towarzysza. Przez następną godzinę szukali drogi między podobnymi pułapkami. W końcu dotarli do krawędzi urwiska o szerokości około stu jardów. Z piersi Rogera wyrwał się okrzyk rozczarowania.

- Nie rozpaczaj - pocieszał go Higgins. - Teren po drugiej stronie jest wyższy. To całkiem inny grunt. Zdaje się, że wapień pokryty piaskiem. Głowa do góry!

Wyschnięta gałąź, którą Roger rzucił przed siebie na bagno, zatoneła niebawem. Skierowali się zatem pod kątem prostym bardziej na prawo, starając się odnaleźć koniec rowu. Mieli już kolejną milę za sobą, gdy nagle Higgins zatrzymał się w miejscu i zawołał:

- Wreszcie!

**I wskazał palcem na małe
wybrzuszenie w środku moczaru.
Ciągnęło się ono aż do krawędzi
głębokiego rowu, tu urywało się,
by ponownie zacząć się już po**

drugiej stronie wgłębienia.

**- Może ten wał ciągnie się
wzdłuż całych moczarów -
powiedział Higgins i ułamaną
gałęzią zabrał się do badania
mułu. - Tak! - zawołał po
chwili. - To samo jest tutaj, -
na głębokości pięciu stóp.
Ciężko nam będzie przez to
przebrnąć, lecz mój instynkt
musiałby mnie bardzo mylić,
gdyby na przestrzeni**

**najbliższych kilku mil nie
znalazło się lepsze przejście.
Szkoda, że Willy'ego nie ma tu z
nami. On pokazałby nam na pewno,
którędy można przejść!**

**Roger patrzył na szeroką połąć
mułu między obydwoma
wzniesieniami. Potem zapytał z
powątpiewaniem:**

**- Czy sądzisz, że gdy
znajdziemy się na drugim brzegu,
najgorsze będziemy mieli już za
sobą?**

- Z pewnością!

**Roger bez wahania zaczął się
spuszczać w dół, natychmiast
jednak ugrzązł aż po pierś w
mule.**

- Co chcesz zrobić?

**- Zbadać, czy bród przecina
cały rów. Może pośrodku czeka
nas rozpadlina, a wtedy
bylibyśmy zgubieni. Pozwól mi to**

najpierw sprawdzić. Zostań tam, gdzie jesteś!

Roger ruszył dalej. W połowie drogi zatrzymał się nie mogąc złapać tchu, znużony torowaniem sobie przejścia przez muł.

- I co, nie ma przepaści? - wołał za nim Higgins.

- Nie! Dotychczas mam pewny grunt pod nogami.

Higgins zeskoczył do rowu. Z desperackim zapalem przeszedł obok Payne'a, by objąć kierownictwo.

- Naprzód! - rozkazał.

Z największym trudem zdobywali każdy krok. Muł stawał się coraz gęstszy i cięższy do pokonania. Nawet nieznaczne posunięcie się naprzód kosztowało ich wiele

**wysiłku. Wreszcie siły odmówiły
Higginsowi posłuszeństwa.**

**Znajdowali się teraz w
odległości 20 stóp od drugiego
brzegu. Moczary były tu gęste
jak glina.**

**- Czy doszedłeś do końca? -
wykrztusił Roger.**

**- Nie! - Higgins począł iść
dalej obiema rękami rozgarniając
muł. - Ale głowa do góry! -
rzucił zdyszany. - Skoro
staniemy na tamtym brzegu,
będziemy mieli wszystko
najgorsze za sobą.**

**Przez cały muł musieli się
niemal przekopywać, aż wreszcie
prawie ostatkiem sił udało im
się osiągnąć drugi brzeg.**

- Zwyciężyliśmy! - rzucił

Higgins i bez tchu padł jak martwy na ziemię.

Roger podniósł się na czworaki i rozejrzał dookoła. A potem nagle zaczął się śmiać w taki sposób, że Higgins mimo wyczerpania zerwał się na równe nogi. I zmarł. Bowiem stały łąd rozciągał się zaledwie na przestrzeni 10 stóp. Dalej gdzie okiem sięgnąć rozlewało się szeroko morze bagien.

XIV

Pierwszy opanował się Roger. Śmiertelnie wyczerpany zwałił się na ziemię i trwał tam w bezruchu, z głową ukrytą w splecionych dłoniach. Higgins poszedł za jego przykładem.

Nie łudzili się wcale co do

powagi sytuacji. Wprost przeciwnie. To świadomość grożącego niebezpieczeństwa skłoniła ich do udzielenia znużonemu ciału zasłużonego odpoczynku. Położenie ich nie mogło być gorsze, dlatego musieli nabrać sił do dalszych trudów.

Higgins natychmiast zapadł w głęboki sen. Roger również starał się zasnąć, lecz na

próżno. Leżał więc i odpoczywał. Wnet wydyszał z siebie zmęczenie. Z wolna zmienił pozycję i otworzył oczy. Ponad jego głową zwisały z

gałęzi cyprysu długie pasma mchu hiszpańskiego. Drzewo było już stare i na wpół zbutwiałe. W mchu trzepotał się motyl kardynał, a w górze rozsiadła się szkarłatna orchidea w całej swej płonącej krasie. Wreszcie całkiem wysoko ponad wierzchołkiem martwego drzewa na niebie zjawiała się czarna kula, która to krążyła w kółko, to opadała w serpentynach i Roger wnet rozpoznał w niej wielkiego myszolowa. Ptak leciał coraz niżej. Jego skrzydła nie wykonywały żadnego ruchu. Gdy znalazł się koło wierzchołka cyprysu, rozpostarł swe skrzydła i opuścił się na dół. Usadowił się na najwyższej gałęzi drzewa i czekał nieruchomo.

Niebawem następne czarne ptaki zjawily się na błękitnym niebie.

Te jednak nie zbliżały się już w kręgach. Szybkimi, dziwacznymi ruchami skrzydeł zlatywały się prosto na cyprysowe drzewo. Ptak, wysłany na zwiady, siadając na martwym konarze wskazał im cel. Zrozumiały ten sygnał. Rozmieściły się na najwyższych gałęziach drzewa. Czarne demony o czerwonych głowach zajęły grozą przejmującą placówkę.

Higgins obudził się i także położył się na grzbiecie.

- Wcale miłe stworzonka.

- I jakie cierpliwe.

- Będziemy przy was,

powiadają, gdy oddacie ostatnie tchnienie. Lecz w jaki sposób, do diabła, dowiadują się tak szybko, że czekają na nie nowe ofiary? Popatrz, wyglądają, jakby spały.

- Na tych moczarach nie ma zapewne zbyt wiele zdobyczy. I jak spokojnie czekają. Mają pewno sporo doświadczenia ze

zwierzętami, które niebacznie zapuściły się w te strony.

Mały meksykański myszołów, mniej cierpliwy od swych dorosłych towarzyszy, opuścił się w dół i musnął oba ciała na ziemi.

- Poczekasz długo, bratku! - zawołał Higgins. - Jeszcze nie pora na biesiadę dla was.

- Natomiast dla nas tak - rzekł Roger i zerwał się na równe nogi, po czym począł

zbierać suche gałęzie na ognisko.

- Musimy podgrzać mięso.

Pożywili się i to dodało im otuchy. Potem rozejrzeli się dookoła. Wąskie pasmo ziemi, stanowiące brzeg rowu, tworzyło jedyny stały grunt, przy czym podkład suchych, karłowatych gałęzi palm odbierał możliwość orientacji, jak daleko się on ciągnie. Dalej przerażało ich już nowe bagno, tu i ówdzie skąpo porośnięte trawą.

- Czy widziałeś, gdzie w pobliżu wodę? - ziewnął Higgins.

- Tam w dole bije małe źródełko.

Po tych słowach poprowadził go Roger w kierunku płytkiego wgłębienia, do którego ściekała woda. Higgins zaczerpnął z niego ręką nieco wody, zwilżył wargi,

lecz natychmiast wypluł z powrotem.

- Co to ma znaczyć?

- Skosztuj! - odparł Higgins.

Także Roger zmoczył usta.

Potem obaj wyprostowali się i strzepnęli wodę z palców.

- Sól!

Higgins wyjął swą fajkę i począł ją z wolna nabijać.

- Musimy jak najszybciej wydostać się stąd.

- Tak. Nie wytrzymamy w tym upale bez wody. Przypominam sobie, że czytałem w jakiejś książce o tej słonej wodzie między Everglades a morzem. Idź teraz na lewo i zbadaj, jak tam to wygląda. Ja pójdę na prawo.

Za godzinę spotkamy się w tym samym miejscu.

Ruszyli natychmiast. Gdy za godzinę Roger wrócił, Higgins czekał na niego przed ogniskiem.

- Czy znalazłeś coś ciekawego?

- Nic. A ty?

Roger zaprzeczył głową.

- Bagno, bagno i jeszcze raz bagno. A czy w obrębie krzaków mangrowii natknąłeś się na wodę?

- Tylko na słoną wodę.

- Czy chciałbyś zawrócić? - zapytał nagle Roger.

- Ale tobie zależy na tym, by się przedostać, nieprawdaż?

- Za wszelką cenę.

- A zatem idziemy.

- Przede wszystkim musimy stwierdzić, czy jest dno - zaproponował Roger.

Opuścił się ostrożnie w dół i zapadł się natychmiast aż po szyję, nie dosięgając stopami stałej ziemi. Higgins pomógł mu wydostać się na górę.

- Musimy wypróbować bagno dookoła krzaków mangrowii.

Podążyli z powrotem w stronę cyprysu, na którym nadal czatowały myszolowy. Roger zdjął buty i zmierzył spojrzeniem znawcy popielaty, zwężający się ku górze pień. Z wierzchołka można by mieć wcale niezły widok na okolicę.

Skoczył na bary Higginsa, chwycił się zręcznie silnej gałęzi i począł powoli wdrapywać się na drzewo. Dzień się miał już ku końcowi. Właśnie gdy Roger osiągnął jeden z najwyższych rozwidlonych konarów cyprysu, słońce rzuciło na

ziemię swe ostatnie promienie.

Roger usiadł na gałęzi jak na koniu i wyjął lornetkę. Jego uwagę zwróciło widoczne na wschodzie śnieżnobiałe pasmo. Niebawem zauważył, że pasmo się porusza. Na niebie, na którym dogasało słońce, przesuwała się teraz pastelowa chmura. Ptaki trzepotały się jak pędzone wiatrem płatki śniegu, wreszcie

spoczęły na wierzchołkach drzew.

Roger przypatrywał się temu widokowi oczarowany.

**- Srebrzyste czaple! -
krzyknął. - Setki czapli! Co za obraz!**

Rzeczywiście, udało mu się bowiem uchwycić jeden z najdziwniejszych cudów natury. Był to bowiem wyraj czapli srebrzystych, które niezliczonymi stadami powracały do swych gniazd. Zamierzał właśnie odwrócić lornetkę w inną stronę, gdy nagle chmura szarego dymu rozproszyła czaple. W krótkim odstępie czasu nastąpiło dalszych kilka wystrzałów. W panicznym strachu uleciała gromada ptaków ku niebu, zanurzając swe śnieżnobiałe pióra w złocie i purpurze zachodzącego słońca.

Na ciemnych wierzchołkach krzaków mangrowii pozostało siedem zabitych ptaków jako zdobycz myśliwska. Powolnym ruchem skierował Roger swą lornetkę na północ i wschód.

- Widzę tu coś, co wygląda jak pagórek - zawołał na dół usiłując zbadać ciemne, sinawe kontury na horyzoncie. - Wody jednak nigdzie nie widzę!

- Szukaj lepiej. Musi być! - nalegał Higgins. - Zapewne nie można jej tylko zobaczyć z takiej odległości. Gdzie jest bagno, tam musi być i woda!

Roger pozostał na swej placówce, dopóki przyświecało słońce. Chciał zbadać tereny, przez które wypadałoby im przejść, o ile mieliby wznowić swą wędrówkę. Lecz niebawem słońce znikło za krzakami mangrowii jak płonąca, czerwona pochodnia. Zapadła ciemność. Roger zsunął się w dół. Widział, jak myszołowy, które poprzednio spłoszył, powracały na swe stanowiska. Ostatni promień

**zanurzył ich cielska w morzu
złota.**

- Przyjacielu - rzekł

znalazłszy się na ziemi. -

**Wydaje mi się, że przez bagno
ciągnie się łańcuch wysepek.**

**Pierwsze zarysowują się w
odległości stu jardów stąd.**

**Następne mniej więcej w takiej
samej. Jestem pewny, że na
północy trafimy na zalesiony
stały ląd.**

- Jak daleko?

**- Nie mogłem tego ocenić w
mroku.**

- Jak wyglądają te wysepki?

- Są pokryte gąszczami.

- Dobrze, może tam jest woda. Mam takie pragnienie! - skarżył się Higgins.

- Mnie dokucza już od dwóch godzin.

- Lepiej już byłoby nic więcej nie jeść. Mięso potęguje tylko pragnienie. Oceniasz zatem odległość między poszczególnymi wysepkami na sto jardów? Zdaje mi się, że mam pomysł. Dookoła nas jest dość gałęzi, młodych drzew, pnączy i dzikiego wina.

- Śniegowce! - zawołał Roger. Zrozumiał od razu, do czego Higgins zmierzał.

- Przynajmniej ta sama zasada. Indianie często chwytają się tego sposobu. Każdy z nas musi sobie upleść duże kwadratowe maty o rozmiarach czterech stóp, w każdym razie tak wielkie, by mogły nas udźwignąć. Należy na

jednej macie stań, położyć drugą przed siebie, skoczyć na nią, pociągając równocześnie za sobą poprzednią. To nie jest trudne, chroni zaś przed zatonięciem. Potrzeba nam jednak świeżej wody. Inaczej na skutek upału będziemy cierpieć jak grzeszne dusze w czyścicu. Musimy mieć wodę. Tymczasem rozniećmy ogień. Plecenie mat wymaga dobrego oświetlenia.

XV

Chłodny świt zbudził ich z niespokojnej drzemki. Roger

usiadł i zmrużył oczy pod wpływem wschodzącego słońca. Dobrze jeszcze nie rozbudzony już szukał wody. Język miał gorący i suchy.

- Do diabła - odezwał się Higgins ochryplym głosem. Zerwał się i dotknął swej szyi. - Upał wyciąga z człowieka całą wilgoć. Bolać cię oczy?

- Nie.

- Bo mnie tak.

W pobliżu znaleźli krzak. Zaczęli żuć liście, jeden po drugim, by bodaj w ten sposób zwilżyć podniebienie.

- Wdrapię się na drzewo i rozejrzę - odezwał się Roger.

- Podczas gdy ty będziesz na górze, wypróbuję nasze maty - odparł Higgins.

Na wierzchołku martwego

**cyprysu ciągle jeszcze
przesiadywały wyczekujące
myszołowy. Roger zaczął się
wspinać w górę. Nad moczarami
unosily się jak zawsze opary.
Całe niebo nasiąknęło
bladoróżowym światłem, na
wschodzie jaskrawo przebijało
się słońce. Gdyby płynąca woda
znajdowała się w pobliżu, słońce
wskazałoby do niej drogę. Ale
Roger daremnie szukał jej
wzrokiem. Na północy, aż do
błękitnego pasma horyzontu,
ciągnęły się małe wysepki w
morzu bagien. Samo pasmo mogło
być zarówno zalesionym wzgórzem,
jak wstęgą mgły.**

**- Popatrz, jak mi sprawnie
idzie - zawołał Higgins
triumfująco do zeskakującego
Rogera.**

Stał na macie, która nie

uginiała się pod jego ciężarem i chroniła go przed zatonięciem. Za chwilę rzucił przed siebie drugą matę, przeskoczył na nią, przyciągnął pierwszą, położył ją przed siebie. Była to żmudna czynność, albowiem błoto zlepiało maty, przytrzymywało je i tylko z nakładem wielkiego wysiłku udawało się posuwać je

naprzód; lecz była to jedyna możliwość przedostania się przez bagno, jak długo siły dopisywały. Roger podążył śladami swego towarzysza i wnet go dogonił.

Pierwszą wysepkę osiągnęli

równocześnie. Mieli przed sobą kilka niskich, splątanych krzaków mangrowii rosnących w jamie wypełnionej po brzegi słoną wodą. Bez jednego słowa ruszyli dalej w swą zmudną drogę. Następna kępa wyglądała nie inaczej niż poprzednie, a dwie dalsze również ich rozczarowały. Nie dawali jednak za wygraną pełni nadziei, że najbliższe wzniesienie obdarzy ich upragnioną wodą.

Wnet przekonali się, że oczekiwania ich są płonne. Wszystkie wysepki wyglądały tak samo: porastały je krzaki mangrowii o kwiatach pełnych słonej wody. Żyli tylko jedną myślą - pragnęli pić. Myszołowy zjawily się znowu i jak ponure cienie snuły się za nimi. Gdy zapadł zmierzch, zatrzymali się.

Higgins wyglądał już jak strzęp człowieka. Pragnienie dokuczało mu nieznośnie. Roger ściał z najbliższego krzaka wiązkę gałęzi i ułożył je na matach tworząc prowizoryczne legowisko.

Higgins natychmiast twardo zasnął. Potem począł bełkotać przez sen. Domagał się wody. Złorzeczył i straszliwie przeklinał. Roger nie mógł spać. Łagodny księżyc począł się z wolna wylaniać zza błękitnej mgły nocy. Potem znikł, a Roger ciągle jeszcze leżał z otwartymi oczyma. O świcie pierwszy zerwał się Higgins.

**- Nie wytrzymam dłużej -
jęknął. - Muszę się napić!**

**Roger uderzył go płaską dłonią
prosto w twarz:**

**- Obudź się! Mów jak
mężczyzna!**

Higgins zaczerwienił się po same uszy. Mrugnął oczyma, jakby

nagle wytrzeźwiał i pojął sytuację.

- Masz rację. Chodźmy dalej.

**- Daj mi swój pistolet! -
zażądał Roger.**

**- Do diabła! Tak źle ze mną
jeszcze nie jest.**

**- Możliwe. Lecz chcę mieć
pewność. Oddaj pistolet.**

**Rozpoczęli ponownie swą
beznadziejną wędrówkę. Wnet
okazało się, że ostrożność
Rogera była całkowicie
uzasadniona. Gdy mijali kolejną
zwodniczą wysepkę, Higgins**

przystanął nagle i nieprzytomnym wzrokiem jął się wpatrywać w brudną wodę u ich stóp.

- Naprzód, Higgins! - zachęcił go Roger. - Przecież to sól!

- Tak, zgadza się. Ale co mnie obchodzi, że sól. Za wszelką cenę pragnę wody. Popatrz tylko na te przekłete myszołowy.

Wiedzą doskonale, że to sól. Daj mi na chwilę moją Betsy, Rogerze, a zastrzelę sobie jedną z tych bestii i...

- Higgins!

- Zdaje się, że jestem wykończony. Mam przed oczyma

lód

i śnieg i inne tym podobne zwariowane obrazy.

- Musisz pozostawać w ruchu!

Ruszyli znowu w drogę. Po godzinie morderczej przeprawy Roger natknął się nagle na

gąszcz i zatrzymał się na chwilę w miejscu.

- Znowu jedna z tych przeklętych wysp - mruknął Higgins. - Musimy ją okrążyć.

- Przed siebie. Na prawo - szepnął Roger nie podnosząc oczu.

- Jakaś duża wyspa.

- Tak!

- Nieprawdopodobnie duża. Roger stanął. Rozejrzał się dookoła i przetarł sobie oczy.

- Higgins! - wykrztusił ochryłym głosem. - Patrz!

Higgins wyciągnął przed siebie ręce jak pijany i dotknął liści o ostrych brzegach.

**- Ze mną całkiem źle, Roger.
Widzę palmy! To nie jest wyspa.**

**Higgins opadł na swą matę i
ukrył twarz w dłoniach.**

**- Chciałem wytrwać przy tobie,
Rogerze, lecz nie mogę -
wykrztusił. - Już majaczą.**

Słyszę plusk strumyka...

- Więc i ty słyszysz?

- Jak to? I ty oszalałeś?

**- Tam! - krzyknął Roger
pokazując palcem na gąszcz. -
Słyszysz szum wody? Mój Boże,
Higgins - to stały ląd.**

**Rzucił się między ostre,
wystające gałęzie. Higgins
podążył za nim, bełkocąc coś,
aby go powstrzymać. Żaden z nich
nie umiał sobie przypomnieć
wydarzeń następujących paru sekund.
W pamięci pozostało im tylko to,
że na brzegu małego jeziora**

doszło między nimi do bójki. Roger za wszelką cenę próbował się uwolnić z rąk swego towarzysza, Higgins zaś trzymając go mocno starał się go przekonać, że znowu mają przed sobą tylko słoną wodę. Wreszcie Higgins puścił Rogera. A ten nachylił się, pełną dłonią zaczerpnął wody i umoczył w niej usta.

- Dobra woda - powiedział z niedowierzaniem.

Higgins zanurzył głowę w kryształowym, chłodnym źródłu. Przezroczysta, świeża woda pochodziła zapewne ze źródła wypływającego w Everglades. Każdy z nich pełną dłonią zaczerpnął drogiego płynu, następnie usiedli na brzegu strumyka i w krótkich odstępach czasu ostrożnie, łyk po łyku,

gasili pierwsze pragnienie.

- Gdzie są myszolowy? -

**przypomniął sobie Roger daremnie
szukając wzrokiem tych
koszmarnych towarzyszy. Higgins
wykrzywił szyderczo twarz.**

**- To mądre bestie. Wycofały
się zawczasu.**

**Pozostali nad brzegiem, dopóki
nie poczuli się trochę**

**pokrzepieni. Następnie przeszli
strumień wpraw i ruszyli w
dalszą drogę. Ziemia pod ich
nogami była teraz twarda i
sucha. Maszerowali przez rzadki
las szpilkowy, a o zmierzchu
znaleźli się na otwartej prerii.**

**O północy osiągnęli osiedle
Legrue. Tu zapukali do drzwi
samotnie stojącej chaty.**

**Właściciel domu, drobny
handlarz, popatrzył na
wchodzących ze zdumieniem. W
odpowiedzi na pytanie Payne'a,
gdzie znajduje się najbliższy
telegraf, wybałuszył oczy i
zapyta:**

**- Skąd właściwie
przychodzicie?**

- Z Diabelskiej Prerii.

**Handlarz w pierwszej chwili
machnął niedowierzająco ręką.**

**- Dobrze już, dobrze, chłopcy.
Nie będę pytał. Skoro
powiadacie, że z Diabelskiej
Prerii, wierzę wam. Wejdźcie
dalej.**

**- Jak daleko stąd do
najbliższego telegrafu? -
powtórzył z uporem Payne.**

- Dwadzieścia mil do Citrus Grove. Tamtędy biegnie już linia kolejowa. Możecie to sobie zostawić na jutro.

- Higgins, zostaniesz tutaj i wypoczniesz.

W odpowiedzi Higgins mruknął:

- Naprzód!

I o świcie, padając ze znużenia, dotarli do urzędu pocztowego w Citrus Grove.

Po południu telegrafista stracił dziesięć minut czasu, zanim udało mu się zbudzić Rogera. Payne przyrzekł mu bowiem pięć dolarów, o ile nadejdzie telegram w odpowiedzi na depeszę, którą Roger skierował do swego adwokata. Odpowiedź była zadowalająca i brzmiała:

"Kontrakt ze "Southern Cypress Company" podpisany. 30 dolarów

**za akr. Ustosunkowanie
"Company"
życzliwe. Zadowoleni, że**

**przedsiębiorczy element obejmuje
tereny. Akty posiadania bez
zarzutu. Zarządzą natychmiast
pomiaru. W Citrus Grove
oczekiwać geometry. Wyjeżdża
równocześnie. Garman tu nie
znany. Zasięgnę informacji".**

**Roger Payne obrócił się na
drugi bok i spał dalej. W
zaciśniętej pięści trzymał
kurczowo pasek papieru.**

W osiem dni później Roger stał na małej prerii pełnej kwiatów i badał lornetką zalane obszary na zachodzie. Dziwiło go, że Higgins nie wraca.

Ostatni tydzień przyniósł mu wiele sukcesów. Zapowiedziany mierniczy i zastępca "Southern Cypress Company" zjawili się punktualnie. Początkowo, gdy usłyszeli o przebyciu Diabelskiej Prerii, uśmiechnęli się tylko sceptycznie. Ale poznawszy bliżej obu młodzieńców z podziwem patrzyli na przyjaciół. Umieli należycie ocenić podobny czyn.

Higgins pozostał w Citrus Grove, by zorganizować wozami zaprzężonymi w woły transporty budulca i siły roboczej. Payne wyruszył naprzód w kierunku

**południowym. Wyćwiczony zaprzęg
mułów przewiózł go przez zalane
grunta do Deer Hamock.**

Wydeptana

**droga świadczyła o tym, że ktoś
odwiedzał wzgórze. Roger był
prawie pewny, że miał przed sobą
ślady stóp Garmana.**

**Tysiąc akrów ziemi, które
Payne nabył od spółki "Southern
Cypress Company", ciągnęło się
tak daleko na północ, że
zamykało swym obrębem również
uroczą Kwiecistą Prerię. Granica
wschodnia znajdowała się tam,
gdzie krzaki dżungli bzu stykały
się z wodami Everglades,
graniczna linia zachodnia
wybiegała aż na Piaszczystą**

Prerię.

- Prawdopodobne, że czekają pana tu nieprzyjemności - zauważył mierniczy. - Floryda jest krajem, gdzie trzody pasą się wszędzie. Hodowcy bydła przyzwyczaili się do tego od dawna i czują się tu panami.

- Czy Garman należy do tych ludzi?

- O Garmanie nie wiemy nic konkretnego.

Podobną odpowiedź otrzymał już Roger parę razy w ciągu ostatniego tygodnia.

- Jest rzeczą pewną, że hodowcy nadal będą wpędzać swe trzody na pańskie tereny, o ile ich pan bezzwłocznie nie ogrodzi. A jeśli pan to uczyni, też może dojść do zatargu.

Bywały już wypadki strzelaniny o prawo do wypasania bydła. Proszę się zatem mieć na baczności, mr Payne.

- Natychmiast ogrodzę moją posiadłość - odrzekł Payne. - Mam wrażenie, że jest to ze wszech miar wskazane.

Mierniczy skończył swą pracę i wyjechał. Roger pozostał zupełnie sam. Rozbił obóz u stóp jednego z przezroczystych, chłodnych źródełek, w samym sercu Kwiecistej Prerii. Wnet zapłonęło ognisko przed jego namiotem. Widocznie dym zwrócił czyjąś uwagę. Wkrótce bowiem usłyszał tętent kopyt. Za chwilę zza wysokiej trawy wyłonił się pędzący ku niemu koń. Na wierzchowcu siedział Ramos. Za nim jechała dziewczyna, w której Roger rozpoznał Anetkę. Niebawem

jeźdźcy zatrzymali się koło Rogera.

- A więc? - zapytał Roger.

- A więc? - odezwała się dziewczyna.

I uśmiechnęli się do siebie.

Anetka podjechała bliżej i zeskoczyła z konia. Ubrana była w białą kurtkę i białe spodnie.

Męski strój doskonale uwydatniał jej smukłą, powabną sylwetkę.

Wyraźnie cieszyła się tym spotkaniem, także Roger nie ukrywał radości z powodu milej niespodzianki.

- Przeczuwałam, że pan nie odjechał - zaczęła po chwili.

- A kto pani powiedział o moim wyjeździe?

- Wszyscy tak mówili.

- Garman?

Nagła czerwień pokryła jej policzki. A gdy się odwróciła, lęk zakradł się do serca Rogera.

- Zresztą to obojętne - odezwał się ponownie. - Faktem jest, że się stąd nie ruszę.

- Odnalazł pan swe posiadłości?

- Tak.

- I nie wyglądają tak, jak je panu opisano, nieprawdaż? - rzekła z wahaniem.

- Nie szkodzi - odparł uśmiechając się beztrosko. - To nie ma nic do rzeczy. Przywykłem już do tego, że sprzedający, pełni zapału, nawet uczciwi, przechwalają swój towar, bo w ich oczach jest on najlepszy.

Farmer, właściciel paru wzgórz i skał, oddałby życie za swą posiadłość i zachwycony opowiada, że ma najpiękniejszą ziemię na świecie. Tutejsze tereny są dzikie, mało znane, więc nabywając je zdawałem sobie sprawę, że ryzykuję. Moje tereny przedstawiają się dzisiaj może źle, ale za rok będą wyglądać całkiem inaczej.

- Nie padł pan zatem ofiarą oszustwa? - zapytała, a w jej głosie zabrzmiała nadzieja i ulga.

- Nie czuję się oszukany.

- Naprawdę?

Spojrzał na nią i odparł:

- Tak, naprawdę.

- Gdzie jest pana posiadłość?

- Tutaj. - Ręką wskazał na

Kwiecistą Prerię i dzunglę porośłą krzakami bzu.

- Tutaj? - zawołała z nieoczekiwanym podnieceniem.

- Tak - powtórzył. - Tutaj! -

I dla podkreślenia prawdy swych słów uderzył mocno nogą w ziemię.

- Och, jaka jestem szczęśliwa

- szepnęła. - Jakże się cieszę!

- dodała jakby odmieniona dziewczyna i zawróciła w miejscu konia, po czym szybkim galopem znikła z pola widzenia. Roger patrzył długo jeszcze w jej kierunku w nadziei, że znów się zjawi. Czekał jednak na próżno.

Wkrótce potem zjawił się Higgins z pierwszym zaprzęgiem wołów, a dzień później poprowadził sześciu wynajętych Murzynów, zaopatrzonych w szerokie piły, do ataku na gąszcze dżungli. Silni mężczyźni przecinali jednym pociągnięciem ostrej piły miękkie drzewo. Zwalone krzaki układano w stosy i palono. Przygotowany w ten sposób grunt nadawał się już pod ostrza pługów, które razem z traktorami miano przywieźć częściami z Citrus Grove na wozach zaprzężonych w woły. Przez dłuższy czas Roger sam nadzorował robotników. Później zajął się wznoszeniem płotu wokół prerii. W kierunku północnym i południowym należało

wysunąć go dość daleko, prawie o milę drogi. Roger zabrał się zatem od razu do wykopywania dołów pod pale. Pracował mniej więcej dwie godziny w spokoju, gdy nagle zauważył jeźdźca zbliżającego się od strony zachodniej. Był to przypuszczalnie kowboj. Zwalisty i silny, o ponurym, ostrym spojrzeniu. Zatrzymał konia przed linią graniczną i nie odwzajemniwszy pozdrowienia Rogera zapytał:

- Co pan tu robi?
- Płot - odparł Roger.
- Tu nie wolno niczego zagradzać.

Roger przerwał swą pracę i zmierzył przybysza badawczym spojrzeniem. Ten pewny siebie siedział wygodnie w siodle i spokojnie wytrzymał wzrok Rogera. I tak przez parę sekund oceniali się nawzajem. Rogera ogarnął gniew. Obcemu naprawdę nie zbywało na bezczelności. Zachowywał się tak, jak gdyby on tu był panem.

Roger wrócił do swego zajęcia. Zagłębił łopatę w ziemi, obrócił skibę, rozbił ją i znów podniósł w górę swe narzędzie pracy. Pracował tak długo, aż głębokość otworu wydawała mu się wystarczająca. Następnie posunął się o parę kroków dalej, przy czym otarł się prawie o wierzchowca. Tu wbił znowu łopatę w ziemię.

- Proszę się odsunąć!

- Do diabła! - brutalnym pociągnięciem za uzdę jeździec cofnął konia, który przerażony z otwartym pyskiem stanął dęba.

- Spokojnie, spokojnie - przestrzegał Roger. - Tylko nie przeklinać. To bardzo tania broń.

- Niech pan nie drażni mego konia!

- Koń stał właśnie w miejscu, gdzie zamierzam wbić najbliższy pał - odparł Roger kopiąc dalej.

- Żałuję, lecz przeszkadza mi pan. Jestem - jak pan widzi - bardzo zajęty. Nie znam pana, nie wiem, w jakim celu pan tu przybył, wiem tylko jedno, a mianowicie, że stoi pan na moim gruncie i że jest pan zuchwały. A jeśli pan nie ma mi poza tym nic do powiedzenia, życzę mu

wszystkiego dobrego i radzę się stąd wycofać.

Jeździec zdawał się zupełnie nie zważać na słowa Rogera. Siedział mocno w siodle jak ktoś, kto należycie nad sobą panuje i wyczekuje odpowiedniej chwili do ataku.

- Czy przeszkadzam panu?

- Tak!

- I sądzi pan, że wystarczy po prostu zjawić się tutaj, a natychmiast uda się przepędzić ludzi, którzy panu stoją na zawadzie?

- Normalnie człowiek ma tyle rozumu, by ustąpić, jeśli stoi

**na obcym gruncie i przeszkadza
właścicielowi.**

**- Czy przybył pan tu po to, by
nam prawić morały?**

**Roger nie dał żadnej
odpowiedzi i zabrał się znowu do
pracy.**

**- Za żadną cenę nie pozwolimy
panu wznieść płotu.**

**Głos przybysza był pełen
wściekłości. Roger przeczuwał,
co się stanie, lecz nie odkładał
łopaty. Odwrócił się do jeźdźca
plecami, nachylił się i
wyczekiwał ataku.**

**- Tu nie wolno wznosić płotu.
Rozumie pan! - warknął jeździec.**

**- Przybyłem to panu oznajmić.
Słyszałem, jakie pan ma zamiary,
lecz nie sądziłem, że jest pan
aż tak pomyłony, aby je
wprowadzać w czyn. Przestrzegam
pana przed dalszą pracą.**

**Wszędzie tu są wolne tereny
wypasu dla naszych trzód.
Przerwij pan swe zajęcie, a
oszczędzi pan sobie wiele
pieniędzy, a nam wysiłku
zrywania płotu.**

- To byłoby wbrew prawu!

- Prawo! Prawo my tu tworzymy.

**Pan jest tu obcy, dlatego
wyjaśniam panu, jakie prawo tu
obowiązuje. Przerwij pan
natychmiast pracę. I jeśli nie
będzie pan zmieniał tutejszych
praw, nie wejdziemy panu nigdy
więcej w drogę. O ile jednak
będzie się pan nam sprzeciwiał,
przekona się pan niebawem, co
panu grozi. Chyba mnie pan
zrozumiał. Tylko tyle chciałem
panu powiedzieć.**

**To rzekłszy jeździec wbił
gwałtownie ostrogi w boki
wierzchowca, aż rumak zerwał się**

jak wicher. Roger odwrócił się błyskawicznie i wymierzył mu

łopatą silny cios między nozdrza. Koń z przeraźliwym rzeniem uniósł się pionowo w górę, podczas gdy przednimi nogami zawisł nad głową Rogera.

Rozwścieczony jeździec zaczął się szamotać z koniem próbując go skierować na Rogera, ten jednak odskoczył na bok, zamierzając go ściągnąć z siodła. Wobec tego przybysz dał za wygraną i galopem popędził naprzód wśród przekleństw ciskanych na konia i człowieka zagrażającego mu drogę. Batem

**chłostał bezlitośnie wierzchowca
doprowadzając zwierzę do szału.
Niebawem zawrócił i krążył
dokoła Rogera.**

**- Z drogi! - krzyczał. - Z
drogi, żóltodziobie, bo stratuje
cię na miazgę!**

**Roger uskoczył zręcznie na
bok, albowiem rumak całym
impetem pędził teraz na niego.
Dzięki młodzieńczej zwinności
udało mu się uniknąć kopyt
końskich i ciężkiego bata
kowboja.**

**- To było sprytnie zrobione,
mój chłopcze. Mimo to dostaniesz
się zaraz pod kopyta Karlosa.**

**Roger rozejrzał się dokoła.
Byli sami na rozległej prerii.
Jak daleko sięgnąć okiem, nie
widział nikogo, kto by mu mógł
przyjść z pomocą. W odległości
trzystu jardów widać było grupę**

**karłowatych palm i nielicznych
sosen. Roger pomyślał, że o ile
udałoby mu się dostać do tego
miejsca, wyrównałoby to do
pewnego stopnia przewagę, jaką w
otwartym polu ma jeździec nad
piechurem. Równocześnie
uświadomił sobie
niebezpieczeństwo zagrażające mu
wtedy, gdyby tylko na chwilę
odwrócił się plecami do
rozszałanego konia. Dlatego
natychmiast odstąpił od tego
planu. Wściekłość go ogarniała
na myśl, że na swoim własnym
gruncie wydany jest na łaskę i
niełaskę obcego człowieka. Czyż**

**nie stał obiema nogami na ziemi,
która stanowiła jego własność?
Miałby czmychać przed
rozbijającym się bezprawnie
kowbojem? Podniósł w górę łopatę
i począł przygotowywać się do
obrony. Przybrał bojową postawę.
Jeździec najechał natychmiast na
niego. W następnej sekundzie
ujrzał Roger przed sobą rozdęte
nozdrza, wystającą szczękę i
groźne kopyta wierzchowca. Teraz
zrozumiał, że zachowując się
zaczepnie popełnił wielkie
głupstwo. Rumak niemal zawisł
kopytami nad jego głową, więc
odskoczył w bok i łopatą
usiłował ugodzić z całej siły
człowieka na siodle. Ale koń,
którego nozdrza drgały jeszcze
od poprzedniego ciosu,
niespodzianie rzucił się na
lewo. W oczach Rogera zabłysła**

nadzieja.

- Pokaż, łajdaku, co potrafisz! - krzyknął i ruszył do miejsca, gdzie poprzednio pracował. Począł urągać obcemu, aby spotęgować jego wściekłość i odwrócić uwagę od świeżo wykopanych dołów, do których chciał zapędzić konia. Kowboj nie zauważył grożącego mu niebezpieczeństwa, opanowany jedną myślą, aby jak najprędzej stratować lżącego go człowieka. Dwa razy rzucił się na zręcznie ustępującego przeciwnika, dwa razy wymierzał Roger taki cios, że przerażony koń odskakiwał gwałtownie na bok. Wreszcie przy trzecim ataku dopisało mu szczęście. Przednia noga wierzchowca ugrzęzła w dole, do którego zwabił go Roger. Jeździec wyleciał z

**siodła jak z procy
i upadł na ziemię. Nie doznawszy
żadnych obrażeń zerwał się na
równe nogi.**

**- Pogadajmy teraz rozsądnie -
zapropozował Roger.**

**Kowboj, nieprzytomny ze
złości, rzucił się wśród
przekleństw i złorzeczeń na**

**przeciwnika. Roger odbił cios
uderzeniem lewej pięści, która
ugodziła napastnika w skroń.
Lecz nawet ten celny, straszliwy
cios nie dał spodziewanego
rezultatu. Kowboj natarł na
Rogera starając się obalić go na
ziemię. Walka przerodziła się w**

dziką bijatykę. Kowboj miotał się rozpaczliwie i zgiąwszy swe twarde i ciemne jak szpony palce walił nimi Rogera.

- Zabiję cię, przybłędo! Wnet sępy będą miały z ciebie pociechę! - krzyczał.

- Walcz jak należy! - zawołał Roger. - Zamknij pięści, bo inaczej pożałujesz!

W odpowiedzi na to przeciwnik zdzielił go nogą w brzuch. Roger zaczerpnął głęboko powietrza, a napelniwszy nim płuca doprowadzony do ostateczności doskoczył do kowboja i bił niemiłosiernie. Sposób walki obcego, niegodny mężczyzny, doprowadzał go do wściekłości. Postanowił dać mu nauczkę. Wycelował i wymierzył obcemu tak silne uderzenie między żebra, że pozbawił go prawie oddechu. Raz

po raz trafiał w twarde jak stal ciało kowboja. Ale upatrzył sobie jedno, zdaje się, bardzo wrażliwe miejsce. Wreszcie zauważył, że jego przeciwnik zaczyna się chwiać. Roger ostatnim ciosem powalił go na ziemię i cofnął się o parę kroków. Kowboj leżał przed nim zdyszany, bezradny. Z lękiem w oczach wpatrywał się w but Rogera. Mimo straszliwych ciosów, jakie mu się dostały, nie stracił przytomności.

- Czy sądzisz, że będę się znącał nad człowiekiem, który leży na ziemi? - wykrztusił zmachany Roger. - Wstań! Nie skończyliśmy jeszcze z sobą. Należy ci się dobra porcja kijów!

- Nie mogę się podnieść - wystękał kowboj. - Muszę mieć

złamane biodro lub nogę.

- Wstawaj!

Mężczyzna spróbował, lecz już za chwilę opadł bezradnie z powrotem.

- Nie mogę się poruszyć.

Roger spojrział na niego niezdecydowany: jeszcze przed paru minutami porwany walką nie oszczędzałby go. Lecz teraz, gdy pierwszy poryw ostygł, a przeciwnik leżał na ziemi, sytuacja przedstawiała się całkiem inaczej. Nie mógł atakować bezbronnego.

- Pokaż! Gdzie cię boli?

- Tutaj - kowboj wsunął prawą

rękę do bocznej kieszeni spodni.

- Potworny ból, że ruszyć się nie mogę.

Roger ukląkł nad bezbronnym.

- Och! Moja noga! - lamentował obcy.

Roger nachylił się, aby obejrzeć nogę, i wtedy poczuł piekący ból pod łopatką.

Odskoczył w tył. Kowboj zerwał się z szybkością, która zdradzała cały jego podstęp. Na widok długiego, składanego noża, lśniącego w ręce przeciwnika, Roger zrozumiał, że dał się podejść. Obcy stękał udając, że złamał kość, a w tym czasie otwierał w kieszeni nóż. Gdy Roger się nachylił, wbił mu go podstępnie w plecy. Teraz kowboj wpatrywał się w Rogera oczyma pełnymi nienawiści i złośliwej radości. Czekał na efekt

pchnięcia nożem. Spodziewał się, że jego przeciwnik wkrótce padnie nieżywy na ziemię. Był tak pewny swego, że nie próbował więcej atakować. Lecz oczekiwany koniec wcale nie nastąpił. Twarz zranionego nie przyoblekła się trupa bladością.

- Chybiłeś - odezwał się spokojnie Roger dotykając dłonią zranionego miejsca. - Jedno żebro dziabnięte, to wszystko. Teraz, łotrze, miej się na baczności!

To rzekłszy skierował się prosto w stronę ostrza noża,

wyniosły, z napiętymi mięśniami,

zdecydowany albo skończyć z przeciwnikiem, albo jak najdrożej sprzedać swe życie. Obcy jak zahipnotyzowany nie mógł oderwać od niego spojrzenia. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, dlaczego wzrok przeciwnika mrozi mu krew w żyłach. Pojął tylko jedno: trafił na mistrza.

Ciągle jeszcze stojąc z nożem w dłoni cofnął się o jeden krok, następnie o drugi, ogarnięty dziwnym, panicznym strachem zachwiał się, zawrócił, pobiegnął w kierunku swego konia, wskoczył nań i uciekał galopem jak przed diabłem. Dopiero gdy oddalił się na znaczną odległość, odwrócił się na siodle wywijając groźnie nożem. Niedługo później znikł za kępką karłowatych palm. Roger odniósł pełne zwycięstwo.

XVIII

Zastanowiwszy się chwilę Roger wolnym krokiem skierował się do owego odległego miejsca, gdzie Higgins i Murzyni trzebili dżunglę.

- Odwołaj ich - zarządził. -

Wszyscy musimy pracować przy ogrodzeniu. Otrzymałem ważną wiadomość. Powinienem jak najszybciej dać odpowiedź.

- Rozumiem - odparł Higgins i chwycił za krótki karabin, jeden z tych, które nadeszły pierwszym transportem. Roger uczynił to samo.

- Spodziewam się, że gdy ukończymy pracę, dowiemy się, co zaszło.

Poprowadzili swych ludzi do linii granicznej na zachodzie i rozpoczęli robotę. Potem Roger opowiedział przyjacielowi o swej walce z kowbojem. Higgnis nałożył mu prowizoryczny opatrunek. Na szczęście rana nie była ani głęboka, ani niebezpieczna.

- Zamierzałem wznieść płot bez niczyjej pomocy. Chciałem być sam, gdy nadejdą, i pogadać z nimi rozsądnie. Pragnąłem w najłagodniejszej formie przekonać ich, że dla tych stron nastaje teraz nowa era. Ale widzę, że się omyliłem. Odrzucili przyjaźń, z jaką wyszedłem im naprzeciw.

- To było do przewidzenia, że

**tutejsi ludzie, hodowcy bydła
będą się trzymali kurczowo prawa
wolnego wypasania - zauważył
Higgins.**

**- Wszędzie na świecie są tacy
sami. Każdy płot jest dla nich
czerwoną płachtą. Chciałbym się
dowiedzieć, czy był to któryś z
ludzi Garmana?**

**- Możliwe. Lecz to chyba
obojętne. Teraz pracujemy nad
ogrodzeniem. Następny krok do
nich należy. Niech się zjawia,
skoro mają po temu ochotę. A
gotów jestem się założyć, że tej**

**im nie zabraknie. I wydaje mi
się, że już są w drodze.**

Roger odwrócił się. Bystre oczy Higginsa najszybciej dostrzegły trzy małe ruchome punkty gdzieś daleko na horyzoncie. Nawet z tej odległości można było rozpoznać w nich wolno jadących jeźdźców.

- Oho, mój przyjaciel nie zmarnował czasu. Od razu zawiadomił swych towarzyszy - rozpoczął Roger. - Higgins, przejdź na drugą stronę, do Murzynów! Jeżeli uda im się odbić nam tych paru ludzi, cała okolica o tym się dowie. A skoro czarni usłyszą, że biali są przeciw nam, nie mamy co więcej liczyć na ich współpracę. Jeżeli ci inni są tego samego pokroju, co drab, z którym miałem do czynienia, spróbują naszych ludzi stratować końmi, nie inaczej, jak on usiłował uczynić

ze mną.

- Masz rację. To jest ich sposób, tych przeklętych kowbojów.

- Najlepiej będzie, jeżeli od razu położysz trupem pierwszego konia, który zacznie na ciebie nacierać. Ja na moim skrzydle uczynię to samo. Ale potem - stop. Ani jednego strzału więcej. I mierzyć tylko w konie. Bez niepotrzebnej gadaniny. I tak za długo rozprawiałem z tym nicponiem. Warto zobaczyć, co taki robi, gdy straci wierzchowca.

- Dobrze. Lecz słyszałem, że noszą przy sobie broń - zauważył Higgins z wahaniem. - Zapewne umięją się z nią obchodzić.

- W porządku - odparł oschle Roger. - Miejmy się zatem na baczności.

Trzej jeźdźcy znajdowali się jeszcze ciągle w dużej odległości od Rogera i Higginsa. Zbliżali się kłusem. Odnosiło się wrażenie, że ani nie popędzają zbyt swych koni, ani nie mają określonego

kierunku. Niekiedy znikali za grupą karłowatych palm lub gubili się wśród rozrzuconych cyprysowych gajów.

- Wyglądają tak, jakby spali - odezwał się Higgins.

- Czy uważają nas za głupców, którzy dadzą się złudzić pozorami i uwierzą, że jest to przejażdżka dla przyjemności?

Jeźdźcy skryli się właśnie za kępą rozrosłych starych cyprysów otaczających dół napełniony wodą. Gdy się ponownie ukazali, skręcili galopem na północ.

- Zawracają?

- Tak! Nie! Znowu zmienili kierunek!

Roger chwycił za lornetkę. Lecz zanim zbliżył ją do oczu, jeźdźcy zniknęli za palmami rosnącymi na wzgórzu w odległości pięciuset jardów. Murzyni przerwali pracę i patrzyli w twarze swych panów oczekując poleceń. Byli gotowi uciec, o ile w następnej chwili nie padnie rozkaz.

- Wszyscy na ziemię! - rozkaz Rogera podziałał błyskawicznie. Murzyni, szczęśliwi, że mają w pobliżu białego, który za nich myśli,

rzucili się na trawę spoglądając nie na pagórek, skąd groziło niebezpieczeństwo, lecz na Rogera.

Roger i Higgins stali bez ruchu w miejscu, każdy z karabinem na ramieniu. Czekali.

- Jeżeli chcą z tak znacznej odległości trafić, muszą być diabelnie celnymi strzelcami.

- I ja tak sędzę. Ponadto muszą rozporządzać lepszą bronią niż stare, powszechnie tu napotykanne manlichery.

- Jeżeli to ludzie Garmana, nie ulega wątpliwości, że mają najbardziej nowoczesną broń.

- Oczywiście.

- Pytanie tylko, czy to ludzie Garmana?

Higgins starał się na oko ocenić odległość dzielącą ich od

palm.

- Słuchaj, Roger. Jeśli mają przy sobie karabiny springfield i umieją się z nimi obchodzić, bylibyśmy ostatnimi głupcami chcąc im służyć za cel.

- Rzuć się wobec tego na ziemię.

- Do diabła! Chciałem tylko powiedzieć, że byłoby znacznie rozsądniej podejść bliżej. Wtedy z naszymi karabinami mielibyśmy równe szanse.

- Lecz wówczas nie bylibyśmy na własnym terenie. Lepiej będzie, jeśli oni się do nas zbliżą.

- Rozumiem. Ale na co

**właściwie czekają? Spójrz no
dobrze przez lornetkę na palmy.**

- Nie mogę nic dostrzec.

**Słońce nie przenika przez
drzewa.**

**- Te draby wiedziały, dlaczego
wybierają to miejsce. Tam mają
chłód i cień, a zza palm mogą
bezpiecznie celować do nas. Coś
ci zaproponuję, Roger, bez
względu na to, jak to
przyjmiesz. Skoro tylko padnie
strzał z tej przeklętej
zasadzki, pójdę na pagórek. Czy
widzisz te karłowate palmy
opodal? Tam się położę i sprawię
im piekielną łaźnię.**

**Roger wciąż jeszcze spoglądał
przez lornetkę na palmy.
Zauważył też niebawem, że wzdłuż
grupy drzew biegnie rodzaj
ścieżki dla jazdy konnej. Tą
drogą zbliżali się powoli trzej**

jeźdźcy. Nagle cofnął się w tył. Pod wpływem chwilowej emocji fala krwi oblała jego policzki.

- Higgins, na miłość boską, schowaj szybko broń. Ale już. A wy, ludzie, do roboty. Jak najrychlej. Wszystko w porządku. Naprzód!

Rzucił swój karabin na ziemię, chwycił za łopatę, zabrał się do pracy nie bacząc na zdumione spojrzenie Higginsa. Pracował zawzięcie, a czarni poszli za jego przykładem.

Jeźdźcy w galopie zbliżali się ku nim. Byli to: Garman, mrs Livingstone i Anetka. Garman

**wywierał teraz całkiem odmienne
wrażenie niż wówczas przy
ognisku na wzgórzu Deer
Hammock.**

**Także dziewczyna nie
przypominała niczym owej dzikiej
piękności, która przed paru
dniami opuściła galopem
Kwiecistą Prerię. Jedynie mrs
Livingstone była taka, jak ją
Roger zachował w pamięci:
sztywna, afektowana, zarozumiała
i niezwykle przejęta swą rolą
ciotki przyzwoitki.**

**Tym razem prezentował się
Garman jak wytworny światowiec,
jak znawca luksusu i bogactwa.
Roger zazdrościł mu niemal
elegancji i wytrawności, z jaką
grał swą rolę, podczas gdy on
sam stał przed nimi w
kombinezonie, od stóp do głów
ubrudzony ziemią.**

Kto Garmana widział w tej postaci, nigdy by nie uwierzył, że człowiek ten w interesach nie przebierał w środkach i że pozostawał w kontakcie z różnymi podejrzanymi indywiduami. Nie. Podobne przypuszczenie mogło tylko budzić śmiech. Dziś całą swą uwagę skupił na tym, by dla obu pań ze swej sfery być podczas przejażdżki miłym towarzyszem i uprzyjemnić im czas, jak na prawdziwego dżentelmena przystało. A jednak pod maską doskonałych manier wyczuwało się siłę tego człowieka i hipnotyczny wpływ, jaki wywiera na swe otoczenie. Wyczytać to można było w jego oczach, wyraz których nie mógł zmylić baczego obserwatora.

Roger spojrział na Anetkę.

Zauważył, że i ona pozostaje pod wpływem Garmana i że jego bliskość ją zmieniała. Był to wpływ, któremu poddawała się bez sprzeciwu i który podniecał ją jak tajemniczy narkotyk. Jej zwykle spokojne i jasne oczy

były jak gdyby zamglone. Wysoka postać dziewczęcia straciła swą elastyczność. Ręce położyła niedbale na siodle, ale wargi jej były zaciśnięte, jak gdyby jej wola toczyła zaciętą walkę z pragnieniem poddania się wpływowi Garmana.

- Dzień dobry - zaczęła uśmiechając się bez troski. - Czy

to prawda, że zamierza pan zamknąć Kwitnącą Prerię, ten "ogród marzeń"?

- Tak - odparł Roger. - Lecz dla pani każe wznieść osobną bramę.

- Ładnie to z jego strony, nieprawdaż? - rzekła mrs Livingstone do Garmana z fałszywym, afektowanym uśmiechem

na ustach. - Zatem będziemy mieli prawo odbywania tędy nadal naszych przejazdów? Powiedz pan, Garman, czy właściwie wolno tu stawiać płoty?

Garman musnął ręką swój złoty wąs. Potem pochylił się lekko przed mrs Livingstone, jak gdyby było mu przykro, że nie może udzielić przeczącej odpowiedzi na jej pytanie.

- Tak, to dozwolone - odezwał

się ochryplym głosem Roger.

**- Ma rację - potwierdził
gniewnym tonem Garman. -
Oczywiście, o ile teren jest
własnością śmiałka.**

**Roger spojrział na niego
groźnie.**

**- Gdzie jest Willy Tygrys? -
zapytał. - Co pan z nim zrobił?**

**- Chodź, Anetko - zaproponowała
mrs Livingston. - Tu robi się za
gorąco. Jedźmy z powrotem.**

**Anetka ociągała się. Garman
napierał swoim koniem na jej
wierzchowca i uśmiechnął się do
niej. Starła się tego nie
widzieć.**

**- Dobrze, cioteczko - odparła
nerwowo i odwróciła się. A gdy
zbierała się do odjazdu,
wydawało się Rogerowi, że na jej
twarzy widoczna jest ulga z
powodu oddalenia się od Garmana.**

**A może się łudził? W jej oczach
wyczytał wołanie o pomoc i
równocześnie przyrzeczenie, że
wnet wróci.**

XIX

**- Co się stało z Willym
Tygrysem? - powtórzył Higgins,
gdy kobiety oddaliły się nieco.
Garman zrzucił z siebie maskę.
Był to znowu ten sam bezwzględny
co na wzgórzu Deer Hammok
brutal
nie uznający żadnych uczuć.
- Payne - rozpoczął. -**

Popełnił pan błąd zabierając ze sobą człowieka o rudych włosach. Do diabła, czy nie wiedział pan o tym, że rude włosy są oznaką porywczosci. Tacy ludzie nadają się na robotników. Nigdy jednak nie powierzyłbym im kierowniczego stanowiska.

Twarz Higginsa pokryła się groźną czerwienią. Muskuly na karku nabrzmiały. Gwałtownymi krokami zbliżył się do Garmana.

- Hola, Higgins! - zaśmiał się Roger. - Co z tobą? Chcesz mu udowodnić, że ma rację? Że jesteś naprawdę porywczy?

- Osobiście nie interesuję się Willym wcale - rzekł Garman - lecz widzę, że niektórym ludziom jego los nie jest obojętny.

Zatem nie wrócił do pana?

- Nie.

- Nie widział go pan od tamtej

pory?

- Nie.

- Ja również nigdzie go nie spotkałem. Powrócił zapewne do swoich. Indianie zjawiają się i znikają. Sądziłem, że jest może u pana... No, sprawa Tygrysa byłaby zatem wyczerpana. Chodzi mi jednak jeszcze o coś innego. O ile ma pan zamiar tu pozostać, byłoby lepiej, byśmy pogadali z sobą rozsądnie. Nie ma pan chyba nic przeciw temu?

- Oczywiście.

- Widzę, że chce pan ten teren przygotować pod uprawę roli?

- Tak. Mam ochotę spróbować.

Garman spojrział na niego z uśmiechem.

- Komiczne. A wcale nie wygląda pan na takiego, kto nie potrafi odróżnić dobrego interesu od złego.

Payne nie dał żadnej odpowiedzi.

- Zorientował się pan już chyba, że dał się pan wciągnąć w wątpliwy interes. Jest on beznadziejny, nawet gdyby sytuacja pana była bardziej różowa, niż pan przypuszcza.

- Co pan ma na myśli?

Garman wyglądał na ubawionego.

- Payne, gdybym powiedział panu teraz, że żałowałbym ogromnie, jeśli by pan dał za wygraną i znikł...

Roger roześmiał się.

- Serce pękłoby panu z bólu, nieprawdaż, Garman?

- Co to, to nie - odpowiedział Garman. - Lecz fakt ten pozbawiłby mnie pańskiej obecności. Mam naturę towarzyską, Payne. Lubię dookoła siebie rozmaitych ludzi. Weź pan na przykład Ramosa. Czy widział pan kiedyś bardziej zarozumiałego, przykrego, pełzającego mieszańca od Ramosa? Bo ja nie. Z pewnością nie ścierpiałby pan jego obecności w pobliżu siebie.

- Całkiem słusznie.

- A widzi pan. Ale przecież można się nim doskonale zabawić. Pominąwszy oczywiście jego walory pierwszorzędnego pracownika.

- Możliwe. Lecz ja ludziom tego rodzaju nie dałbym pracy.

Garman przez parę chwil spokojnie kurzył cygaro.

- Payne. Jeśli jest coś do zrobienia, co pan nazywa "pracą", nie poruczam tego nikomu. Ufam tym oto dwóm rękóm.

Zrozumiano? Ramos czuje się doskonale w roli na wszystko zdecydowanego pomocnika.

Roger przerwał mu:

- Mnie nie obchodzi wcale Ramos ani pańskie kaprysy.

- Rozumiem. Lecz zanudziłbym się na śmierć, gdybym w pobliżu nie miał ludzi, którymi mogę się zabawiać.

- Nie wygląda pan na człowieka marnującego czas na

niepraktyczne rzeczy.

- Mój kochany chłopcze - rzekł Garman uśmiechając się. - Pan się myli. Bawię się bardzo chętnie życiem innych ludzi. Na tym polega moja rozrywka, bez której zginąłbym z nudów.

I śmiejąc się bez przerwy wywodził dalej.

- Jest pan jeszcze młody. Panu wystarczają na razie iluzje, które pana życiu nadają sens. - Głos jego przesiąkł nagle goryczą. - Ambicja, praca, powodzenie, miłość. Goni pan za błędnymi ognikami, którymi natura wabi ludzi i tak długo utrzymuje przy życiu, aż spełnią swe zadanie. Wierz mi pan, wypróbowałem wszystko, trzymałem się kurczowo złudzeń, osiągnąłem, co chciałem, a

jednak - puścił kłęb dymu przed siebie - tylko w namacalnej rzeczywistości tkwi prawdziwe zadowolenie, ona daje więcej przyjemności niż ułuda, za którą uganiamy się, jak długo jesteśmy młodzi i niedoświadczeni.

- Powinien pan zasięgnąć porady lekarskiej - zauważył oschle Roger. - Wątroba pana musi być nadwerężona.

W odpowiedzi na to Garman parsknął śmiechem. Pochylił się w siodle.

- Mój młody przyjacielu, nieraz jeszcze przyjdzie nam z sobą pożartować. Jak na tak młody wiek jest pan strasznym materialistą. Co będzie pan miał do powiedzenia na ten temat w wieku pięćdziesięciu lat, skoro już dzisiaj sprowadza pan psychologiczne fakty do

fizycznych przyczyn? W pańskim wieku, mój przyjacielu, trzeba

bujać w obłokach, tęsknić do jedynej kobiety, tej wymarzonej towarzyszki, i szukać miłości, która czyni życie doskonałym.

Wszyscy młodzi głupcy w pana wieku robią to przecież, dlaczego pan miałby być inny?

- Igra pan zatem życiem innych ludzi? - zapytał Payne.

Poprzednim, drwiącym słowom Garmana nie poświęcił pozornie najmniejszej uwagi. - I dlatego sądzi pan, że warto by i ze mną spróbować?

Garman odrzucił w tył głowę i

uśmiechnął się poprzez gęste kłęby dymu.

- Tak - odparł łagodnie. -

Chyba że pan wcześniej czmychnie. Lecz pan tego nie uczyni. Pan nie jest tchórzem. Właśnie dlatego pan mnie pociąga. Dlatego też spodziewam się po starciu z panem szczególnych emocji. Czyż istnieje bowiem coś ciekawszego jak przypatrywanie się młodemu człowiekowi, opętanemu jedną myślą tak wyłącznie, że gotów dla niej życie swe poświęcić!? Czy to nie zabawne odsuwać od niego jak najdalej utęskniony obiekt? Powiedz pan sam, młody przyjacielu, czy to nie będzie niezwykle ciekawe? Czy to nie zabawne być na przykład świadkiem jego rozczarowania, gdy wreszcie przekona się, że

**jest zgubiony? Lub patrzeć, jak
rozpływają się iluzje i
wszystkie nadzieje z nimi
związane? Co zrobi ten młody
człowiek, co powie, jak będzie
wyglądał, gdy nagle pojmie, że
życie jest jałowe, próżne,
zwodnicze?**

- Pan majaczy, Garman!

**- Możliwe. Pytam pana: czy
przyjmuje pan me wyzwanie?**

- Naturalnie.

**- Dobrze, młody przyjacielu!
Wiedziałem, że pan mnie nie
rozczaruje. Dziewczyna też warta
mojej gry. Teraz dzięki panu
czeka mnie podwójna przyjemność.**

**Ośmiela się pan szukać
ziemskiego raju, zapłaci pan za
to życiem. Bajeczne, jednym
słowem bajeczne!**

**- Mówi pan jak szaleniec,
Garman.**

**Garman skinął głową i jego
drwiący ton nagle się gdzieś
ulotnił.**

**- To mamy zatem załatwione. A
teraz sprawa druga. Jakie pan ma
zamiary? Plany?**

**- Zamiary? Nie oddawać się w
pańskie ręce.**

**- Słusznie! Bądź pan wobec
tego ostrożny. Jestem do pana
naprawdę przyjaźnie usposobiony.
Ma pan ciężkie zadanie przed
sobą. Czy mógłbym panu w czymś
pomóc?**

**- Mam tylko jedno życzenie:
nie wtrącaj się pan w moje
sprawy i zechciej pan swych**

**ludzi trzymać z dala ode mnie,
mej pracy i moich zamierzeń!**

- W porządku. A co poza tym?

- To byłoby wszystko.

**Zaoszczędzi nam pan wielu
przykrości, jeśli spełni pan
moje życzenia.**

**Garman powtórnie skinął głową,
jak gdyby uważał sprawę za
wyczerpaną, i chwycił za cugle.**

**- Jak zamierza pan spędzić
najbliższą niedzielę? - zapytał
mimochodem.**

**Roger zastanawiał się przez
chwilę.**

**- Wybieram się na dół do Gumbo
Key. Zamówione przeze mnie bagry
do odwadniania terenów mają
nadejść w sobotę. Przyrzekłem,
że będę towarzyszył ładunkowi w
górze. Ruszamy potem w drogę w
poniedziałek o świcie. Przez
cały czas będę przy maszynach.**

- Szkoda na to pańskiego cennego czasu. Jestem pewny, że nic się nie zdarzy. O ile trzeba panu pomocy, może pan skorzystać ze starej "Manhattan" i na niej przewieźć cały transport.

- Dziękuję, ale moi ludzie dadzą sobie radę.

- Jak pan uważa. Nie ma jednak

faktycznie sensu, by pan z powodu tych maszyn zjeżdżał do Gumbo Key i marnował całą niedzielę. Mam polecenie zaprosić pana na niedzielne popołudnie. Ma to być rodzaj uroczystego powitania pana w naszym gronie. Powinien pan

przyjść. Między obecnymi będzie ktoś, czyj widok z pewnością pana ucieszy. I jeszcze ktoś, komu zależy na znajomości z panem. Ja na pana miejscu nie odrzucałbym takiego zaproszenia. Może ono być bardzo cenne. A zatem - do niedzieli.

- Czy Mrs Livingstone będzie tam również?

- Proszę się o nią nie troszczyć. W niedzielę jest zawsze łagodna jak baranek. Przyjdź pan o drugiej. A jeśli pan zechce, będzie pan mógł później na pokładzie "Manhattanu" zjechać na dół do Gumbo Key.

Nastąpiła krótka przerwa. Potem Garman uśmiechnął się i rzekł:

- Oczywiście, o ile się pan nie obawia, że może to być

pułapka.

Dobrze wiedział, że na podobne napomknienie możliwa jest tylko jedna odpowiedź.

- Więc w niedzielę o drugiej**
- powtórzył dobitnie Roger.**
- Tak jest!**

Garman spał konia ostrogami i galopem ruszył w powrotną drogę.

XX

Roger nie zastanawiał się dłużej nad zmianą w zachowaniu się Garmana. Nie liczył na niczyją przychylność ani się jej nie spodziewał. Żądał tylko, by Garman się do jego prac nie mieszał.

W następnych dniach wykończyli płot, ponadto wycięli i spalili część dżungli. A potem Roger i

Higgins zabrali się z zapalem do

**wyznaczenia miejsc pod rowy
odwadniające, które miały
przerznąć zalane tereny. Plany
Higginsa wskazywały na
konieczność zbudowania dwóch
głównych kanałów już od źródeł
rzeki Chokohatchee w kształcie
liter V. Zadaniem ich było
odprowadzenie wody z powierzchni
mulistego jeziora zakupionego
przez Rogera jako preria.**

**Przewidywali, że wielkie
maszyny brnąc w miękkim
trzęsawisku posuną się
codziennie o pół mili naprzód.
Według tych obliczeń tydzień**

powinien wystarczyć, by wody odpłynęły głównymi rowami. Ponadto przygotowali plan tak zwanych rowów poprzecznych, które rozmieszczone w pewnych odstępach miały znaleźć ujście w kanałach głównych. W ten sposób poddano by gruntownemu odwodnieniu nie tylko każdą część z owego tysiąca akrów, lecz także ułatwiono by odpływ wody podskórnej. Garman dotrzymywał snadź słowa. Roger oczekiwał co rano wiadomości, że przecięto w nocy płot z drutu kolczastego, lecz nic podobnego nie nastąpiło.

- Jest to niezbity dowód, że Garman cieszy się w tych stronach nieograniczonymi wpływami. Kowboj, którego stłukłem, miał z pewnością zamiar wrócić i zemścić się.

Ktoś musiał go jednak powstrzymać. W przeciwnym razie byłby tu jeszcze tej samej nocy z całą bandą swych towarzyszy. Ział taką wściekłością, że od zemsty mógł go tylko powstrzymać ktoś o wyjątkowych wpływach. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to Garman. A może ty jesteś innego zdania?

- Masz rację, lecz ja na twoim miejscu nie dowierzałbym mu. W żadnym wypadku.

- Nie obawiaj się, nie wprowadzi mnie w błąd. Upatrzył mnie sobie na rozrywkę, jak się

wyraził. Zobaczymy, czy mu się

uda. Musimy tu pozostać za wszelką cenę. Ale może się boisz?

- Naturalnie, że się boję. Strasznie się boję - odparł poważnie Higgins, a potem roześmiali się obaj.

Pewnego dnia przybiegł do Rogera bardzo wzburzony Murzyn, jeden z pracujących wokół dżungli.

- Panie! Tam w krzakach biały mężczyzna ze strzelbą płoszyć czarnych chłopców!

Roger podążył za gestykulującym żywo Murzynem.

Po

drodze zauważył, że piły robotników wycięły już wielką część dżungli. Przy tej sposobności dotarli do polany, u wylotu której stała stara, zapadnięta chata. Wielki,

kościsty mężczyzna o długich włosach i brodzie stał przy drzwiach lepianki. W ręku trzymał przygotowany do strzału karabin. Tuż za nim siedziała niestara jeszcze kobieta, w rysach której widać było ślady dawnej piękności, a obok niej dwoje dzieci.

- Dzień dobry, sąsiedzie! - rzekł Roger. - Co się tu właściwie dzieje? - zbliżył się do chaty.

Mężczyzna zamiast odpowiedzi podniósł tylko broń i skierował ją w pierś Payne'a. Roger zatrzymał się.

- Proszę nie strzelać! - zawołała kobieta. - Jest was przecież tylu przeciw niemu jednemu.

- Zamilcz! - krzyknął mężczyzna. - Marsz do chałupy!

**- Odlóż pan broń, człowieku -
rzekł spokojnie Roger. - I
wy tłumacz mi pan, co się tu
dzieje? Czy moi ludzie dokuczyli
panu w jakiś sposób?**

**- To pan! - odparł obcy. - Pan
chce mnie wygnać z tego miejsca!
Lecz ja pozostanę! Ani myślę
ustąpić!**

**Roger rozejrzał się po
polanie. Dostrzegł ślady
prymitywnego gospodarstwa tutaj,
w gęstej dżungli, z dala od
świata. Na ścianach chaty
wisiały rybackie sieci, wnyki na
zwierzyńę, skóry wyder i szopów.
Na małym skrawku polany**

uprawiano specjalny rodzaj korzenia, z którego Indianie ze szczepu Seminolów robią mąkę. Na kilku wąskich grządkach widać było jarzyny. Z rosnących tu i ówdzie drzew zwisały suszone pomarańcze, między konarami wyższych umieszczono huśtawkę splecioną z mocnych lian.

**- Nazywam się Payne, sąsiedzie
- odezwał się Roger.**

Mężczyzna spojrział na niego nieufnie. Wreszcie opuścił strzelbę z ramienia, lecz ciągle jeszcze trzymał palec na języku spustowym.

- Nazywam się Blease - odparł.

Roger przypatrywał się uważnie obcemu. Ku swemu największemu zdumieniu stwierdził, że Blease nie wyglądał wcale tak nieprzyjemnie, jak można by się spodziewać po człowieku, który

**ukrywa się na takim odludziu.
Włosy jego i broda były długie i
rozwichrzone, odziany był co
prawda nędznie i widocznie
niedożywiony, lecz Roger dość
długo
żył w lasach, by wiedzieć, że
nie należy oceniać człowieka na
podstawie jego powierzchowności.**

**Podczas gdy mierzył
spojrzeniem Blease'a, który
również wpatrywał się weń
wnikliwie oczyma, wyczuł bratnie
serce bijące pod pozornie
szorstką powierzchownością tego
samotnego osadnika.**

**- Jak długo żyje pan już w tej
dżungli, Blease? - zapytał.**

**- Dwa lata - odparł obcy po
chwili wahania.**

**- Czy rości pan sobie jakieś
pretensje do tej ziemi?**

Znowu nastąpiła długa przerwa.

A dopiero potem odpowiedź.

- Nie, panie. Żadnych.

**- Czy ma pan muła? -
zainteresował się nagle Roger.**

- Muła? Nie. A po co?

**- Jakże sobie pan tu da radę z
pracą na roli bez muła? Przyjdź
pan do mnie w przyszłym
tygodniu. Oczekuję nowego
transportu i zobaczę, może będę
mógł coś dla pana zrobić.**

**Bleuse stał bez ruchu i ze
zdumieniem patrzył na Rogera.**

Stracił cały swój tupet.

**Skubał brodę, przestępował z
nogi na nogę, wyglądał bezradnie
jak człowiek stojący w obliczu**

jakiegoś cudu. Wreszcie zachnął się:

- Czy nic się za tym nie kryje?

- Nie, nic.

- Jak pan to sobie właściwie wyobraża?

- Tak jak powiedziałem. O ile w przyszłym tygodniu, jak się spodziewam, będę miał jednego zbędnego muła, odstąpię go panu. To chyba całkiem jasne.

- Dlaczego pan to robi?

- Musi pan wreszcie pomyśleć o zarobkowaniu. Nie może pan pozostać tutaj nie będąc właścicielem tej ziemi, a do jej nabycia potrzeba pieniędzy. Grunt należy do mnie. Mógłbym pana bez skrpułów wypędzić, lecz nie sprawiłoby mi to wcale satysfakcji. Chciałbym, aby pan uzyskał prawo do gospodarowania

na tym terenie. Zacznie więc pan zarabiać, a potem odkupi pan ode mnie obszar, który pan uprawia. Ile pan już wytrzebił? Pięć akrów? Odstąpię panu dziesięć. Odmierzemy je potem i odgraniczymy wzdłuż polany. No i co pan na mój projekt?

- Czy naprawdę chce pan to uczynić?

Roger podszedł blisko do osadnika.

- Czy uważa pan, że wprowadzam go w błąd?

Rumieniec wstydu pokrył policzki obcego. Z wolna opuścił strzelbę na ziemię.

**- Nazywam się Calhoun Blease -
odrzekł. - Nie, nie sędzę, że
bawi się pan moim kosztem.**

**- Zawsze zresztą może pan
jeszcze skorzystać ze swojej
strzelby - zauważył Roger. A
potem zapytał: - Powiedz mi pan,
czy mr Garman zalecił panu, by
mi nie przeszkadzać w pracy?**

**Wzmianka o Garmanie wywarła
na obcym wstrząsające wrażenie.**

**- Garman? Garman nie wie
przecież wcale, że się tu
znajdujemy. Czy... a może pan
jest przyjacielem Garmana? -
wyraźnie się zaniepokoił.**

**- Wprost przeciwnie - rzekł
Roger. - Jest on
najniebezpieczniejszym
przeciwnikiem, jakiego
kiedykolwiek miałem. Zna go pan?**

**Po długim wahaniu Blease
odpowiedział:**

- Tak, znam go. Byłem niegdyś jego zarządcą. Ale to już sporo lat temu.

- Co pan o nim sądzi?

- To rzeczywiście niebezpieczny człowiek i dziwna osobowość - mruknął Blease. - Nie wie zatem, że my tu jesteśmy? To dobrze. W takim razie nikt nie wie. Garman jest chytry i bezwzględny jak szatan. I jemu właśnie zawdzięczamy nasz obecny smutny los. Tylko on, mój panie, tylko on jest temu winien. Przez niego musimy się ukrywać przed światem.

- Czy może mi pan powiedzieć, jaką krzywdę panu wyrządził?

Blease skierował spojrzenie na chatkę. W tej właśnie chwili kobieta ponownie stanęła w drzwiach.

- Wolałbym tego panu nie

**mówić. Widzi pan, moja żona była
niegdyś jego sekretarką i...
lecz nie, to nie ma z tym nic
wspólnego. Na pewno nie, proszę
mi wierzyć. Garman i ten jego
basen... nie, nie mogę tego
powiedzieć.**

XXI

**Dalsza część dnia przerodziła
się dla Rogera w prawdziwą
torturę. Blease powiedział i za
dużo, i za mało. Właśnie tyle,
by zakłócić jego spokój. Roger
raz jeszcze spojrział w stronę**

kobiety. Chwilami żałował, że ją w ogóle zobaczył, chwilami, że nie miał możliwości baczniej się jej przypatrzeć. Jasne było, że żona Blease'a nie pochodziła z tubylców, nie reprezentowała typu, którego obecność tu, w sercu dżungli, wydawać się mogła każdemu zrozumiała. Była snadź ofiarą swego przeznaczenia, które okazało się dla niej tak okrutne. Co się tu zdarzyło? Jaką tajemnicę ukrywali ci ludzie? Młode jeszcze rysy kobiety wyrażały niemy protest osoby, której życie dało się we znaki w okrutny sposób.

Roger przetarł ręką czoło, jakby chciał zetrzeć wrażenie, jakie wywarło na nim spojrzenie tej kobiety. Starał się wyobrazić sobie mrs Blease wcześniej, zanim tyle

wycierpiała. Była piękna i z pewnością była inteligentną sekretarką. Dlaczego Blease, który zaczął o tym opowiadać, nagle zamilkł?

A więc zajmowała u Garmana stanowisko sekretarki, a Blease zarządcy. Rogerowi przypomniał się basen i odurzająca atmosfera całego ogrodu. Co się tam przydarzyło? Czuł, że nie dowie się nigdy prawdy. Może nawet nie chciał. Natomiast bezustannie nurtowało go pytanie, co się tam dzieje teraz. Lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach i przeniknął całe ciało. Przez resztę dnia pracował ze ściśniętym gardłem, ciężko oddychając raz po raz. Co go właściwie tak wyprowadzało z równowagi? Co go w końcu obchodziły afery Garmana i jego

otoczenia? - pomyślał w pewnej

**chwili. I wtedy przed oczyma
stała mu jak żywa Anetka,
taka, jaką po raz pierwszy
zobaczył o świcie w Gumbo Key.
Zdawał sobie sprawę, jak mizerne
były jego wysiłki, by wymazać
ten obraz z pamięci i wyzbyć się
zainteresowania tą dziewczyną.
Potem pomyślał znowu o Garmanie
i w bezsilności zagryzł wargi.**

**Zapadł zmierzch, lecz nie
przyniósł mu ulgi. Z ponurego
zachodu słońca zrodził się
nadspodziewanie piękny wieczór,
co zgnębiony młodzieniec odebrał
jak drwinę z jego stanu ducha. W**

**powietrzu rozsnuły się
srebrzyste opary. Białe gwiazdy
wisiały tak nisko, że wydawały
się prawie na wyciągnięcie ręki.
Obsiadły gęsto rozległy
krajobraz migocząc jasnym, choć
trochę przygaszonym blaskiem.**

**Nad cyprysy wypłynął czerwony
sierp księżyca, długie cienie
kładały się po ziemi. W
przepastnej dżungli pootwierały
się głębokie, przetykane
światłem ścieżki, tak samo
nierzeczywiste jak wierzchołki
niebotycznych drzew. Podobnie
nierzeczywista wydawała się noc,
a z nią wszystkie przedmioty,
które jak cienie tkwiły na
lśniącym, sennym jeziorze.**

**Roger wyszedł z namiotu i
porwany urokiem tej nocy ruszył
na przechadzkę. Lecz piękno to
nie przyniosło mu uspokojenia.**

**Prześladowały go oczy Anetki,
które przyrzekły mu, że powróci.
Bezwiednie podążał więc teraz w
kierunku Piaszczystej Prerii.
Wiedział bowiem, że Anetka,
korzystając z chłodu wieczora,
urządza sobie czasem tamtędy
przejażdżki konne.**

**Dotarł aż do drutu kolczastego
na granicy swej posiadłości i
chwyciwszy się go obiema rękami
zatrzymał się na chwilę. Patrzył
w prerię. Potem podszedł do
bramy znajdującej się w płocie u
wejścia do Kwiecistej Prerii i
przystanął, zachwycony**

nieziemskim wprost czarem tego

zakątka.

**Oto ujrzał piaszczystą czarę,
mieniącą się srebrem od poświaty
księżycy, a stojące wokół niej
smukłe palmy przypominały ciemne
kolumny zwieńczone koroną
połyskliwych liści. Ten cudowny
obraz zrodziło światło księżycy
odbite w tafli małego jeziora. W
jego srebrzystej toni odbijały
się drzewa, a nawet kwiaty
rosnące na brzegu, woda
marszczyła się delikatnie od
wiatru i ruchów ryb pływających
tuż pod powierzchnią.**

**Roger stał jak odurzony. W
pewnym momencie wydało mu się,
że w miejscu jeziora widzi
basen, że czuje oszalamiającą,
charakterystyczną woń tamtego
miejsca. Był w tej chwili jak
lunatyk niezdolny do działania,
nieświadomy swych czynów. Oparł**

**się o wrota i zagłębił się w
myślach. Z zadumy wyrwał go
głuchy tętent kopyt końskich,
dobiegający gdzieś daleko z
prerii. Wpatrywał się z
nateżeniem w dal, lecz na próżno
szukał jeźdźca. Rzucił się na
ziemię, przyłożył do niej ucho,
odgłos kopyt stawał się coraz
wyraźniejszy, zbliżał się,
nasilał. Roger cofnął się na
swój teren i zawarł wrota, ale
niebawem otworzył je ponownie i
ukrył się w cieniu karłowatej
palmy.**

**Kiedy jeździec stanął koło
płotu, Roger przetarł oczy,
wydawało mu się bowiem, że padł
ofiara jakichś czarodziejskich
złudzeń. Jeźdźcem okazała się
bowiem Anetka. Zjawiała się na
swym własnym kucyku. Dotrzymała
zatem przyrzeczenia. Jej wygląd**

zaniepokoił Rogera. Włosy miała w nieładzie, ręce leżały nieruchomo na siodle, głowę opuściła w dół. Minęła bramę ocierając się prawie o Rogera i zatrzymała konia przy stawie. Następnie rozejrzała się, jakby kogoś szukała. Potem zeskoczyła

z konia i poczęła go prowadzić ku obozowi. W tej chwili Roger wyłonił się z cienia. Z początku żadne z nich nie mogło wydobyć z siebie słowa. Niespodzianka odebrała Anetce mowę. Także Roger na widok jej rozświetlonej blaskiem księżyca twarzy zaniemówił z wrażenia.

Spojrzenie jej oczu obudziło w nim wspomnienie wzroku mrs Blease. Podziało to na niego tak, że w pewnej chwili instynktownie się cofnął, ale opamiętawszy się zaraz przyjrzał się z bliska dziewczynie. Jej twarz odzwierciedlała gwałtowną walkę wewnętrzną. Jej oczy wyrażały lęk i niezdecydowanie, znikła wyniosłość postaci, jej pewność siebie została jakby przytłumiona jakimś narkotykiem. Zmiana w jej wyglądzie przeraziła Rogera. Zauważyła to, bo zapytała:

- Sądzi pan, że to wpływ księżycy, nieprawdaż?! - I nienaturalnie uśmiechając się oparła się niedbale o grzbiet cierpliwie stojącego kucyka.
- Lecz to nie księżyc - dodała poważniejąc. - To coś zupełnie

innego. Sama tego nie rozumiem. Właściwie nie mogłabym nawet powiedzieć, czy sobie nie wmawiam tego, co czuję. Czasem chwyta mnie paniczny lęk, za chwilę jestem spokojna, to znów ogarnia mnie smutek. To jest nie do zniesienia... ta zmiana nastrojów.

- Miss... - zaczął Roger i urwał, bo nie wiedział, jak ją nazwać.

Uśmiechnęła się:

- Nie wie pan, jak się nazywam? Zresztą po co? Wymienianie nazwiska jest tylko formalnością. Czy uważa pan, że powinniśmy tu zachowywać formy? Bo ja nie. Wolę być naturalna. Może właśnie dlatego poddaję się rozmaitym uczuciom, nastrojom. Nie trwonię sił na zwalczanie ich, tłamszenie w sobie.

- Co pani ma na myśli? O jakim uczuciu pani mówi?

- Sama nie wiem - odparła jak gdyby zdumiona tym odkryciem. - Doprawdy nie zdaję sobie z tego sprawy. To takie nieuchwytnie. Jest tam coś - głową wskazała na prerię - czego się boję. Dziś w nocy przestraszyłam się tego, że uciekłam stamtąd, lecz czuję, że nie ujdę przed tym.

- To Garman panią prześladowuje!
- wykrztusił ochryłym głosem Roger.

- Nie! - odsunęła się od niego. - Nie wolno panu tak mówić!

- Panno Anetko!

Na dźwięk swego imienia od razu się opanowała. Powoli wyprostowała się, aż jej postać znów nabrała sprężystości, pewności siebie. Zdawała się powracać z daleka.

- Wszystko to zapewne wydaje się panu bardzo dziwne - rozpoczęła. - Chciałabym wiedzieć, czy księżyc Florydy także na innych ludzi działa w ten sam sposób?

- Czy to naprawdę wpływ księżycy?

- Nie - odrzekła poważnie. - To nie księżyc. - W zadumaniu pogłaskała szyję kucyka. - Dziś wieczorem bez żadnej przyczyny chwycił mnie taki lęk, że musiałam uciec.

- Czy ma pani ochotę tam się udać? - wskazał ręką w kierunku

świateł bijących z jego obozu.

- Tak. Jesteśmy w tak słabo zaludnionym kraju, w dodatku tak mało tu białych. Wiedziałam, że tam, w namiocie, są tacy sami ludzie jak ja, ten śmieszny rudowłosy pana przyjaciel i pan. Proszę mnie źle nie zrozumieć, lecz czułam, że tu jest jedyne miejsce, gdzie mogę znaleźć kogoś, kto tak samo jak ja nie pasuje do tej dziwnej, tutejszej atmosfery. Prześladowuje mnie ten przeklęty basen. Wieczorem woda w nim przypomina roztopione

złoto, a mozaika dookoła brzegów przywodzi na myśl blade trupie

**kości, dalej wieniec palm,
dżungla... Zwykle odnosiłam
wrażenie, że palmy wyrosły tam
tylko po to, by odgrodzić basen
od świata, ale dziś o zmierzchu
wyglądały jak zrezygnowane
kobiety. Wachlarze ich liści
zwisły ociężale w dół jak ręce
wyczerpanych kobiet,
zniechęconych do życia,
znużonych ukrywaniem tajemnic
tam, w głębi dżungli, na wyspie
palm... Nie bierze mi pan chyba
tego za złe, że opowiadam to
wszystko panu? Sprawia mi to
ulgę. Przed nikim z mego
otoczenia nie potrafiłabym się
tak odsłonić. Myślałam, że się
tam uduszę: wytłumaczę panu
nawet dlaczego. Chciałam wybiec
z tej oazy i przekonać się, co
też w nocy dzieje się za
palmami. Czy to nie śmieszne, a**

raczej przerażające?

Roger nie mógł ukryć zdumienia. Po krótkiej przerwie zapytał:

- Pani chyba nie jest sama?

Czy mrs Livingstone nie towarzyszy pani stale?

- O tak. Ona roztacza nade mną doskonały nadzór. - Roześmiała się, przy czym w jej młodym głosie zadrgała nuta goryczy. - Nie ma pan pojęcia, jaka z niej świetna przyzwoitka. Gdyby wiedziała, że jestem tutaj teraz i że rozmawiam z panem, zemdlałaby z wrażenia. Nie spuszcza ze mnie oka, to znaczy wtedy, gdy jej się podoba, gdy się to pokrywa z jej planami.

Znowu zaśmiała się z goryczą.

- Tak, właśnie dlatego przywiozła mnie tutaj, do tego domu w dżungli. Zaczynam ją

**teraz rozumieć. Dawniej nie
wiedziałam, dlaczego wychowuje
mnie tak surowo. Matka odumarła
mnie, gdy byłam jeszcze małym
dzieckiem. Wychowaniem moim
zajęła się więc ciotka, siostra
mego ojca. Co prawda wychowała**

**mnie dobrze - dla swych celów.
Całe dzieciństwo i wczesną
młodość, aż do ostatniej zimy,
spędziłam w szkołach poza domem.
A potem wprowadziła mnie w
wielki świat Waszyngtonu. I od
tej pory wszystko
podporządkowała temu życiu
towarzyskiemu. Musi pan
wiedzieć, że nie posiadamy**

wielkiego majątku. Ludzie sądzą wprawdzie, że jesteśmy bogaci, lecz mylą się. Jesteśmy jak na amerykańskie warunki prawie biedni. I dlatego wystawiono mnie na pokaz w jednym z najbardziej ekskluzywnych okien wystawowych najwyższych sfer towarzyskich, jakim jest Atlantic City nad morzem... Jak każdy inny towar w tamtejszych kioskach ciągnących się wzdłuż całej promenady. Może nudzi pana moja gadanina?

- Nie, wprost przeciwnie, proszę mówić dalej.

- Nie wyobraża pan sobie, jaką udręką jest takie życie. Pan jest przecież człowiekiem pracy. Ja natomiast musiałam być lalką wystrojoną dla mężczyzn na tyle bogatych, by sobie tak kosztowną lalkę kupić. Lecz nie mamy

pieniędzy, a sfery towarzyskie w pierwszym rzędzie o nie pytają - zwłaszcza gdy jakaś ciotka stara się wszystkimi siłami wystawić pannę na sprzedaż. Targ biegnie tym torem: co pani oferuje? Szlachetność? Charakter? Dobre maniere? I to wszystko? Proszę zatem zająć miejsce w kącie obok innych dziewczątek, które pietruszkują. Może ktoś kiedyś zwróci na panią uwagę, jeśli się pani uzbroi w cierpliwość...

Inny konkurent: Co panienka wnosi? Inteligencję? Umysł? Nie ma nabywcy! Cnotę? Ależ moja kochana! Mądrość, urok, elegancję? Słabe zainteresowanie ustępuje miejsca obojętności. Piękność? Krąg reflektantów zwiększa się. Pieniądze, bogactwo, miliony? Wszyscy

**wstają, pragną cię wziąć w
ramiona! Madonno, z ciałem
bogini Wenus i duszą węża,
chodź, wyniesiemy cię na tron!
Pochylimy się kornie przed tobą
- złoto lśni, uświęca wszystko.
Och, ciągle jeszcze czuję grube,
zimne palce na swym obnażonym
ramieniu.**

**Kiedyś byłam jedną z tych
lalek Waszyngtonu. Żyłam rada,
że zaliczam się do wybranek
świata. Nie przysługiwało mi
żadne prawo, a jednak wydawało
mi się, że wolno mi żądać
wszystkiego. Byłam przekonana,
że wszystko zostało stworzone
dla mnie: najwykwintniejsze**

**potrawy, piękne suknie,
klejnoty, służba... Co mogłam w
zamian za to dać? Nic. Zgoła
nic!**

**Teraz nastąpiło przebudzenie.
Ziemio - dobra, czarna ziemio,
jesteś potężniejsza niż Krezus z
całym swym potomstwem,
albowiem**

**tylko ty jedna jesteś prawdziwa.
Dziś widzę to wszystko
dokładnie. Obnosząc swe głupie,
piękne oblicze i swe wdzięki nie
byłam niczym innym jak przynętą
wędkii zarzuconej przez moją
ciotkę. Tak, byłam przynętą dla
złotych rybek. A tu przywiozła
mnie dlatego, że ma się tutaj
odbyć największy połów, na jaki
się kiedykolwiek odważyła.**

**- Panno Anetko, czy nie ma
pani ojca?**

- Owszem. Będzie pan miał w

**niedzielę przyjemność go poznać.
Dziękuję panu za cierpliwość, z
jaką mnie pan wysłuchał.
Sprawiło mi to wielką ulgę, że
mogłam się panu zwierzyć. Ale
teraz muszę już odejść.**

**Nie odchodziła jednak. Czar
podzwrotnikowej nocy trzymał ją
na uwięzi. A Roger, porażony
tym, co usłyszał, urywanym
głosem wykrztusił:**

**- Wszystko co w mej mocy...
zrobię, by pani pomóc.**

**- Nie, nie! Nikt nie może mi
pomóc. Muszę sama stoczyć walkę.**

**Dziękuję - rzekła opanowana już
i dotknęła jego wyciągniętej**

dłoni. Palce ich spotkały się na chwilę. Patrzyli na siebie przez jakiś czas, potem ona uwolniła dłoń z uścisku i z lekkim uśmiechem powiedziała: - Muszę już odejść.

Musnęła jeszcze palcami jego ramię i wskoczyła na kucyka.

- Czy naprawdę nie mogę pani pomóc? - zapytał.

- Nikt nie może mi pomóc.

Muszę tę partię rozegrać sama - szepnęła. I znowu w oczach jej pojawił się ten dziwny wyraz, który przeraził go tak bardzo, gdy przed godziną nadjechała.

XXII

Roger Payne postanowił skorzystać z zaproszenia Garmana i pójść na niedzielny obiad.

Letni czar wisiał nad lasem dzikich jabłoni otaczających dom Garmana, gdy Roger znalazł się na ścieżce łączącej prerię z zabudowaniami osadnika. Idąc musiał się nachylać, by przedostać się przez gęste sploty dzikiego wina. W miarę zbliżania się do pałacyku poczuł upajającą i paraliżującą zarazem woń zamkniętego powietrza, które było tu mieszaniną słodkich zapachów działających jak ciężki, oszalamiający haszysz. I miła mu była ta trucizna. Przyśpieszył kroku.

W ocienionej alei prowadzącej w głąb dżungli zauważył Anetkę i zatrzymał się. Starszy mężczyzna o siwej brodzie ~a la van Dyck i wypiętej klatce piersiowej wyszedł właśnie z domu i zbliżał się do dziewczyny. Stał między

dwoma palmami w miejscu, gdzie ścieżka wybiegająca w dżungłę przechodziła w aleję i zawołał:

- Anetko! - Potem pochyliwszy się po ojcowsku nad dziewczęciem dodał: - Znowu szczęśliwa? Już dawno nie słyszałem twego

śmiechu.

- Masz rację, ojcie - odparła Anetka i spojrzała na niego poważnie. - Nie śmiałam się, od kiedy tu przyjechaliśmy.

- Lecz teraz jesteś szczęśliwa? Całkiem szczęśliwa? Dzisiaj rano wstałaś bardzo wcześnie.

- Tak. Nie mogłam dłużej spać.

Wszyscy inni wstali później, tak więc mogłam się cieszyć samotnością.

- Nikt nie powinien być sam, kochanie, nikt na świecie. Sprzeciwiają się temu prawa boskie i ludzkie, nawet prawa natury. - Oczy ojca z czułością spoczęły na smukłych kształtach dziewczyny, pieściły dziewczącą świeżość jej policzków i szyi. - Byłoby zwłaszcza zbrodnią, kochanie, jeśli samotną chciałyby pozostać osoba tak sownie obdarzona przez naturę jak ty. Dlatego nie powinnaś nigdy zapominać o tym, że to nosisz - dodał głosem wyzbytym żartobliwego tonu, wskazując na brylantowy pierścionek, który zdobił jej lewą rękę.

- Czy sądzisz, że mogę zapomnieć? - rzekła bez

entuzjazmu.

Starał się patrzeć jej prosto w oczy, ale mu się to nie udało. Podczas gdy w zakłopotaniu spuścił wzrok na ziemię, usłyszał kroki i zobaczył zbliżającego się Rogera.

- Kto to? - spytał, a jego oczy badawczo spoglądały to na Rogera, to znów na córkę. Potem utopił w młodzieńcu zimne, pełne nienawiści spojrzenie. Była to bezsilna nienawiść starca do młodego człowieka, który chce zniweczyć jego plany.

- Co to za mężczyzna, Anetko? Skąd on się tu wziął?

Dziewczyna popatrzyła na niego spokojnymi, jasnymi oczyma. Pod wpływem jej wzroku uspokoił się.

- Wybacz, kochanie, moją gwałtowność. Myślę przecież

tylko o tobie. Obawiałem się...

Stary mężczyzna nie dokończywszy zdania nerwowo głaskał się po brodzie i znów wymownie popatrzył na Rogera.

- Och, wybacz mi, ojciec - odezwała się dziewczyna. - To mr Payne. Nabył w tej okolicy bardzo wiele gruntu. Mr Payne, mój ojciec, senator Fairclothe.

Roger pochylił się. Wiadomość ta uderzyła weń jak grom. Lecz już po chwili odzyskawszy równowagę rzekł:

- Zamieniliśmy ze sobą parę listów. Rozumie się, dotyczących interesów, senatorze.

Senator Fairclothe zmieszał

**się i popatrzył na niego
spojrzeniem człowieka
zapędzonego w ślepią uliczkę.**

**- Faktycznie? - zapytał. - Nie
przypominam sobie, niestety,
pańskiego nazwiska, młodzieńcze.
Jak powiedziałaś, Anetko?**

- Payne!

**- Aha, Payne. Niestety. Nie
mogę sobie przypomnieć.**

Roger przyszedł mu z pomocą.

**- Oczywiście moje nazwisko nic
panu nie mówi, senatorze. Ma pan
ważniejsze sprawy na głowie.
Otóż chodziło o kupno ziemi w
tej okolicy. Przed jakimś czasem
ośmieliłem się napisać do pana,
a teraz korzystam z okazji, by
panu podziękować za życzliwą
radę dotyczącą nabycia gruntu w
tych stronach.**

**- Jak to? - Anetka ze
zdumieniem spojrzała na Rogera.**

**- Ja panu doradzałem? - udał
zdziwienie senator Fairclothe.**

**- Może niezupełnie tak. Lecz
wpłynął pan na mnie. Bo właśnie
pańskie listy przekonały mnie do
kupna. I za to chciałem panu
podziękować. W przeciwnym razie
nie byłbym obecnie tutaj.**

**Senator skubiąc swoją brodę
zmierzył Rogera badawczym
spojrzeniem. Obawiał się
zasadzki.**

**- O ile skierowałem jakieś
listy do pana, czego sobie**

**stanowczo nie przypominam i
zastrzegam sobie prawo do
sprawdzenia tego, była to**

**jedynie formalność związana z
pewną stroną mojej działalności.
A przy okazji naszej rozmowy,
chciałbym panu zwrócić uwagę na
starą zasadę kupiecką - nabywca
musi się mieć na baczności!**

**Oczywiście z dużą przyjemnością
dowiaduję się o tym, że jest pan
ze swego kupna zadowolony.**

**Chociaż muszę zaznaczyć,
młodzieńcze, że wcale bym się
nie wzruszył, gdyby pan był
niezadowolony i przybył tutaj,
by skarżyć się i biadać.**

**- Jestem bardzo zadowolony -
upierał się Roger. - Grunt,
który kupiłem po trzydzieści
dolarów za akr, podskoczy na
dwieście, skoro go odwodnię.
Ziemia jest czarna i tłusta, w
niektórych miejscach osiąga
głębokość trzech stóp.**

Przewiduję, że zarobię na akrze

sto dolarów w ciągu roku.

- Hm - chrząknął senator Fairclothe. - Aż tak wiele?

- Może nawet więcej. Jest to tylko cena szacunkowa.

Senator Fairclothe chwycił się znowu za brodę. Zamyślił się na chwilę. Wiedząc, że ten młody człowiek zakupił tysiąc akrów, liczył: 100 razy 1000 daje 100 000 dolarów, to jest już wcale spora suma.

- Cieszę się - odezwał się wreszcie. - Spodziewam się, że zabierze się pan wnet do pracy.

- Tak, ludzie z bagrami przyjeżdżają już jutro rano. Niebawem ukończą pierwsze kanały.

- Jeśli mogę być panu w czymkolwiek pomocny, proszę śmiało rozporządzać moją osobą, młodzieńcze!

- I ja zaproponowałem to samo, senatorze - rozległ się za plecami głos Garmana. - Pomożemy mu oczywiście wszyscy, aby się jak najprędzej uporał z tymi wstępnymi pracami.

Roger odwrócił się. Garman stał oparty o dziką jabłoń, a wypowiedziawszy te słowa nie patrzył na senatora, lecz na Rogera i Anetkę. Osoba Fairclothe'a jak gdyby w ogóle dla niego nie istniała. Słowa były wprawdzie skierowane pod jego adresem, lecz oczy badały zachowanie się dwojga młodych. Roger wytrzymał wzrok

przeciwnika i po drwiącym błysku jego spojrzenia domyślił się, że Anetka nosiła na palcu pierścień Garmana.

XXIII

- Właśnie dziękowałem senatorowi za to, że nakłonił mnie do kupna ziemi w tych stronach - rzekł Roger. - Gdyby nie był na mnie wpływ, nie stałbym dziś tutaj.

- Jeśli tak się sprawy mają - odparł Garman - to i my powinniśmy mu być wdzięczni. Pana towarzystwo sprawia nam wielką przyjemność, nieprawdaż, Anetko?

- Mr Payne wspomniał o nabytym tu gruncie - zmieniła temat Anetka. - Chodzi o ten zalany

teren.

- Tak, moja kochana - Garman znowu drwiąco spojrział na Rogera. - Cały teren jest zalany. Lecz Payne może go odwodnić. Jest młody, silny, ambitny i pełen nadziei. Za parę dni woda zniknie. To i nas niezwykle ucieszy, prawda, senatorze?

- Z pewnością. Melioracje tego rodzaju tu, w tej okolicy...

- Mrs Livingstone chciałyby pomówić z panem i Anetką, senatorze - rzekł Garman.

Roger zaskoczony był nagłą zmianą w głosie Garmana. Ostatnie zdanie brzmiało prawie jak rozkaz. Ku jego wielkiemu zdumieniu Anetka ani ojciec nie sprzeciwili się temu choćby

najmniejszym gestem, lecz ruszyli posłusznie w stronę pałacyku.

Garman osunął się na krzesło. Białe jedwabne ubranie okrywało jego potężną postać. Przez zmrużone do połowy oczy przypatrywał się Anetce, jak zdążała w kierunku domu. Z zadowoleniem i radością właściciela towarzyszył każdemu ruchowi jej smukłego ciała. W pewnej chwili jego usta rozciągnęły się w uśmiechu ukazując zza grubych czerwonych warg białe, duże zęby.

- Widzi pan, Payne - odezwał się wreszcie ochryplym głosem. - Jest pan marzycielem jak wszyscy

młodzi głupcy. Mam wrażenie, że się nie mylę. I pana pociągają nierealne marzenia i pana młodą pierś wypełnia nadzieja. Co mówię - nadzieja! Nawet wiara. Wiara w urzeczywistnienie marzeń. Jacy z was, młodzików, niepoprawni głupcy!

- To mi się bardzo podoba - odparł Roger spokojnie. - Najpierw zaprasza mnie pan, bym był jego gościem, następnie zachowuje się pan niezwykle serdecznie w stosunku do mnie, a w końcu wyzywa od głupców.

- Gdyby pan nie był człowiekiem, za jakiego pana uważam, zerwałbym się z miejsca i poprosił uroczyście o przebaczenie - rzekł Garman. - Ale jest pan swój chłop, w to nie wątpię. Trzeba tylko, aby ktoś panu szeroko otworzył oczy,

**aby zdarł maskę z życia i
pokazał jego prawdziwe oblicze.
Wtedy dopiero, Payne, byłby pan
do czegoś zdatny. A zdaje mi
się, że to ja właśnie wyświadczę
panu tę przysługę.**

**Ręką wskazał na pałacyk. Na
werandzie ujrzał bowiem Anetkę.
A gdy oczy Rogera podążyły za
jego wzrokiem, zaśmiał się:**

**- Tym dziewczętom z Północy o
delikatnej cerze, o skórze
cienkiej jak jedwab tutejsze**

**słońce i tropikalny klimat dają
się mocno we znaki. Niektóre
popadają nawet w obłąd, tak
szkodliwe jest tutejsze**

**powietrze. To prawda,
niebezpieczna to okolica, ta
bagnista dżungla. Nie dla
wątlých kwiatów Północy. Czy
słyszał pan już o Wyspie Palm?
Tam chciałaby Anetka się dostać,
choć równocześnie napawa ją ta
wyprawa przerażeniem. Nie oprze
się temu pragnieniu, to pewne,
może nawet już się zdecydowała,
nie wiem. A teraz proszę do
stołu, młody przyjacielu.**

**Gdy dotarli do werandy, Garman
zatrzymał się nagle i odwrócił.
Z głębi dżungli galopem zbliżył
się ku nim Ramos.**

**- A więc? - spytał Garman
głosem niezwykle podnieconym.**

**- W porządku - wykrztusił
Ramos.**

- Ujęli go?

**- Tak. Jest na Wyspie Palm.
Otoczony ze wszystkich stron.**

Jeszcze nie schwytany!

**- Ach, tak! - Garman z
zadowoleniem zatarł ręce. - Każ
natychmiast osiodłać Księcia!
Potem wracaj. Powiedz im, że nie
wolno go tknąć. Przyjeżdżam
natychmiast!**

**Ramos oddalił się
błyskawicznie. Garman zwrócił
się do Anetki.**

**- Niestety, muszę wyjechać.
Wzywają mnie pilne interesy.
Bądź tak miła i zabawiaj pod mą
nieobecność naszego gościa.**

**Jednym susem zeskoczył z
werandy i pobiegł w kierunku
stajni. Roger podążył za nim i
chwycił konia za cugle właśnie w
chwili, gdy Garman go dosiadał.**

**- Co to za człowiek, o którym
mówił Ramos?**

**- Daj spokój, chłopcze! Chodzi
o jednego strajkującego**

robotnika.

Po tych słowach lekko odepchnął Rogera. Ten jednak chwycił ponownie za cugle, nie dbając o grożące mu końskie

kopyta.

- Proszę powiedzieć, o kogo chodzi!

- O złoczyńcę!

- Czy to może Higgins? Lub ktoś inny z moich ludzi?

- Nie. Nie zna go pan wcale.

Koń ruszył z miejsca. Roger odskoczył na bok. Garman popędził przed siebie.

XXIV

Ciszę, która po tej scenie nastąpiła, przerwał głos Anetki.

- Ładne zachowanie się.

Senator Fairclothe starał się załagodzić sytuację. Garman odjechał, znowu on był tu główną osobą.

- Ludzie, którzy prowadzą rozległe interesy - odezwał się - nie mogą aż do najdrobniejszych szczegółów przestrzegać reguł życia towarzyskiego jak zwyczajni śmiertelnicy. Usprawiedliwiają ich odnoszone sukcesy. Mr Garman korzysta zatem tylko z przywilejów, które mu się słusznie należą. Powinniśmy być dumni, że wypada nam żyć w pobliżu człowieka, który zajmuje się ważniejszymi sprawami niż

my, szarzy ludzie, i potrafi je rozwikłać.

- A czy wiesz, ojcze, o co chodzi?

- To mnie wcale nie interesuje. Znam mr Garmana i to mi zupełnie wystarcza.

Dziewczyna nachyliła się i spojrzała mu badawczo w oczy.

- Rzeczywiście, ojcze?

- Naturalnie!

- Anetko! - zawołała mrs Livingstone. - Proś wszystkich do jadalni.

Obiad przybrał charakter niezwykle nudnej ceremonii. Sama osoba senatora Fairclothe'a wystarczyła, by wprowadzić ponury nastrój. Siedział skulony na swym krześle, przyciskając

**brodę do piersi, co sprawiało
wrażenie śmieszności i
bezradności. Widać słowa córki
dotknęły go. Dopiero gdy po
obiedzie wychylił parę kielichów
szampana, ożywił się nieco.
Niedługo później skierował się
dumnie ku wyjściu na werandę,
osunął tam na leżak i
natychmiast zasnął.**

**Mrs Livingstone zwróciła się
teraz do Rogera.**

**- Mr Payne, o ile wiem, mr
Garman zlecił, aby jacht był do
pańskiej dyspozycji, gdyby pan
zamierzał płynąć rzeką w dół.
Nosił się pan z tym zamiarem,
nieprawdaż?**

**- Popłynie pan? - zapytała
nagle Anetka.**

- Tak - odrzekł Roger. - Moje bagry czekają w Gumbo Key. Bardzo mi zależy na tym, aby osobiście przypilnować ich transportu.

Usłyszawszy to Anetka zerwała się z miejsca.

- Cioteczko, wezmę pulower, ty włóż także coś cieplejszego.

Ojczy! Wybierzmy się na małą wycieczkę rzeką. Obudź się wreszcie, nie mamy czasu!

- Anetko! - mrs Livingstone spojrzała z dezaprobatą na dziewczynę. Lecz ta popędzała wszystkich nie bacząc na niezadowolenie ciotki.

Roger zamierzał wyruszyć dopiero wieczorem, lecz wobec zaszłej zmiany już w pół godziny później znalazł się obok dziewczyny na pokładzie "Anny". Wpatrywali się w prąd rzeki,

bawili grą fal rozbijających się o dziób jachtu.

- Myślałam, że się uduszę - odezwała się Anetka. - Musiałam coś zrobić! Chcę panu podziękować, mr Payne, za uprzejmość, z jaką udawał pan wobec ojca, że jest pan zadowolony z kupionych terenów. Dlaczego pan to zrobił?

Roger zamierzał śmiejąc się przejść nad całą sprawą do

porządku dziennego, lecz gdy spotkał się z jej spojrzeniem, zdradził go wyraz oczu. Anetka odgadła wszystko. Odpowiedź stała się zbyteczna. Roger

odwrócił głowę. Za chwilę dotarło do niego jej stłumione westchnienie. Kiedy ponownie zwrócił się w jej stronę, ona oddaliła się wolnym, ociężałym krokiem ku swej kajucie.

- Anetko! - zawołali równocześnie mrs Livingstone i senator Fairclothe przerażeni wyrazem jej twarzy.

Ona jednak minęła ich bez słowa i zniknęła w głębi kajuty.

- Co się stało? - zawołał wzburzony senator. - Czy może mi pan to wyjaśnić?

- John! - przerwała mu siostra. - Czy nie zajrzałyś do Anetki? Obawiam się, że była za długo na słońcu.

- Mam przecież prawo jako ojciec...

- Oczywiście. Lecz najpierw zejść na dół. Mam wrażenie, że

Anetka cię potrzebuje.

Gdy senator znikł w kabinie, mrs Livingstone zwróciła się ku Rogerowi. Jakkolwiek stała sztywno i bez ruchu, kolczyki w jej uszach drżały. Roger zauważył twarde linie rysujące się wokół jej ust i zrozumiał, że wyryły je lęk, niepewność i walka. Zrobiło mu się jej żal.

- Chcę wiedzieć, co jej pan powiedział.

- Nic. Zgoła nic.

- W takim razie co ona mówiła panu?

- Tego... tego nie mogę powtórzyć. To jej tajemnica.

- Tajemnica?

- Być może.

Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu, potem jednak kobieta wybuchnęła:

- Jakim prawem chce pan

pokrzyżować moje plany? To wielka odwaga!

- Nie rozumiem.

- Jestem przekonana, że pan

dobrze rozumie. Zresztą na próżno się pan trudzi. I tak za późno! Anetka jest zaręczona z mr Garmanem.

- I ona rzeczywiście poślubi Garmana? - zapytał Roger powoli.

- Tak.

- Wobec tego jakże mogę pokrzyżować pani plany?

- Nie dopuściłabym do tego za żadną cenę. A nawet gdyby pan był w stanie to zrobić, młodzieńcze, cóż może pan

ofiarować Anetce? Zgoła nic. Nie posiada pan majątku, stanowiska, żadnych towarzyskich wpływów. Jest pan zerem. A ona, ona jest Anetą Fairclothe. Ostatnią nadzieją naszej rodziny. Na niej budujemy całą przyszłość. I dlatego nie wolno się panu wtrącać!

- Anetka ma przecież także ojca.

- Ach, czy sądzi pan, że on potrafi utrzymać naszą pozycję w Waszyngtonie? Tym bardziej że starzeje się i dzieciennieje w zastraszającym tempie.

Politycznie wpływowe sfery wnet przestaną się z nim liczyć. Nie jestem ślepa, mr Payne.

Zapatrujmy się na wszystko tak jasno jak mr Garman. Dlatego muszę poważnie z panem pomówić. Musi pan stąd zniknąć. Obecność

pana zagraża Anetce. Nie cofnęłabym się przed niczym, gdyby me plany miały się nie spełnić. Gotowa jestem nawet...

- Proszę mi nie grozić, łaskawa pani. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

Jej usta skrzywiły się w złośliwym uśmiechu.

- Mówiąc tak nie miałam w ogóle pana na myśli - odrzekła, odwróciła się i poszła w kierunku swej kajuty.

Roger został sam. Nad jachtem unosił się zraniony biały ibis, który z trudem ciągnął za sobą skaleczoną nogę. Tuż nad nim posuwał się wyczekująco brunatny sokół. Sokół opadł w dół, lecz

**ibis w ostatniej chwili uszedł
zabójczym szponom rabusia. A
potem prześladowany i
prześladowca znikli w dżungli po
drugiej stronie rzeki.**

**Gdy zbliżyli się do Gumbo Key,
Roger ujrzał czarną łódź
holowniczą z bagrami. Ciągnięta
przez holownik zmierzała właśnie
do ujścia rzeki. "Anna" pięknym
łukiem okrążyła wąski cypel i
dobiła do brzegu w pobliżu
holownika. Aneta wyszła z kajuty
i stanęła obok Rogera przy
barierze.**

**- Czy wraca pan z nami? -
zapytała.**

**- Nie. Lepiej będzie, jeśli
wróci pani sama. Czy nie jest
pani tego samego zdania?**

- Mam wrażenie, że ma pan

rację.

Oczy jej patrzyły poprzez zatokę na otwarte morze.

- Najchętniej w ogóle bym nie wracała. Nie chciałabym już tej miejscowości nigdy więcej widzieć.

- Mówi to pani serio?

- Wątpi pan w to?

- Nie musi pani przecież wracać - rzekł Payne. - Wydam polecenie, aby wylądowano tu maszyny. Może pani przejść na holownik, a on odstawi panią do Key West, Fort Mayer, do Tumpy lub gdziekolwiek pani zechce. A stamtąd nie sztuka dotrzeć do jakiegoś portu.

- Naprawdę?! - zawołała z entuzjazmem, ale zaraz przygasła: - Lecz ten holownik jest taki mały. "Anna" wnet go dogoni.

- Jeśli pani przejdzie na holownik, moja już w tym głowa, by nikt nie ściągnął pani z powrotem, nawet przemocą.

- Pan, zdaje się, niezupełnie mnie rozumie. Sprawa nie jest taka prosta, jak pan sądzi. Nie chodzi tylko o to, aby uciec.

Chodzi o coś więcej. -

Przycisnęła do piersi swą białą pięść. - To tkwi we mnie. Muszę

sama rozstrzygnąć. Panu nie wolno się w to mieszać. Bez względu na to, czy wygram, czy przegram. Nikt nie może mi pomóc. Nikt, rozumie pan? I dlatego wrócę, jakkolwiek bardzo

się boję.

Z "Anny" podpływającej w tej chwili do holownika opuszczano właśnie linową drabinę.

Dziewczyna podała Rogerowi rękę.

- Żegnam pana! - odezwała się.

- Żegnaj! - wykrztusił Roger.

- Czy to pani ostatnie słowo?

Nie powie mi pani do widzenia?

- Bardzo żałuję, lecz nie wolno mi inaczej postąpić.

Towarzyszyła mu wzrokiem, gdy przesiadał się na pokład holownika. Jacht ruszył w tym momencie jak gdyby uwolniony od ciężaru. Anetka oparła się o barierę.

- Żegnaj! - szepnęła. A potem ciszej dodała: - Do widzenia!

- Mr Payne, nieprawdaż?

Roger odwrócił się. Przed nim stał duży mężczyzna o zakrzywionym nosie i ogorzałych policzkach marynarza.

- Tak. Jestem Payne. Czy mam przed sobą kapitana?

- Jestem bosmanem załogi bagrów, mr Payne. Nazywam się White. Czy zamierza ppan tu pozostać przez noc?

Roger popatrzył przez zatokę w kierunku ujścia rzeki, gdzie skręcał właśnie biały kadłub "Anny". Nikłowe i mosiężne części jachtu rozblysnęły w promieniach zachodzącego słońca. Wydawało mu się, że obok bariery widzi postać Anetki.

- Sądzę, że zostaniemy tutaj - odpowiedział półgłosem.

"Anna" zmieniła swój kurs i znikła za pierwszym zakrętem

rzeki.

**- Nie byłbym za tym - odrzekł
White. - Im szybciej**

**przetransportujemy maszyny w
górze, tym lepiej.**

**- Czy zna pan tak dobrze
rzekę, że może pan płynąć nawet
w nocy?**

**- Oczywiście. Zresztą dziś
mamy pełnię.**

**- Dobrze - odparł Roger. - A
zatem płynmy.**

**Przez całą noc ciągnął mały
holownik swój ciężki ładunek
wąską rzeką Chokohatchee w górę.
Światło księżyca oświecało ją
tysiącem drobnych światełek.**

**Hiszpański mech zwisający z
dębów i cyprysów iskrzył się
migocącym srebrem, woda lśniła w
blaskach księżycowej poświaty.
Ryby i węże mąciły łagodną grę
fal. Wielkie, ostre płetwy
tarponów przecinały raz po raz
rozsrebrzone morze, a przed
dziobem okrętu wylaniały się tu
i ówdzie okrągłe głowy wydr,
które rozejrzawszy się dookoła
zanurzały się z powrotem w
wodnej toni.**

**Na tle magicznych świateł i
cieni tej księżycowej nocy mały
holownik wyglądał jak
zaczarowany. Oba druty lin
holowniczych przypominały dwa
błyszczące srebrne łańcuchy. U
ich końców kołysały się ponure i
ciemne, mimo światła księżyca,
potężne kontury łodzi
naładowanej bagrami.**

Roger wraz z White'em stanął obok steru. Łkania słowika, docierające od czasu do czasu z ponurej dżungli, zdawały się urągać mu i zamykać ten dziwny dzień ironią i drwinami. W tyle łodzi leżał jakiś Murzyn z twarzą zwróconą ku księżycowi i cichym, biadającym głosem śpiewał smutną pieśń.

- Kto to taki? - zapytał Roger.

- To Murzyn z Haiti. Śpiewa w jakimś francuskim narzeczu - objaśnił White przysłuchując się z pochyloną głową.

- Murzyn z Haiti? - dziwił się Roger. - Skąd on się wziął w

pańskiej załodze?

- Zdarza się często, że obejmują służbę u nas.

- Powiedz mi pan, kapitanie, czy zna pan może mr Garmana? - zmienił temat Roger?

- Spodziewałem się, że pan mnie o to zapyta, mr Payne - brzmiała ostra odpowiedź.

- A zatem?

- Posłuchaj pan. Znam Garmana, ale to wszystko, co mogę powiedzieć. Buduję kanały przez całe życie. Buduję je dobrze i szybko. Właśnie dlatego przebywam w tych stronach. Nic poza tym mnie nie obchodzi.

- Rozumiem. Im szybciej wykona pan pracę u mnie, tym lepiej dla mnie.

- Dla mnie również - rzekł poważnie White.

Roger spojrział na niego badawczo.

- Dlaczego? Nie lubi pan swojej pracy, kapitanie?

- Praca mi się podoba, lecz im szybciej się z nią uporam, im szybciej splawię maszyny rzeką w dół, im szybciej się stąd wydostanę, tym lepiej. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Roger roześmiał się z goryczą.

- Wnoszę stąd, że już kiedyś pracował pan z Garmanem.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - powtórzył kapitan.

- Co to? - zawołał nagle.

Jasny promień przebił srebrzystą mgłę i rozświetlił przestrzeń wodną przed łodzią. Podczas gdy zafascynowani patrzyli w tym kierunku, światło zbliżyło się i oślepiającym blaskiem poraziło ich oczy. Wnet

usłyszeli huk motoru. To była "Anna". Wydawało się, że jacht z ciemności pędzi wprost na nich.

- Hej, wy tam! - zabrzmiał głos White'a. - Uwaga! Czy chcecie nas rozplatać na dwoje?

Z pokładu "Anny" zagrzmiął w odpowiedzi głośny śmiech, po czym jacht zmienił kurs, maszyny ucichły. Na pomoście, na tle

reflektorów ujrział Roger szeroką postać Garmana.

- Hej, Payne! - zawołał w jego stronę. - Czy nie widział pan przypadkiem tego przekłętego draba, którego tropimy?

- Według takiego opisu trudno

by go rozpoznać - odparł Roger.

**- Wszyscy oni jednakowo
wyglądają - zaśmiał się Garman i
wychylił przez barierę, a w jego
głosie brzmiała dzika radość,
jakby zadowolenie myśliwego, że
tropi zwierzynę. - W każdym
razie nie ma on najmniejszych
szans ujścia. Rozumie się, cało.
Rzucił się do ucieczki z Wyspy
Palm prosto w moczary. Puścił
nieco krwi pańskiemu
przyjacielowi, Ramosowi. -
Śmiech Garmana niósł się nad
wodą jak pomruk wściekłego
niedźwiedzia. - Zaprawdę puścił
mu krew tak gwałtownie, że
musieliśmy go przykryć głęboką
na trzy stopnie warstwą mułu, by
w ten sposób wprowadzić w błąd
myszołowy. Czy to pan, mr White?**

- Tak, ja.

- W porządku, Miej pan dobro

mr Payne'a na względzie.

Śpieszy mu się bardzo z tymi jego kanałami. Rób pan, co pan może, jest moim najlepszym przyjacielem, i nie tylko moim.

Znowu wybuchnął śmiechem. Rzucił jakiś rozkaz w stronę kotłowni i wnet "Anna" przepłynęła obok nich, szybko posuwając się w dół rzeki.

- Okręt widmo! Okręt widmo! - Murzyn leżący na dnie łodzi zerwał się ze strachem z drzemki. Zdrętwiałym wzrokiem począł się wpatrywać w światło reflektorów "Anny" i zachwiał się na nogach zatrwożony i oślepiony równocześnie,

- Uciszcie go! - krzyknął ze spokojem w głosie White.

- Okręt widmo! Okręt widmo!

- Gdzie na miłość boską,

Samie!?

- Tam na dole - hen! Och, mon Dieu!

Światła "Anny" zniknęły, a palec Murzyna wskazał pustą przestrzeń wodną skąpaną w świetle księżyca. Z holownika posypały się drwiny i śmiechy.

- Stulcie pyski! - zawołał White.

Przez chwilę panowała cisza. A potem z ciemnego kąta łodzi rozbrzmiał śpiew Murzyna, który tremolując począł zawodzić prymitywną, pełną westchnień i lęku melodię. White zaśmiał się gniewnie, lecz nie zmuszał go już do milczenia. Roger spojrział

na rzekę i odkrył słabą smugę światła, która przeblyskiwała na wschodzie spoza mgły rozwieszanej na niebie.

- Bogu dzięki - zauważył z ulgą. - Dnieje!

Gdy holownik w pobliżu zabudowań Garmana otarł się niemal o ląd, Roger skoczył na brzeg i na przełaj przez prerię pobiegnął do swego namiotu. Znalazł się tam właśnie w chwili, gdy słońce w pełnym blasku ukazało się na horyzoncie, a jego ludzie wybierali się w dżunglę do pracy przy wyрубie. Higgins stał przed namiotem, pykał fajkę i popędzał czarnych.

- Wszystko w porządku, Hig? - zapytał Roger z udanym spokojem.

- Naturalnie. Dlaczegoż by nie? - Higgins wyjął fajkę z ust

i spojrzął na Rogera. - Co z tobą?

- O co ci chodzi?

- Dlaczego do licha wyglądasz tak, jakbyś dopiero co wrócił z Diabelskiej Prerii?

Dopiero teraz opowiedział mu Roger o nocnym polowaniu Garmana.

- To, co mówił o Ramosie - odparł Higgins ciężko oddychając - jest bezczelnym kłamstwem. A jeśli naprawdę już nie żyje, usunął go ktoś z kliku Garmana, może nawet on sam.

- Skąd ty to wiesz?

- Od Willy'ego Tygrysa.

**- To niezwykle interesujące!
Co się z nim właściwie dzieje? -
zawołał Roger.**

**- Ukryłem go w chacie
Blease'a, lecz on zwiął już
stamtąd.**

**- Tropili więc tego biednego
Indianina?**

**- Nie tylko jego. Towarzyszył
mu biały mężczyzna.**

- Kto to taki?

**- Jakiś chłopak, na którego
Willy natknął się wśród bagien
właśnie w dniu, kiedy Garman dał
mu się we znaki. Garmanowi
chodziło głównie o tego białego.
Willy był wtedy z nim. Kiedy
banda Garmana otoczyła obydwu
wśród moczarów na wyspie, na
szczęście Willy przypomniał
sobie ścieżkę, znaną tylko
Indianom, i dzięki temu udało im
się zbiec. Wczoraj w nocy Willy**

przekradł się do nas. Biały przysłał go, abyśmy mu zrobili opatrunek i użyczyli schronienia. Willy dostał bowiem postrzał w biodro. Natychmiast udałem się do Blease'a i nakłoniłem go do ukrycia rannego u siebie. Lecz za ledwie nałożyliśmy mu opatrunek, uciekł. Chciał się jak najszybciej spotkać z białym. Bóg jeden wie, dlaczego tak mu się spieszyło.

- A gdzie biały?

- Wałęsa się po bagnach.

Podpłynął łodzią pod nasze namioty, zostawił rannego i oddalił się.

- Kto to jest?

- Nie mam pojęcia.

- Willy nic ci nie powiedział?

- Willy? On nigdy słowem się nie zdradzi, jeśli nie chce.

- Dlaczego Garman tropi białego?

- Tego też Willy rzekomo nie wie. Opowiadał jednak dość obszernie, jak im się udało umknąć z zasadzki, mimo że z ich strony nie padł przy tym ani jeden strzał. Właśnie dlatego jest rzeczą niemożliwą, by Ramos

został przy tej sposobności zabity. Przysięgłbym, że Willy powiedział prawdę. Strzelać co prawda strzelano, zdaje mi się dwa razy, ale robili to tylko ludzie Garmana, przy czym jedna kula dostała się biednemu Willy'emu.

XXVI

White dotrzymał obietnicy. W przeciągu jednego tygodnia wielki bagier utorował sobie drogę poprzez szuwary, bagna i wodę aż do wzgórza Deer Hammock.

W samym środku zalanych obszarów

Payne'a ciągnął się teraz szeroki rów odwadniający. Obliczenia Higginsa okazały się słuszne. W krótkim czasie kanał odciągnął większą część wody z powierzchni gruntu. Mały bagier przekopał mniejsze kanały poprzeczne. White rozkazał swym ludziom pracować na dwie zmiany, tak że ruch nie ustawał dniem ani nocą. Nie ukrywał też wcale,

dlaczego się tak spieszy.

**- Podjąłem się tej roboty,
więc ją wykonam - powtarzał. -
Ale będę bardzo rad, gdy z
pieniędzmi w kieszeni opuszczę
te strony.**

**- Nie wygląda pan na człowieka
- odpowiedział mu raz Higgins -
który boi się śmierci.**

**White nie dał się jednak
wciągnąć do dyskusji.**

**- Chciałbym już stać na swym
holowniku i mieć Gumbo Key za
sobą - powtórzył z uporem.**

**Gdy większa część bagnistego
terenu została odwodniona i
nadszedł czas, aby pomyśleć o
jej uprawie, Roger zaczął się
dziwić, że Garman nie daje znaku
życia. Może faktycznie jego
życzenie pomyślnych efektów
pracy było szczerze. Nie pokazał
się ani razu przez cały czas**

**pracy White'a i jego ludzi
wzdłuż kanałów. Zachowanie
podwładnych Garmana
przemawiało
też za tym, że zabronił im w**

**jakikolwiek sposób przeszkadzać
Rogerowi w jego dziele.**

**Pewnego dnia zjawiała się nawet
dumna "Anna", by wyciągnąć w
górze**

**uszkodzoną łódź pomocniczą
White'a. Innym razem zgłosili
się dwaj ludzie Garmana, by
zająć miejsce robotników, którzy
zachorowali. Dlaczego Garman
robił to wszystko dla Rogera? Co
kryło się za tą pozorną**

przychylnością, dlaczego udawał przyjaciela i wspierał Rogera w pracy? Musiał mieć ku temu ważne powody.

Rogera zastanawiało to, ale nie zadręczało. Stwierdził też, że dziwnie ostygł do swego projektu, już mu na nim tak nie zależało, jak początkowo sądził. Oczywiście pracował, i pilnował, by jego ludzie pracowali.

Trzymał się też ściśle planów wytyczonych przez Higginsa. Lecz nocą rzucał się na swym posłaniu i zadręczał myślami, które nie miały nic wspólnego z robotami odwadniającymi jego ziemię.

Gdy White skończył, wetknął czek do kieszeni i oddalił się czym prędzej. Rogerowi nie udało się wydobyć ani jednego słowa od tego milczącego człowieka. Czy znał Garmana lepiej, niż mówił?

Czy zaszło coś kiedyś między tymi dwoma mężczyznami? Roger miał wrażenie, że White boi się Garmana. Czy może nie lubiąc go uMnikał z nim spotkania? W każdym

razie do tajemnic otaczających Garmana dołączyła jeszcze jedna.

W dwa dni po odjeździe White'a Roger i Higgins zabrali się do odmierzenia wykarczowanego terenu koło krzaków dzikiego bzu, gdy jeden z czarnych zawołał:

- Co obcy ludzie tam robić, panie?

Roger spojrział we wskazanym kierunku i zauważył trzech zbliżających się mężczyzn. Przypatrywał im się przez jakiś czas, po czym odrzucił taśmę mierniczą i poszedł im

naprzeciw.

- Całkiem słusznie - mruknął Higgins i podążył za nim. Ci ludzie nie przyszli tu przecież na spacer. Warto się dowiedzieć, co ich sprowadza.

Payne zmierzył obcych taksującym wzrokiem. Ubrani byli jak turyści, lecz ich twarze o ostrych spojrzeniach zadawały kłam temu przebraniu. Mieli laski, ale ich masywne dłonie nadawały się raczej do trzymania rewolwerów lub noży składanych. Największy z tej trójki, drab o grubych rysach i ciemnych wargach, zastąpił Rogerowi umyślnie drogę. Roger stłumił

wściekłość i rzekł spokojnie.

- Racz się pan wytłumaczyć ze swej zuchwałości.

- Nie radzę tak zaczynać. Tą metodą daleko pan nie zajedzie z nami, mój chłopcze. Panie, czy wiesz, z kim masz do czynienia?

Podniecenie Rogera natychmiast ustąpiło. Poczul, że ogarnia go lodowaty spokój. Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Nie - odparł łagodnie. - Faktycznie nie wiem, z kim mam do czynienia. Które to więzienie zaszczyliciliście ostatnio swą obecnością?

Obcy odsunawszy kapelusz w tył, zmierzył Rogera z góry na dół pogardliwym spojrzeniem i począł miotać obelgi i przekleństwa używane tylko w najgorszych spelunkach.

Payne odczekał chwilę, po czym

zapytał zimno.

- Czy powie mi pan wreszcie, czego pan tu szuka?

- Ja? Ja mam powiedzieć panu, czego szukam? To naprawdę niesłychane! Raczej wypadaloby, aby pan się wytłumaczył, co pan tu robi.

Tego Rogerowi było już za wiele. Rzucił się na obcego i zanim tamten wykonał najmniejszy ruch, prawa pięść Rogera szerokim łukiem trafiła go w brzuch; następnie Payne poderwał

go z ziemi i zepchnął do rowu napełnionego wodą. Higgins nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

**Pozostali dwaj, draby krępe
jak ich przywódca, nie mieli
zamiaru oszczędzać Rogera. Jeden
z nich wrzepił mu taki lewy
sierpowy, że chłopiec zachwiał
się, drugi chwycił go za nogi i
usiłował obalić na ziemię. Tego
nicponia uraczył Higgins silnym
uderzeniem w głowę.**

**Teraz na brzegu grobli
przewalały się dwa kłębowiska
walczących. Roger i Higgins
musieli przyznać, że mają do
czynienia z twardymi i zaciętymi
przeciwnikami. Zwłaszcza Roger
po wymianie ze swoim partnerem
serii ciosów przekonał się, że
obcy góruje nad nim siłą. Z
kolei obalono na ziemię
Higginsa. Jednakże już za chwilę
odskoczył jak piłka, zerwał się
na równe nogi i z miejsca
odpłacił przeciwnikowi tym samym**

powalając go z nóg. Lecz i ten opamiętał się rychło, natarł na Higginsa, ponadto runął na niego całym ciężarem ciała, aby go unieruchomić pod sobą. Na próżno. Higgins bronił się skutecznie waląc niedźwiedziowatymi ramionami w plecy napastnika.

Roger, jak mógł, bronił się przed bezpośrednim zwarem, do którego dążył jego przeciwnik. Lewymi prostymi odpierał ataki tamtego pomagając sobie prawymi sierpowymi. Obcy jednak poczynął sobie zbyt zręcznie, by ulec zwyczajnym uderzeniom. Broniąc się nie zrobił jednego błędu, po czym Roger zorientował się, że ma przed sobą rutynowego boksera.

Raz udało się Rogerowi umiejscowić pięść na szczęce

**obcego z tak wielką siłą, że
spodziewał się nokautu. Na obcym
cios ten nie wywarł jednak
większego wrażenia. Przegiął
tylko głowę w bok, jak gdyby to nie
jego uderzono. Wówczas Roger**

**zrozumiał, że walka nie skończy
się tak szybko. Ponadto
przypomniął sobie człowieka,
którego zepchnął do kanału.
Skorzystał z najbliższej
sposobności, aby rozejrzeć się
za nim. I zauważył, że mężczyzna
wdrapuje się z trudem na
rozkopaną groblę. Ta chwila
nieuwagi wystarczyła i
przeciwnik rzucił się na niego,**

**zręcznym chwytem
unieruchamiając
jego głowę w kleszczach swych
ramion.**

**- Mam go! - krzyknął do swego
towarzysza w rowie. - Strzel mu
prosto w plecy!**

**Resztką sił udało się Rogerowi
rzucić siebie i przeciwnika na
ziemię. Prawie równocześnie dał
się słyszeć huk wystrzału i kula
świsnęła mu nad głową.**

**- Uważaj, Hig! - zawołał
Roger. - Weź na siebie
przeciwnika!**

**- Obróć go, a zabiję jak psa!
- zaryczał drab, któremu
wreszcie udało się wydostać na
groblę. Wystrzelił raz jeszcze,
lecz chybił.**

**Roger czuł, że jego przeciwnik
stękając z wysiłku stara się go
odwrócić. I niewiele brakowało,**

**aby to zrobić, gdy nagle z
gęstwiny szuwarów padł strzał,
po nim jeszcze jeden i zaraz
rozpoznali głos Blease'a:**

**- Następny strzał wymierzony
będzie trochę niżej. Rzuć
pistolet do rowu, ty przekłety
psie!... Teraz w porządku. Z
ziemi, chłopcy!**

**Od strony grobli dał się
słyszeć tupot nagich stóp. To
okazały Murzyn z Bahamy
prowadził gromadę dziko
gestykulujących pobratymców.
Człowiek z pistoletem krzyknął z
przerażenia i uciekł na drugą
stronę rowu. Walka zbliżała się
do końca. Czarni stali bez tchu
z wyszczerzonymi zębami
oczekując dalszych rozkazów.**

**- Do diabła, chłopcy! -
zawołał Roger. - Skąd wzięliście**

się tutaj?

- Biały człowiek - odparł jeden z Murzynów i pokazał na dżunglę - grozić nas zastrzelić, jeżeli nie pójdziemy.

Higgins odebrał każdemu z napastników rewolwer.

- Dobrze, chłopcy - pochwalił Roger. - Możecie wrócić do swej pracy.

Roger i jego przeciwnik stali teraz naprzeciw siebie po obu stronach rowu.

- A zatem? - rzekł Roger. - Może się wreszcie dowiem, o co wam chodziło?

Obcy zaczął znowu przeklinać, wreszcie warknął:

- To ja chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje! Pan mi za to zapłaci. Rozpanoszył się pan na moim gruncie i jeszcze rozpoczyna bijatykę!

Roger popatrzył na niego z największym zdumieniem. Jego gniew ulotnił się.

- To chyba pomyłka - rzekł wreszcie. - Grunt, na którym stoję, jest moją własnością.

- Nie brak panu tupetu. Czy wyglądamy na głupców? Nie dawniej jak zeszłego tygodnia kupiliśmy tę ziemię. Od dziś nie ma pan tu czego szukać, rozumiano? Dostałem jak najdokładniejszy opis. Tysiąc akrów na zachód od wzgórza Deer Hammock aż do bagien porośniętych cyprysami. Chce pan może zobaczyć papiery? Gotów jestem służyć panu nawet adresem

mego adwokata!

- Jak on się nazywa?

- Tom Connors, Waszyngton.

**Może uwierzy mi pan prędzej,
jeśli dowie się pan, że jest on
równocześnie adwokatem senatora
Fairclothe'a?**

**- Hm - zauważył Roger. - Jeśli
pan rzeczywiście sądzi, że nabył
ten grunt, padł pan ofiarą
oszustwa.**

**- Posłuchaj pan. To pan jest
tą rybą, którą wzięto na wędkę.
To pan ma fałszywe prawo**

**własności! Czy wiedział pan, że
o te bagna toczy się proces? Tom
Connors go prowadził, a teraz**

właśnie wygrał i my nabyliśmy od niego tę ziemię. Pański kontrakt nie przedstawia żadnej wartości. I co pan na to?

Roger stracił panowanie nad sobą. Wskoczył do rowu, przedostał się na drugą stronę i wymachując bronią krzyczał:

- Precz stąd! Precz z mego gruntu!

Mężczyzna uciekał co sił wzdłuż grobli. Po drugiej stronie biegli w tym samym tempie jego towarzysze. Roger nie podążył za nimi. Stał w miejscu i nie spuszczał z nich oczu. Ogarnęła go wściekłość jak nigdy dotąd.

- I nie pokazujcie mi się więcej na oczy! - zawołał za nimi prawie nieprzytomny. - Powiedzcie waszemu adwokatowi, waszym sędziom, powiedzcie, komu

**tylko chcecie, by mnie
pozostawili w spokoju, jeśli im
życie miłe!**

XXVII

**- To niemożliwe! - Roger był
zbyt przybity tym, co usłyszał,
by od razu ocenić powagę
sytuacji. - Towarzystwo nie
odważyłoby się przecież sprzedać
ziemi, gdyby obszar był sporny!**

**Stopniowo dopiero począł
jasno rozumieć całą sprawę.
Connors był adwokatem senatora
Fairclothe'a. Fairclothe'owi zaś
zależało na odwodnieniu terenów.**

**- Mój Boże! - westchnął Roger.
- Nie mogą przecież być aż tak
przewrotni.**

**- Czy sprawdziłeś prawa
własności, zanim złożyłeś im**

pieniądze? - zapytał Higgins.

- Naturalnie - odparł Roger. -

Wszystko było w porządku aż do pierwszych hiszpańskich nadań ziemi. Tak, wszystko w porządku. A zatem ci ludzie przyszli tutaj

za czyjąś namową. Ci biedacy są tylko narzędziem. Zapewne wystawiono fałszywy akt kupna na ich nazwiska, ale i na tym koniec. Wybrano właśnie ich, bo umieją się boksować. Nie wiem tylko, kto się za tym kryje.

- Z prawami do ziemi sprawa jest zawsze powikłana - mruknął Higgins. - Zwłaszcza gdy do tego rodzaju oszustw zabierają się

korsarze.

- Czekali aż do wykończenia kanałów - odezwał się znów Roger. - Przedtem nie zdawali sobie sprawy z tego, jak dobra jest to ziemia. A skoro się o tym przekonali, chwycili się jej obiema rękami. Hig, pójdę teraz do Garmana i pogawędzę sobie trochę z senatorem Fairclothe'em.

- Gotów jestem się założyć, że go nie zastaniesz. Wyjechał, by sprzedać ziemię trzeciemu naiwnemu.

Tym razem Higgins nie miał jednak racji, senator Fairclothe nie wyjechał. Roger, wszedłszy do domu Garmana, zobaczył na werandzie senatora, Garmana i jakiegoś człowieka w długim czarnym surducie i w kapeluszu o szerokim rondzie odbywających

właśnie konferencję.

Roger podszedł bliżej. Garman rozwalony w fotelu uśmiechnął się na jego widok, senator siedział nadal sztywny i chłodny niczym posąg, który według jego przypuszczeń świadczyć winien kiedyś potomnym o zasługach Fairclothe'a dla republiki. Obcy w czerni zmrużył oczy tak silnie, że utworzyły teraz tylko wąskie szparki.

- Hallo, Payne! - zawołał Garman. - Wejdźże pan na górę! Dlaczego pan taki podekscytowany? - uśmiechnął się ponownie stwierdzając rozdrażnienie przybysza. - Co pana tak rozgniewało, chłopcze? Ktoś pewno sprowadził pana kilka ideałów na ziemię? Chodzi o

ambicję czy o miłość?

Po tych słowach wybuchnął głośnym śmiechem. Senator Fairclothe spojrział na mężczyznę w czerni i skinął sztywno głową. Tamten podniósł się z krzesła.

- Czy pan nazywa się Roger Payne?

- Chwileczkę! - Roger jednym susem znalazł się na werandzie i stanął naprzeciw obcego. -

Poczekaj pan - dodał. - Muszę wpieryw pogadać z senatorem. - I zwrócił się do Fairclothe'a: -

Senatorze, co do praw własności obszaru, jaki nabyłem od towarzystwa, które pan reprezentuje, zachodzi, zdaje się, małe nieporozumienie.

- **Młodzińcze, pan w ogóle u mnie nic nie kupił.**
- **Jak to? Wszak jest pan prezydentem "Prairie Highlands Association"?**
- **Byłem nim, lecz przed paroma miesiącami wycofałem się z tej sprawy rozwiązując kontrakt.**
- **Zanim skierował pan do mnie te listy?**
- **Nie, właśnie w dniu, kiedy po raz ostatni pisałem do pana.**
- **Rozumiem.**
- **W czasie, gdy pan zakończył swe pertraktacje, nie łączyły mnie już żadne stosunki z towarzystwem. Doszedłem bowiem do przekonania, że spółka nie jest oparta na solidnej podstawie. Ze sprzedanych obszarów tylko część stanowiła faktycznie jej własność. Prawa własności, na które się**

**powoływał zarząd, były albo
fałszywe, albo sporne.**

**Towarzystwo zostało już
zlikwidowane.**

**- Rozumiem - odparł po chwili
Roger. - I jakkolwiek pan
wiedział, że pana rekomendacje
jako senatora Stanów
Zjednoczonych nakłonią ludzi do
nabywania tych obszarów,
jakkolwiek orientował się pan,
że prawa ich są sporne, nie
poczynił pan żadnych kroków, by**

**przestrzec wszystkich
wprowadzonych w błąd.**

**- Senator ma wiele innych,
ważniejszych obowiązków, młody**

człowieku, niż pilnowanie małych interesów ludzi głupich na tyle, by kupować ziemię nie obejrzawszy jej wprzód. Co więcej, uważałbym poniekąd za swój obowiązek nie interweniować w podobnych sprawach. Leży bowiem w interesie naszego kraju, by kapitały, pozostające w posiadaniu tych naiwnych ludzi, przeszły do rąk doświadczonych, energicznych przedsiębiorców, którzy na szczęście reprezentują żywotniejszą część naszego społeczeństwa.

- Brawo! - odezwał się z uznaniem Garman. - Senatorze, gratuluję panu logiki. Payne, to się nazywa filozofią naszego stulecia. A teraz warto by usłyszeć, jak do tej mądrości podyktowanej latami

**ustosunkowuje się nasza ideałami
przesiąknięta młodzież. Anetko!**

**- zawołał. - Wyjdź, proszę, do
nas. Ręczę, że się dobrze
zabawisz, będziemy bowiem
świadkami zapasów umysłowych.**

**- Panny Anety nie ma w domu.
Wyszła - oświadczyła pokojówka.**

**- Szkoda! Payne, chciałem, aby
ją pan zobaczył. Aneta zmieniła
się nad wyraz. Wydoroślała.**

**Właśnie przyszło mi na myśl,
senatorze, że coraz bardziej
upodabnia się do pana, coraz
bardziej staje się córką swego
ojca.**

**- A zatem, młody człowieku -
Fairclothe zadowolony z pochwał
Garmana zwrócił się do Rogera. -
Czy ma mi pan jeszcze coś do
powiedzenia?**

**- Zatrzymam tę ziemię, panie
Garman - rzekł Roger nie**

**zwracając uwagi na senatora. -
Zatrzymam ją bez względu na
waszych podstawionych ludzi i
niezależnie od tego, czy
użyjecie do tego celu**

**gangsterów, senatorów Stanów
Zjednoczonych, czy - tu rzucił
spojrzenie w stronę ubranego na
czarno obcego - szeryfów
okręgowych.**

**- Senatorze! - zawołał Garman
udając przestach. - On narusza
honor pańskiego uświęconego
urzędu!**

**- Uważaj pan na swój język,
młodzieńcze - ostrzegł szeryf. -
To również mnie dotyczy!**

**- Moim zdaniem - odparł Roger
- powinny się tą sprawą
zainteresować osobistości
stojące wyżej ode mnie i od
pana. Czas już najwyższy, by
rząd Stanów Zjednoczonych
dowiedział się o tym, co się tu
dzieje.**

**W kącikach ust Garmana pojawił
się lekki uśmiech. Przez chwilę
panowała cisza, po której
senator Fairclothe odezwał się z
namaszczaniem:**

**- Ja tu reprezentuję rząd
Stanów Zjednoczonych.**

**- Naprawdę? - Roger roześmiał
się z goryczą. - Mogę tylko z
tego powodu wyrazić swe
ubolewanie. Nie wierzę, aby pan
uosabiał rząd. Stany Zjednoczone
to 100 milionów ciężko, podobnie
jak ja, pracujących ludzi. Pan
zaś, mój panie, reprezentuje**

interesy co najwyżej paru bogaczy z kilkuset milionami dolarów, ową potęgę finansową, która panu utorowała drogę do senatu!

- Czy chce pan tymi słowami znieważać honor godności senatora?

- Nie, jestem bardzo zajęty i na podobne drobnostki nie mam czasu, ale postaram się, by do uszu uczciwych ludzi doszło niejedno, by dowiedzieli się, jak to drogą oficjalną można popełniać największe oszustwa. Jest to sprawa, wobec której rząd z pewnością zajmie zdecydowane stanowisko.

**- Miej się pan na baczności!
Nie pozwolę bezkarnie ubliżać**

**godności senatora i znieważać
rządu, który reprezentuję.**

**- Przypuśćmy, że rozsiewam
oszczerstwa. Jakie kroki
podejmie pan przeciw mnie?**

**- A więc, senatorze -
roześmiał się Garman. - Czas
najwyższy odkryć przyłbicę.**

**- Nie będę się tu tłumaczył,
co zamierzam uczynić, aby nie
puścić płazem znieważenia rządu.
Nie zwykłem też pertraktować ze
stronami, które się podobnych
czynów dopuściły.**

**- Już dość długo pozwalaliśmy
temu młodzieńcowi na jego wywody
- wmieszał się szeryf. - Roger
Payne, wzywam pana...**

**Roger Payne odwrócił się
zdecydowanie i zszedł schodami**

na dół. Potem przeciął trawnik i skierował się do swego obozu. Z werandy doleciał go jeszcze trzask rewolweru, lecz nawet się nie odwrócił.

- Schowaj pan ten drobiazg, szeryfie! - usłyszał z daleka pogardliwy głos Garmana. - I wracaj pan do Flora City, tam jest pan bardziej potrzebny. Dla pana, Payne - krzyknął za oddalającym się Rogerem - mam pełne uznanie! Strasznie pan uparty, lubię takich przeciwników. My obaj nieraz się zabawimy ze sobą.

Roger ani się nie zatrzymał, ani nie dał mu żadnej odpowiedzi. Pod wpływem docinków

Garmana zacisnął pięści. Rozpaczliwa sytuacja, w której się znalazł, jak też bezczelne

wyznanie senatora zmały nieco jego myśli. Jedyne co z całą wyrazistością przyjął do wiadomości, to oznajmienie Garmana, że Aneta zmieniła się i coraz bardziej upodabniała się do swego ojca.

Gdy teraz nagle znalazł się naprzeciw niej - bo całkiem niespodziewanie wyłoniła się z nocnego mroku - zrozumiał, że Garman mówił prawdę. Zmieniła się. I wydała mu się obca.

Jaśniała pięknnością jak nigdy przedtem, lecz była to piękność mądrej, wszelkich iluzji pozbawionej kobiety o twardym

**sercu, a nie pogodnego,
beztroskiego dziewczęcia, jakie
znał dawniej. Nie umiał sobie
wytłumaczyć zmiany, która zaszła
w dziewczynie, lecz widząc ją
taką przed sobą, wyciągnął
instynktownie rękę gestem, który
zaklinał i przywoływał
przeszłość. Półgłosem szepnął:**

- Anetko!

**W tym momencie nastąpił cud.
Pod wpływem jego spojrzenia,
jego głosu wymawiającego jej
imię najpierw zadrżała, a potem
jakby przebudziła się. Zmieniała
się z chwili na chwilę,
jakkolwiek zmiana ta była
widoczna zapewne tylko dla oczu
kochającego. Wydawała się
zakwitać jak usychająca róża,
której wreszcie użyczono wody.
Oczy jej nabrały blasku, znowu
odkrył w nich to jasne,**

serdeczne spojrzenie, które mu się tak bardzo w niej podobało. Policzki Anetki zabarwiły się, chód nabrał elastyczności; podeszła bliżej.

- Jak to dobrze - zawołała składając ręce. - Widzę, że pan lubi mnie taką, jaką jestem, jaką zawsze chciałabym być!

- Aneto - szepnął wyciągając ku niej ponownie swe ręce. Dotknął jej dłoni i zamknął w swoich. - Jest pani znowu szczęśliwa, nieprawdaż? - wykrztusił.

W oczach jej stanęły łzy.

- Czy jestem szczęśliwa? Tak - na jedną chwilę.

Trzymając ręce Anetki przycisnął je do piersi. Spojrzała na niego swymi wilgotnymi oczami. Wtedy objął ją ramieniem. Przytuliła się do

niego nie mogąc stłumić lekkiego westchnienia. Przyciągnął ją jeszcze bardziej ku sobie i pocałował. Dziewczyna odrzuciła w tył głowę szepcząc:

- O Boże! Nie, nie! Pozwól mi odejść, najdroższy!

Wyrwała się z jego ramion i zakryła dłońmi swe oczy, jak gdyby już nigdy więcej nie chciała go zobaczyć.

- Wybacz mi - rzekł zdławionym głosem. - Zapomniałem, nie sądziłem, że...

- Odejdź! - prosiła bezdźwięcznym, matowym głosem,

**objąwszy ramionami pień
oplecionej dzikim winem jabłoni
oparła o niego głowę. - Nie
powinieneś się do mnie zbliżyć.
Nie powinieneś tego... Nie rób
tego więcej, jeśli mnie
rozumiesz i...**

**Zamilkła na chwilę, następnie
obróciła się i spojrzała na
Rogerę. Wszystko, co było
dziewczęcego w jej twarzy,
znikło nagle, usta jej przybrały
znowu twardy wyraz. Unikała jego
oczu i ze wzrokiem utkwionym w
dżunglę zaczęła mówić:**

**- Przyszłam tutaj, by zobaczyć
się z tobą... - głos jej brzmiał
oschle i rzeczowo. - Garman
wyznał mi prawdę o wczorajszych
przybyszach. Za tym kryje się
oszustwo. Twoje prawo własności
nie jest sfalszowane.**

Przeciwnie, właśnie ich tytuł

jest nieważny. Chcieliby wejść w posiadanie twoich terenów i uwikłać w proces, który może cię zniszczyć.

**- To nie ma dla mnie znaczenia
- rzekł.**

Nie odpowiedziała od razu. Nie odrywając nieobecnego spojrzenia utkwionego w dżunglę, odparła wreszcie.

- Owszem, to ma bardzo wielkie znaczenie. Nie wolno ci dopuścić do tego, aby ci ludzie zabrali twoją ziemię. Nie chcę, by cię zniszczyli tak jak mnie.

- To niemożliwe! Mylisz się...

Roześmiała się z goryczą:

- Nie zawładnęli mną jeszcze całkiem, nie, lecz sądzę, że niedługo to nastąpi. Są zbyt silni. Ciotka, ojciec i - on!

Ciotka przygotowała mnie na to, ojciec rozpacza, że jest w jego mocy, a on - sam wiesz, jaki to człowiek. Są zbyt silni wobec mnie jednej, samej!

- Nie jesteś sama! -

zaprotestował gorąco.

- Nie wolno mi się łudzić.

Jestem sama. To właśnie jest straszne. Powiedziałam ci już, czego nie mogłeś zrozumieć, że tylko własnymi siłami mogę wygrać tę walkę.

- Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- I tak powiedziałam ci za wiele. Powinieneś na siebie uważać. Bez względu na to, co się ze mną stanie - musisz na

siebie uważać.

- Nie wiem, czy to teraz takie ważne. Jeśli mam być szczery, straciłem zainteresowanie dla moich spraw. Skoro tracę cię... Boże, co bym dał, żeby cię móc strzec!

Jej młode, świeże usta rozciągnęły się w cynicznym uśmiechu.

- Powiedziałeś to tak serdecznie, lecz...

- Kocham cię! - wyznał odważnie Roger. - I mam nadzieję, że i ja tobie nie jestem obojętny.

- Nie, nie - zwróciła ku niemu pełną błagania twarz. - Czy chcesz mnie dręczyć? - głos jej drżał. Walczyła przez chwilę z sobą, wreszcie zdławiła łzy i uśmiechnęła się z trudem. Po czym wyciągnęła do niego rękę i

rzekła:

- Bądź zdrow.

**- Kocham cię! - powtórzył
Roger z uporem.**

**Stłumiony śmiech doleciał ich
z głębi dżungli, zerwali się z
przerażeniem.**

**- O młodości, młodości! - Zza
bujnych krzewów dzikiego wina
wysunął się Garman. - Kocham
cię! O głupia młodości! Biedny
Payne!**

- Łajdaku! - krzyknął Roger. -

Ty podły obłudniku!

**- Odejdź - powiedziała cicho
Anetka do Rogera ujmując go pod
ramię. On jednak pozostał na**

**miejscu. - Pan podsłuchuje -
zwróciła się do Garmana. - Jeśli
mnie naprawdę kochasz, zrób, o
co cię proszę. Odejdź stąd
natychmiast!**

**- Nie mogę cię tak zostawić,
Anetko. Taką bezradną, samą.**

**- Skoro wiem, że mnie kochasz,
nie jestem już bezradna. Ma to
dla mnie wielkie znaczenie.**

**Tylko w ten sposób możesz mi
pomóc - kochając. Jest to dla
nas jedyna droga. A teraz
odejdź, proszę!**

**Spojrzał jeszcze raz na nią, a
potem uklonił się i odszedł.**

XXVIII

**- Podeszli nas haniebnie! -
Gruby kark Higginsa aż nabrzmiął
pod wpływem bezsilnej**

**wściekłości. - I ja sam tu
ponoszę winę. Zasługuję na setkę
kijów. Zawiodłem sromotnie, gdy
ty byłeś nieobecny!**

- Co się właściwie stało?

**Higgins zaprowadził Rogera aż na
skraj dżungli i wskazał ręką
odwodniony obszar. Tuzin
uzbrojonych drabów, motłoch
najgorszego autoramentu,
lękający się światła dziennego,
rozlokował się w równych
odstępach na tysiącu akrów
stanowiących jego własność. Dwaj
pierwsi rozłożyli się tuż za
świeżo usypanymi groblami po obu
stronach głównego kanału, tak że
tylko głowy i lufy karabinów
wystawały ponad czarne masy
ziemi. Inni zajęli po dwóch
strategicznie ważniejsze punkty.
Nikt nie mógł wejść na
odwodniony teren nie narażając**

**się równocześnie na krzyżowy
ogień kul.**

**Roger przez lornetkę
obserwował bacznie dwóch drabów,
którzy strzegli głównego kanału**

**w pobliżu Deer Hammock. Były to
prawdziwe typy spod ciemnej
gwiazdy, mieszkańcy rozległych
bagien zdecydowani na wszystko.
Mieli zapewne wiele ciężkich
zbrodni na sumieniu, a przemoc
była dla nich najlepszym
argumentem; po sposobie, w jaki
obchodzili się z bronią, Roger
zorientował się, że ma przed
sobą ludzi, którzy znają się na
polowaniu, a stanowczość, z jaką**

trzymali straż, dowodziła, że oczekiwali walki na śmierć i życie.

- Za tym znów kryje się Garman! Tylko on mógł tych ludzi nakłonić do opuszczenia bagien. Jak właściwie do tego doszło?

- Uciekli się do starego podstępu, a ja dałem się złapać w ich zręczną pułapkę. Paru z nich nadleciało wśród krzyków i strzałów od strony Kwiecistej Prerii pędząc czarnych przed sobą. Sądziłem, że grozi nam napad na obóz, zawołałem Blease'a i pobiegliśmy w kierunku namiotów. Billy Steamoat, ten wielki, czarny z kolczykami w uszach, dostał raz

po głowie, gdy starał się ukryć. Potem strzelili parę razy w namioty, a Blease i ja

**rzuciliśmy się na nich. Blease
dopadł jednego z nich,
widziałem, jak mu go potem
odbili. Za chwilę usłyszeliśmy
trzy strzały, na które z drugiej
strony odpowiedziano, i na tym
skończyła się strzelanina.**

**Dopiero po pewnym czasie
rozjaśniło mi się w głowie.**

**Pojałem, co się stało. Pobiegnęłam
co tchu wraz z Blease'em na
groble, lecz było już za późno.**

**Zaskoczyli nas. Była tam cała
armia i to przeważnie z bronią
najcięższego kalibru. - Pokazał
swoją podziurawioną hełm
tropikalny. - Umieściłem go na
łasce, a łobuz, który zmienił go
w sito, był oddalony o dobrych
200 jardów.**

**- Nie ty ponosisz za to winę -
odparł Roger - lecz ja. To ja
wydałem się w ręce Garmana idąc
do niego. Wiedział, z jakimi
noszę się zamiarami, więc
przygotował swą bandę. Mnie zaś
trzymał tam wszelkimi sposobami,
bo zależało mu, żebyście byli
sami. Muszę przyznać, że dałem
się nabrać.**

**- To jeszcze nie wszystko -
rzekł Higgins. - Czarni,
dowiedziawszy się o losie
Billy'ego, jak zające uciekli w
dżunglę. Blease twierdzi nawet,
że już nie wrócą, bo wyrywają za
góry i lasy, ilekroć biali
zaczynają strzelać.**

**- To znaczy, że zostaliśmy
teraz we dwóch w obozie?**

- We trzech. Blease też wykopał swój topór wojenny.

- Choćby trzech, to niewiele przeciw tym w dole.

- Na nich i tuzin nie wystarczyłby. Czy dowiedziałeś się, czego chcą?

- Zarzucają mi, jakoby me prawo własności było fałszywe, a ich prawdziwe. Zamierzają włóczyć mnie po sądach, aż się złamię i nie będę mógł się dłużej bronić.

Gdy to powiedział, uświadomił sobie dopiero, czym pachnie urzeczywistnienie tego planu. Połączyłyby się przeciw niemu bogactwo i wpływy Garmana z nietykalną osobą senatora. Widział już w swym życiu niejedno, aby wiedzieć, z jakim wrogiem ma do czynienia. Szeroka połać południowej Florydy

**pozostawała w rękach potężnej,
nie znającej lęku bandy korsarzy
i rabusiów z Garmanem na czele.
Banda ta była dobrze
zorganizowana i pod najwyższym
patronatem uprawiała całkiem
otwarcie swe zbrodnicze
rzemiosło.**

**Szeryf okręgowy był tylko
małym pionkiem w tej wielkiej
grze. Sędzia również nie miał
większego znaczenia. Rogerowi**

**zdawało się, że wszystkie władze
państwa, tak ustawodawcze, jak
wykonawcze, gubernator,
członkowie kongresu, sędziowie
Sądu Najwyższego, a także**

**uświęcony senat Stanów
Zjednoczonych w osobie senatora
Fairclothe'a, byli przeciw
niemu. Że daleko sięgała potęga
organizacji Garmana, świadczyła
o tym nieświadomość, w jakiej
utrzymywano ludzi nabywających
grunta w tych stronach, co do
panujących tu stosunków.**

**Inseraty w niedzielnych gazetach
donosiły o bezcennych skarbach
kryjących się w zachodnim
Everglades. Na łamy tych gazet
nie dostawało się ani jedno
słowo, które by odsłaniało
prawdę lub chociażby pozwalało
się jej domyślać. Roger zdawał
sobie sprawę z tego, że
wystarczyło mały trybik tej
machiny wprowadzić w ruch, by
wygrać każdy spór w sądzie.**

**Miał też przed oczyma
bezwzględność desperatów, którymi**

Garman celowo obsadził jego grunta. Zrozumiał, że jedynie dzięki wyjątkowym środkom mógłby

wejść z powrotem w posiadanie swoich terenów. Mimo to ku największemu swemu zdumieniu stwierdził, że ze spokojem myśli o tej niesprawiedliwości. Że całą sprawą nie bardzo się jakoś przejął. Natomiast na wspomnienie Anetki, spoczywającej przez chwilę w jego ramionach, tętno Rogera poczynęło żywiej pulsować.

Z ich spotkania nic poza tym nie pozostało w jego pamięci. Trzymał Anetę w ramionach, a teraz jego ramiona tęskniły za nią tak gwałtownie, że aż boleśnie. W porównaniu z tym doznaniem wszystko inne wydawało mu się nieważne.

**- A zatem? - spytał Higgins. -
Co zamierzasz uczynić?
Przypatrywać się z założonymi
rękami?
- Jak to, Hig?**

**- Czy chcesz dopuścić do
tego, aby naprawdę cię podali do
sądu i aby na ciebie zapadł
wyrok za to, że oni bezkarnie
przywłaszczyli sobie twą
posiadłość?**

**- Zastanowię się nad tym -
odparł Roger.**

**- Mamy tylko jedno wyjście:
Musimy walczyć! - zdecydował
Higgins. - Musimy tych drani
wygnać, zanim tu zapuszczą**

korzenie, zanim rozguszczą się tutaj na dobre. Jeden z nas wybierze się do Citrus Grove i sprowadzi dwudziestu ludzi gotowych na wszystko. Dwudziestu chłopa, broń i ciemna noc, a rozpędzę całą bandę do diabła. I znowu będziesz panem na swoim gruncie.

Roger zaśmiał się.

- Co z tobą? - spytał zdumiony Higgins. - Może masz lepszy pomysł?

- Hig, jeżeli sądzisz, że Garman nie odciął nam odwrotu, to nie doceniasz przeciwnika. Na kiedy zapowiedziane były zaprzęgi z wołami?

Higgins zagwizdał przez zęby.

- Racja! Miały dziś nadejść, jeszcze przed sześcioma godzinami.

- Dotychczas co tydzień

przybywały punktualnie. Na ogół woły są powolne, ale pewne.

- Sądysz zatem, że Garman odciął nas od świata?

- Hig, gdybyś się był Garmanowi przypatrzył tylko w połowie tak dokładnie jak ja, nie wątpiłbyś, że o tym nie zapomniał.

Gdy się ściemniło, w namiocie Rogera zjawił się Blease. Potwierdził jego przypuszczenia. Tropił ludzi, których z Higginsem odegnali na północ. Obok Deer Hammock, w odległości zaledwie jednej mili od obozu natknął się na przeciwników odpoczywających obok śladów wołów.

Roger przeleżał bezsennie tę

noc w namiocie i spokojnie przemyślał swą sytuację. Na południu ludzie Garmana obsadzili jego grunt. Na wschodzie rozlewały się wody Everglades, poprzez które mogli się tylko przedostać tubylcy na swych kajakach. Na zachodzie wiodła jedyna droga przez ziemie Garmana. Na północy ciągnął się trakt dla wołów, teraz również obsadzony przez przeciwnika, i niesamowite bagna Diabelskiej Prerii.

Z pułapki Garmana nie było wyjścia. Roger byłby się chętnie dowiedział, kiedy Garman zamknie potrzask, lecz Garman nie ruszał się tymczasem. Dzień mijał po dniu, a sytuacja nie zmieniła

się. Jego ludzie pilnie trzymali straż dniem i nocą. Księżyc stracił wprawdzie dużo ze swej jasności, ale oświecał jeszcze dostatecznie okolicę, tak że wszelka próba przejścia przez odwodnione tereny równałaby się samobójstwu. Banda Garmana nie próbowała atakować, lecz nie było żadnej możliwości przedarcia się cało przez kordon czujnych oczu

i

broni.

Jeden z Murzynów, zbyt znużony, by kryć się w bagnach, próbował uciec. Niebawem jednak utykając dowlókł się z powrotem do namiotu z postrzeloną nogą. Roger doszedł do przekonania, że ta zabawa Garmana w kota i myszkę ma na celu psychiczne zmęczenie wroga lub sprowokowanie go do walki, wynik

której był do przewidzenia. W każdym razie prędzej czy później należało się spodziewać zamknięcia kręgu, a koniec oblężenia mógł nastąpić dopiero po poddaniu się Rogera.

W pierwszą pochmurną noc, gdy niebo dawało jaką taką rękojmię ciemności, Roger opuścił namiot. Był zdecydowany na to, by przez Diabelską Prerię utorować sobie drogę do Citrus Grove. Pogoda mu sprzyjała. Podczas gdy jedna z

chmur na dłużej przesłoniła księżyc, przebiegł na przelaj otwarte pola Kwiecistej Prerii. Z powodu mroku trudno jednak

**było pomyśleć o przeprawie przez
dżungłę. Spojrzał raz jeszcze w
górze, a widząc ciągnące chmury
zdecydował przedrzeć się na
Piaszczystą Prerię i pobiec w
kierunku północnym.**

**Wiedział, że jeśli
niepostrzeżenie dotrze aż do
lasu na południowym krańcu
Piaszczystej Prerii, będzie
uratowany. W biegu zanosił modły
do Boga, by chmury zakryły
księżyc, dopóki nie znajdzie się
w lesie i nie zgubi w gęstwinie.**

**Jego prośba została
wysłuchana. Znalazł ścieżkę,
prowadzącą do lasu, i znikł w
mroku. Ciemność nie trwała
jednak długo. Nagle rozsunęły
się ławice chmur i światło
księżycy skąpało las jasnością.
Jednocześnie usłyszał rzenie
koni. Znalazł się na polanie, na**

którą Garman, mrs Livingstone i Anetka nadjeżdżali właśnie na swych koniach.

- Obliczyłem prawie co do minuty - rzekł Garman - kiedy zechce pan spróbować szczęścia w ucieczce, Payne.

Roześmiał się głośno widząc zdumienie Rogera.

- Tego na pewno pan nie przewidział, co, Payne? Nie wiedziałem przedtem, że nabył pan te grunta od towarzystwa "Cypress Company". Lecz wiedziałem od pierwszej chwili, że obierze pan tę drogę, dlatego ją odciąłem. Nie, tędy nie ma przejścia, Payne.

Aneta siedziała wyniośle i sztywno w siodle. Teraz zwróciła się w stronę Garmana.

- Czy dlatego zabrał mnie pan z sobą? - zapytała tak ostro, że

mrs Livingstone zaprotestowała:

- Ależ moje dziecko...

Garman pochylił głowę. Jego drwiący uśmiech znikł całkowicie, ustępując miejsca

groźnemu wzrokowi, którym odpowiedział na jej spojrzenie, a twarz miał zmienioną od gniewu. Opanował się jednak.

- Tak, moja droga - odparł spokojnie. - Dlatego cię wziąłem.

Aneta wytrzymała odważnie jego wzrok.

- Czy na tym koniec widowiska?

- spytała lodowato.

- Naturalnie nie, jeśli

zamierza mnie pani dłużej drażnić. Nie radzę pani odjeżdżać. Proszę popatrzeć na Rogera. Proszę mu się dobrze przyjrzeć, wyryć jego rysy w pamięci. Bo to ostatnia sposobność. Gdy go pani zobaczy następnym razem, przypuszczam, że sprawi to pani znacznie mniejszą przyjemność. Proszę więc go dobrze zachować w pamięci.

- Skończył pan? - zapytała Anetka, a jej opanowanie doprowadzało Garmana do wściekłości.

- Mrs Livingstone - powiedział - może Anetka pragnie zamienić kilka słów z Rogerem. Czy nie powinniśmy zostawić ich na parę chwil samych?

- Jestem przekonana, że Anetka nie ma panu Payne nic więcej do

powiedzenia - odparła szybko mrs Livingstone.

- Nie byłbym tego tak pewny - rzekł Garman. - Młodzież garnie się zawsze do młodzieży.

Trzcinka Anetki opadła nagle na jej konia, który minąwszy Rogera galopem popędził w prerię.

- Tak, młodzież garnie się do młodzieży - powtórzył Garman towarzysząc jej wzrokiem. - Mrs Livingstone, czy kiedy pani była młoda, miała pani też ideały i wierzyła w ich urzeczywistnienie? Czy umiała pani tak kochać, aby nie dbać o pieniądze?

Mrs Livingstone nie słuchała go, popędziła swego konia i

pojechała w ślady Anetki. Garman zwrócił się znowu do Rogera:

- No, Payne, jak się panu podoba moje obleżenie? Trudno się będzie z niego wydostać, co? Nie trać pan cennego czasu na nieudane próby. Pomyślałem już o tym, abyście zostali tam, gdzie jesteście.

- A mnie przyszło właśnie na myśl - odparł spokojnie Roger - że z wielką przyjemnością wyjąłbym rewolwer i położył pana trupem.

- Nie pleć pan głupstw. Tego pan przecież nigdy nie uczyni. Na to jesteś pan za rozsądny. Spójrz pan tylko za siebie, Payne! Hallo! - zawołał głośniejszym głosem Garman. - Jak się nazywasz? Może

Harney?

- Tak, panie! - odezwał się jakiś głos w cieniu, tuż za Rogerem. - To ja, Ed Harney, brat Joe'go Harneya. Nie spuszczam go z oczu!

Garman ziewnął.

- W porządku. Teraz muszę podążyć za paniami. Zwłaszcza za Anetką - moją małą, dumną Anetką. Do kroćset! Coś się z nią złego dzieje. Robi się zuchwała, uparta. Dochodzę do wniosku, że trzeba ją utemperować. Dużo przyjemności sprawia takie poskramianie nieposłusznych kobiet w dziewiczym lesie. No, dobranoc, Payne. Przyjemnych marzeń!

Ławica chmur zasłoniła księżyc i pograżyła las w zupełnej ciemności. Gdzieś daleko na Piaszczystej Prerii przycichł

**tętent kopyt galopującego konia
Garmana. Zza chmur wyłonił się
na chwilę księżyc. Roger,
odwróciwszy się, usiłował
odnaleźć wzrokiem człowieka,
który nazywał się Harney, chmury
jednak zasnuły znów niebo, las
poczerniał, nie dostrzegł więc
nic.**

**Na ścieżce, którą musiał iść,
by dostać się na Diabelską
Prerię, usłyszał teraz odgłosy**

**kroków i głosy trzech mężczyzn.
Domyślił się, że Garman
zastosował wszelkie środki
ostrożności, by odciąć go od
prerii. Z trudem tłumił gniew,**

bliski już był wybuchu, ale miał trzech przeciw sobie. Walka w tych ciemnościach zakrawałaby na szaleństwo. Byłoby to po myśli Garmana, gdyby Roger rzucił się bez opamiętania na przeważających liczebnie przeciwników.

Gdy Roger zastanowił się nad swą sytuacją, pojął, jak żalosną grał rolę wobec Garmana. Zdawał też sobie sprawę dlaczego. Garman pokonał go, a teraz Roger był jego wykpiwaną ofiarą. Garman bawił się tak długo kosztem mrs Livingstone, aż nie mogła dłużej znieść jego drwin i oddaliła się bezradna. Lecz Anetka przeciwstawiła mu się z godnością. Garman o tym dobrze wiedział.

**"Coś się z nią złego dzieje!"
Roger odtworzył sobie te słowa**

Garmana w pamięci i dreszcz przebiegł mu po plecach. Zatem Garman nie miał mocy nad Anetką, nie ulegała już jego hipnotycznemu wpływowi. Coś się stało! Roger nie miał odwagi nazwać tego po imieniu, ale cicha nadzieja wstąpiła w jego serce. Wrócił do swego obozu niezbyt przejęty nieudaną próbą przedarcia się do Diabelskiej Prerii. Wszedł do namiotu lekkim, sprężystym krokiem, nie jak człowiek pokonany, lecz jak zwycięzca. Nie mogło to ujść uwagi Higginsa.

- Zatem już wiesz? - zagadnął go.

- O co chodzi?

- Więc o niczym nie wiesz? -

Higgins ze zdumieniem zmarszczył swe krzaczaste brwi i z wahaniem zapytał: - To dlaczego jesteś w

tak dobrym humorze?

**- Bo pozostała mi tylko jedna
możliwość - odparł Roger nie
troszcząc się wcale o zdanie**

**Higginsa. - Te trzy draby
pilnujące grobli... Musimy tej
nocy spróbować, skoro tylko
księżyc zajdzie. Albo się
przedostaniemy, albo...**

**- Mój Boże! - odparł
zmartwiony Higgins. - I ja od
trzech dni przemyślałem nad
tym samym. Bylibyśmy na nich
znaleźli sposób, jestem tego
pewny. Ale teraz to już
niemożliwe.**

- Dlaczego niemożliwe?! -

wykrzyknął zdumiony Roger.

- Bo dziesięć minut po twym odejściu zjawił się tu Willy. Przyniósł nam wieść od owego białego, z którym przez cały czas wałęsał się po bagnach.

Wątpię, czy zgadniesz, kto to?

- Kto?

- Davis!

- Ten sam, którego tamci zamierzali schwytać na "Manhattanie"?

- Tak, ten sam.

- Co się z nimi dzieje? Może to detektyw?

- I ja tak przypuszczam. Od Tygrysa nie sposób nic wyciągnąć. Powiedział tylko tyle, że ten mężczyzna ma wuja Sama za sobą.

- Ach, tak?

- Ten Davis polecił mu nam powiedzieć, byśmy się z ludźmi

Garmana nie wdawali w walkę bez względu na to, co nastąpi. Radzi nam pozostać w namiocie i spokojnie czekać, w przeciwnym razie zepsujemy mu pracę dwu lat. Kazał nam też zakomunikować, że w pierwszą ciemną noc, a więc może to być nawet jutro, będzie po wszystkim. Potem tu przybędzie i wszystko wyjaśni.

- Bardzo to dziwne.

- I ja tak uważam. Powtarzam słowa Tygrysa, a gdybyś je sam usłyszał, prędzej uwierzyłbyś. Na pamięć wieloryba - tu się naprawdę coś dzieje, o czym nie mamy pojęcia. Czuję to w kościach. I tylko zły jestem, że

nie mogę być przy tym.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Zadziwiające jest także i to, że Davis Tygrysowi wybił z głowy strach przed Garmanem.

- To bardziej niż dziwne. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak czekać na Davisa - rzekł Roger po krótkim namyśle.

W następnych godzinach nadal nic nie przemawiało za tym, że Davis zamierza pokierować wydarzeniami. Na odwodnionych terenach obcy ludzie wciąż trzymali straż. Dostali zapewne surowy zakaz opuszczania swych placówek, ale i niewywoływania starć. Mieli tylko przeszkodzić, o ile by ktoś starał się tędy przekraść.

Blease czuwał na północy i

doniósł potem, że droga, którą się spodziewano się zaprzęgu wołów, ciągle jeszcze jest obsadzona.

Payne sam poszedł naprzód przez dżunglę bzu i trawy morskiej i czas jakiś obserwował ludzi, którzy strzegli dostępu do Diabelskiej Prerii. Wszyscy trzej, napięci do ostateczności, spodziewali się nadejścia pomocy od strony polany. Każda godzina wydawała im się wiecznością, a widok ludzi Garmana stawał się dla nich prawdziwą udręką.

- To ponad ludzkie siły - mruknął Blease. - Nie wytrzymam tego.

Higgins leżał jak długi w swym namiocie zapatrzony w płócienny dach.

- Miejmy nadzieję, że dzisiejsza noc będzie pochmurna - rzekł ze zgryźliwym uśmiechem.

Roger skinął głową na znak zgody. W duchu jednak przyznawał, że wszystko układało się po myśli Garmana: bezsilność niewoli podniecała ich do rozpaczliwych prób bez względu na to, jakie następstwa to za sobą pociągnie.

- Ten Garman to nie człowiek, lecz diabeł w ludzkiej skórze - mruknął Blease.

Zachód słońca był cudowny. Roger i Higgins przyjęli go jak dobrodziejstwo, zapowiadał im bowiem początek nocy. Nie myśleli ani o jedzeniu, ani o spaniu. Spoglądali bezustannie

na słońce, które pochylało się coraz bardziej ku zachodowi. Niebawem nadciągnęła noc i objęła swym mrokiem całe niebo i ziemię. Chmury, najpierw pojedyncze, puszyste obłoki, potem całe ławice, szczelnie zakryły niebo. Promienie księżyca daremnie starały się przedrzeć przez ołowiany, gęsty welon.

- Noc będzie ciemna - zauważył Roger.

Higgins ze swego legowiska dodał:

- Davis przedostanie się albo dziś, albo nigdy.

Leżeli przez całą noc na czatach. Lecz nadaremnie czekali i łudzili się nadzieją. Wczesna purpura zbliżającego się wschodu słońca zastała ich w podłym nastroju. Gdy nastał dzień, a

**oni ciągle jeszcze nie mieli
żadnego znaku od Davisa, Higgins
rzekł:**

**- Nie czekam dłużej. Skoro
będzie dość jasno, ruszam. - I
naładował swą strzelbę.**

**Inni podążyli za jego
przykładem. Krętą ścieżką,
ciągnącą się wzdłuż pobliskiej
dżungli, zaprowadził ich Blease
do miejsca położonego w pobliżu
Deer Hammock. Pełzli potem
naprzód zdecydowani na
zaatakowanie strażników. Blease
ułożył się całkiem płasko na
ziemi, wysunął lufę swej
strzelby zza drzew i szukał
celu. Nagle zdumiony przetarł
oczy.**

**Roger, który posuwał się obok
niego i przez lornetkę badał co
pewien czas odwodnioną
przestrzeń, zerwał się po chwili**

na równe nogi i stanął na polanie. Bo oto cały obszar opustoszał. Banda Garmana znikła

bez śladu. Zaskoczony tym Roger trwał w bezruchu. Ten nieoczekiwany odwrót ludzi Garmana nie cieszył go wcale. Zaczęło budzić się w nim podejrzenie, że to tylko pułapka. Starał się przeniknąć plany Garmana i znaleźć wyjaśnienie dla tego dziwnego kroku. Czyżby Garman znów zdrwił z niego? Rozmyślnie wzbudzał w nim nadzieję, by ją potem tym bezwzględniej zniszczyć? Tylko tak tłumaczył

sobie tę decyzję Garmana. Jakże zatem będzie wyglądało jego następne posunięcie?

- Wcale mi się to nie podoba - rzekł Higgins, który stanął obok Rogera.

Roger wolnym krokiem zszedł do głównego rowu, gdzie dotychczas trzymali bezustannie straż dwaj ludzie Garmana. Jeszcze teraz widać było wyraźne wyżłobienie, gdzie zrobili sobie legowisko w miękkim, bagnistym gruncie. Odwrót ten musiał nastąpić we wczesnych godzinach świtu. Nie zostawili za sobą nic z wyjątkiem flaszki napełnionej whisky.

- Przypuszczam, że musieli to miejsce opuszczać w największym pośpiechu, bo co jak co, ale wódki by nie zostawili - zauważył Blease.

Higgins i Roger zbadali ostrożnie cały teren. Łatwo dostrzegli ślady wycofujących się ludzi. Nie prowadziły one ani ku rzece, ani ku zabudowaniom Garmana, jak by się tego należało spodziewać, lecz rozchodziły się w wielu kierunkach, najczęściej na południe, i gubiły w nieprzebytych moczarach cyprysowego bagna.

Tu i tam leżały porozrzucone rozmaite części uzbrojenia, tak że całość przypominała jednak ucieczkę. W jednym miejscu pozostawiono nietkniętą puszkę, nieco dalej skórę zwierzęcą,

**patelnię, strzelbę i parę butów.
Roger obejrzał kroki prowadzące
do bagna i stwierdził z
przekonaniem, że ludzie ci
uciekali w największym popłochu.**

- Blease! - zawołał nagle.

**- Zbadaj pan drogę, którą miały
nadejść woły. Trzeba się
upewnić, czy i stamtąd się
wycofali. A ty, Hig, rozejrzyj
się po Diabelskiej Prerii.**

**Sam zaś zwrócił się w stronę,
gdzie rów schodził się z górnym
biegiem rzeki Chokohatchee. Ani
na chwilę nie zapomniał przy
tym, że może mu grozić zasadzka.
W pobliżu ujścia znalazł kajak,
pozostawiony snadź przez bandę
podczas spiesznej,
niespodziewanej ucieczki.**

**Wskoczył do środka i powiosłował
w dół rowem zasłoniętym po obu**

stronach rozkopanymi groblami.

Był już jasny dzień, gdy nagle zaintrygowany zatrzymał swą łódź przy ujściu do rzeki. Nie mylił się. Po chwili doleciał go cichy plusk wody tuż za zakrętem Chokohatchee. Położył się na dnie kajaka, strzelbę oparł o jego róg, osłoniwszy się w ten sposób przed niebezpieczeństwem ze strony statku ukrytego za zakrętem rzeki. Wnet dostrzegł śnieżnobiały dziób jachtu wyłaniający się zza kępy trawy morskiej. Zakotwiczył swoją łódź. Jeszcze chwila i stateczek znalazł się przed nim. Roger zauważył, że lufa jego broni skierowana była wprost na guzik jedwabnej koszuli Garmana.

Gdy Garman ujrzał Rogera, z jego gardła wydobył się okrzyk wściekłości. Niebawem prąd

**cofnął łódź. Nie dał jednak za
wygraną i za wszelką cenę starał
się wiosłować ku przodowi. W
kącie stateczku siedział senator
Fairclothe, mizerny i bezradny.
Garman wetknął wiosło w wodę i
zatrzymał łódź. Jego oczy zwykle
leniwe i bez wyrazu błyszczały
teraz pod wypukłym czołem.
Zachowywał się jak wariat.**

**Oslupiałym wzrokiem patrzył na
Rogera i krzyczał:**

**- Gdzie Anetka? Payne, wypuść
ją natychmiast, łajdaku!**

**Serce Rogera poczęło bić jak
młotem. Lecz opanował się i
przycisnąwszy policzek do kolby**

swego karabinu odparł:

**- Radzę zostać na miejscu,
Garman. W przeciwnym razie
strzełę do pana.**

- Odpowiadaj, gdzie ona jest!

**- ryczał Garman. - Odpowiadaj,
bo, na Boga, krokodyle będą
miały dziś ucztę.**

**Roger zawahał się przez
chwilę, po czym rzekł chłodno:**

- Nic się już nie da zrobić.

**- A zatem przyznaje pan, że
przyszła do pana? - spytał
Garman starając się zachować
spokój. - Słyszysz pan,
Fairclothe? - zwrócił się do
senatora. - A więc ona naprawdę
uciekła do tego przeklętego
łobuza. Spędziła u niego całą
noc. Do stu diabłów! Nie może
już teraz być mowy o
małżeństwie. Chyba pan przyzna
mi rację!**

A więc Anetka uciekła od Garmana. Roger poczuł falę szczęścia zalewającą mu serce. W dodatku Garman wbił sobie w głowę, że Anetka jest u niego. Roger przypuszczał, że udało jej się uciec rzeką w dół. Tamtędy najprędzej mogła dostać się do bardziej cywilizowanych okolic. Gdyby mu się teraz udało Garmana bodaj na trochę zatrzymać, miałyby to wielkie znaczenie dla powodzenia ucieczki. Każda minuta zwiększała bowiem jej szanse.

- Nie bronię panu przyjść i odebrać ją sobie, panie Garman - zaproponował.

- Słyszysz pan, Fairclothe! - krzyknął Garman. - Co sądzi pan teraz o swej córce? Dobrze wychowana, strzeżona, nie ma co mówić! O, biedny głupcze! Anetka

**spędziła noc u niego, a teraz
chciałby ją za wszelką cenę**

**zatrzymać! Zapewne zamierza pan,
panie Payne, wszystko naprawić
przez małżeństwo. Lecz do diabła
już ja wam w tym przeszkodzę!
Odbiorę ją panu! A gdy będę jej
miał dosyć, oddam ją,
zrozumiano? Wtedy będziecie się
mogli pobrać!**

**- A weź ją pan sobie - rzekł
spokojnie Roger.**

**Teraz i senator Fairclothe
odzyskał swój głos i animusz.**

**- Młodzińcze! - wrzasnął. -
Żądam zwrotu mej córki!**

- Nie zatrzymuję jej przecież

**wbrew jej woli - odparł Roger. -
Kiedy tylko zechce, może do pana
wrócić.**

- Muszę z nią pomówić.

**- Tego życzenia nie mogę
niestety spełnić.**

**- Zabrania pan, bym się z nią
porozumiał?**

**- Jeśli ona zechce z panem
mówić, senatorze - wycedził
Roger - nie stanę temu na
przeszkodzie. Przyrzekam to
panu.**

**- Łajdaku! Jeśli znieważył pan
moje dziecko, otrzyma pan
najostrzejszy wymiar kary, jaki
jest przewidziany za podobne
przestępstwa.**

**Garman przysłuchiwał się nie
mniej wściekły niż poprzednio.
Teraz jednak naskoczył na
senatora.**

- Plecie pan jak papuga.

**Spróbuj pan, jeśli pan potrafi,
pomówić rozsądniej!**

Fairclothe zachnął się:

**- Czy moja córka, Aneta, z
własnej woli przyszła do pana?**

Roger zwlekał z odpowiedzią.

- Nie - odparł wyzywająco.

**- Aha! Widzi pan, Garman. To
samo panu powiedziałem. Znam
przecież moją Anetkę! Nie
opuściłaby pana samowolnie, bez
mej zgody.**

**- Bezwstydnny smarkacz! -
krzyknął znowu Garman. - Czy
chce pan przez to powiedzieć, że
została zniewolona? Kto
przyprowadził ją do pana?**

Roger znowu milczał długo, po czym rzekł:

- Jeśli pan ją zabierze, jak się pan odgrażał, wydobędzie pan z niej wszystko. Ode mnie niczego się pan więcej nie dowie. Nie mam najmniejszej ochoty odpowiadać na pana pytania.

Garman wyglądał teraz strasznie. Twarz mu nabrzmiała z wściekłości, nozdrza drżały, oczy schowały się prawie całkiem pod potężnym czołem. Trzymał w powietrzu swe wielkie, owłosione ręce, otwierał je i zamykał kurczowo, lecz ani na chwilę nie zapomniał o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, bo lufa wciąż była skierowana w jego pierś.

- Fairclothe! Teraz jestem pewny - krzyczał - że to pan ją przyprowadził do niego. - Całą

swą bezsilną złość wyładowywał na bezradnym senatorze. - Nie zaprzeczaj pan tylko. Pan zaprowadził ją do niego i ta pańska stara, wyschnięta, chciwa pieniędzy siostra. Lecz przysięgam, że jeśli to prawda, wyrzucę pana z senatu, wtrącę do więzienia!

Wyciągnął wiosło z wody, a prąd natychmiast porwał jacht w dół rzeki. Roger z trudem stłumił triumfujący uśmiech.

- Przyznaje się więc pan do porażki, Garman? - zawołał drwiącym głosem. Stateczek zbaczał właśnie w zakręt rzeki.

- I pospiesz się pan, panie Garman, jeśli chce ją pan mieć z powrotem. Nie powinien pan zbyt długo zwlekać, w przeciwnym razie nie zastanie nas pan już tutaj.

Zdawało się, że Garman nie słyszy jego słów. Odwrócił jednak pospiesznie swoją łódź i począł szybko wiosłować w dół rzeki.

Za chwilę wrócili Blease i Higgins. Donieśli, że na północy ludzie Garmana także znikli, prawdopodobnie w takim samym

popłochu jak tamci. Wobec tego Roger nie tracił więcej czasu na zastanawianie się nad przyczynami tej ucieczki. Jeśli Garman wycofał swych ludzi tylko po to, by zgotować nową zasadzkę, należało przypuszczać, że to ucieczka Anetki

spowodowała zwłokę w jego planach. Chwilowo bowiem zbyt był wściekły z powodu jej wybryku, by się czymkolwiek innym zajmować.

Roger opowiedział obu towarzyszom o spotkaniu z Garmanem, ale ani jednym słowem nie wspomniał o Anecie.

- Sądźisz zatem, że on powróci? - zapytał Higgins i w oczach jego zabłysła nadzieja stoczenia walki z przeciwnikiem.

- Myślę, że tak - odpowiedział Roger. - Są powody, które za tym przemawiają. Jestem też pewny, że nie przybędzie sam, lecz z całą bandą. Blease, to, co teraz nastąpi, to doprawdy nie pańska sprawa, a obawiam się, że krew się poleje. Droga dla zaprzęgów jest wolna, zaprzęgnij pan muła i przewieź pan swą rodzinę w

bezpieczne miejsce.

Bleasie rozważał.

**- Wolałbym nie robić tego -
odrzekł wreszcie. - Moja rodzina
jest tam, w dżungli całkiem
bezpieczna. Ja pozostanę tutaj.
Może wreszcie porachuję się z
tym łajdakiem.**

**Jako punkt obserwacyjny wybrał
Roger wysoką groblę na
odwodnionym terenie. Z tego
miejsca musiał dostrzec każdego,
kto zbliżał się od strony rzeki
lub cyprysowego bagna. Bleasie
zajął ukrytą w głębi dżungli
placówkę, tak by mógł zasięgiem
swych strzałów objąć otwartą
prerię, rozciągającą się w
kierunku posiadłości Garmana.
Higgins gwizdząc wesoło schował
się między karłowate palmy
Kwiecistej Prerii.**

Bleasie planował zemstę.

Higgins był w doskonałym

nastroju, a Roger z bronią na ramieniu uśmiechał się na myśl, że Aneta wyrwała się wreszcie spod władzy Garmana. Czuł, że gdziekolwiek się teraz znajduje, nic jej nie grozi. Dwie noce przedtem wystąpiła odważnie przeciw Garmanowi, ucieczka była jej własnym dziełem, co dowodziło, że wyzwoliła się ostatecznie spod wpływów ciotki, ojca i hipnotyzującej ją woli Garmana.

Godziny mijały, Roger stał na posterunku narażony bezustannie na palące niemiłosiernie

promienie słońca, a nowy atak bandy Garmana ciągle nie następował. Optymizm Rogera powoli się ulatniał. Czyżby Garman domyślił się, że Anetka nie była u niego? Czy znalazł ją może gdzieś indziej? Cóż oznacza ten spokój?

Spokój począł go opuszczać. Czy może ucieczka ludzi Garmana pozostawała w jakimś związku ze zniknięciem Anetki? Dlaczego przedtem o tym nie pomyślał. I z tą ewentualnością należało się liczyć. Przecież ludzie Garmana mogli ją uprowadzić! Byli to bez wyjątku bandyci najgorszego gatunku, a zadomowili się w tych bagnach tylko dlatego, by ująć karze, która czekała ich w bardziej cywilizowanych stronach. Podnieceni whisky mogli nawet stawić czoło

**Garmanowi i zbuntować się
przeciw niemu, o ile by ich
gdzie indziej nęciła bogata
zdobycz!**

**Takimi myślami zadręczał się
Roger i daremnie starał się z
nich wyzwolić. Promienie
podzwrotnikowego słońca spaliły
dookoła i wysuszyły teren, od
którego ział teraz nieopisany
żar. Kolbą swego karabinu
wgrzebywał się Roger tak długo w
ziemię, aż w głębi natrafił na
wilgotną, chłodną warstwę.
Wcisnął się cały w to
wyżłobienie, starając się**

ochłodzić swe rozpalone ciało. I

**zaraz myślami Roger znów
powrócił do ucieczki banahy
Garmana.**

**Jakimż był głupcem wierząc w
bezpieczeństwo Anetki tylko
dlatego, że Garman nie wiedział,
gdzie ona się znajduje.**

**Wyjechała na konną przejażdżkę
zapewne sama. Węże tutejszych
bagnistych obszarów nie są
groźniejsze od złoczyńców,
których Garman skupił wokół
siebie!**

**Wstał z miejsca. Przez
lornetkę badał okolicę i
próbował przeniknąć podnoszące
się raz po raz gorące fale
powietrza. Wnet stracił wszelką
nadzieję. Godziny mijały. Garman
byłby już dawno wrócił, gdyby
ciągle wierzył, że Anetka jest u
Rogera. Zatem musiał odkryć
przyczyny zniknięcia Anety.**

Tylko w ten sposób można to było wytłumaczyć. A on jak głupiec tkwił tu na czatach, podczas gdy Garman nie zaniedbał niczego, by z powrotem odzyskać tę dziewczynę.

Kajak ciągle spoczywał w wielkim rowie, tuż przy ujściu do rzeki, a rzeka prowadziła do domu Garmana. Roger wskoczył do łodzi i odbił od brzegu.

Skierował się w sam środek prądu, gdy nagle od strony Kwiecistej Prerii doleciał go huk wystrzału podobny do trzasku bicia. Szybko zawrócił do brzegu i wyskoczył na ziemię. To na pewno strzelił Higgins. Roger z palcem na języku spustowym starał się przeniknąć drgające fale powietrza i nadśluchiwał z wytężeniem. Nie mógł co prawda ze swej placówki widzieć

Kwiecistej Prerii, lecz wiedział, że Blease ma korzystniejsze miejsce, i był przekonany, że w razie potrzeby ruszy Higginsowi na pomoc.

Poprzednio zresztą brali to pod uwagę, że Garman natrze od razu z kilku stron. Skoro tylko

jednym strzałem zareagował Higgins, należało przyjąć, że sam upora się z przeciwnikiem. Jeśliby rozległa się cała salwa, Roger i Blease powinni natychmiast iść mu z pomocą. Ta sama umowa obowiązywała też pozostałych.

Sekundy zapierające dech

wydłużyły się w minuty, a kolejne strzały nie padały. Roger odłożył więc broń na ziemię i zaczął penetrować okolicę przez lornetkę. Nagle dostrzegł Blease'a wyłaniającego się z dżungli. Stał chwilę w miejscu i patrzył w tę stronę, skąd padł strzał. A potem zarzucił strzelbę na plecy i ruszył na Kwiecistą Prerię. Roger podążył za nim. Gdy doszedł do źródła jeziora, zobaczył i Blease'a, i Higginsa zakładających opatrunek na pokrwawione plecy Tygrysa.

- Do kroćset, Willy! Dlaczego nie wołałeś, że to ty - mrucał Higgins z litością w głosie. - Na pamięć wieloryba, nie ponoszę żadnej winy, że cię postrzeliłem. Wierz mi, Willy. Stój spokojnie, za chwilę

będziemy gotowi.

**- Tak szybko pan strzelać -
załił się Indianin.**

**- Musiałem, Tygrysie -
usprawiedliwiał się Higgins. -
Nie poznałem cię, a nie mogłem
przecież czekać, aż ktoś na mnie
napadnie!**

**- Od razu strzelać, nie
wiedzieć, kto idzie, niedobrze.**

**- Przypuszczałem, że to któryś
z bandy Garmana - tłumaczył
Higgins. - Nie mogłem cię w
krzakach poznać. Naprawdę nie
mogłem.**

**- Ale za to dobrze pan
wycelował - pochwalił Blease.**

- Why - o - me, chcę pić!

- Czy dlatego tu przyszedłeś?

- pytał Roger.

Indianin zaprzeczył głową.

**- Przysyła mnie biały
człowiek.**

- Po whisky?

- No. On sam wnet przyjść, on powiedzieć, tu przyjść zaraz. Chce why - o - me.

- Nie! nie dostaniesz whisky - powiedział Roger. - Kim jest wielki biały człowiek?

- On przyjść wnet. Dużo powiedzieć, wasz przyjaciel mnie dać tytoń.

Nieco później, gdy Roger i Higgins zajęli się zszyciem rany Tygrysa, Blease zagwizdał ostrzegawczo. Ktoś nadchodził ciężkim krokiem przez morską trawę.

- Nie strzelać - zawołał

Tygrys.

Zza szuwarów na wolną przestrzeń wyszedł niebawem obdarty i zarośnięty człowiek. Widać długie tygodnie tułał się po bagnach. Do obozu zbliżył się jednak śmiałym i pewnym krokiem. Już w następnej chwili Roger poznał Davisa, mężczyznę, któremu pomogli w ucieczce z "Manhattanu". Davis, widząc ранego Tygrysa, zapytał:

- Jak to? Czyżby ktoś z tych ludzi kręcił się jeszcze w pobliżu?

Roger wytłumaczył mu, w jaki sposób doszło do zranienia Indianina. Davis potrząsnął głową i rzekł:

- Rząd Stanów Zjednoczonych opóźnił się wczoraj w nocy zaledwie o dwie godziny z obławą, największą, jaką

dotychczas zorganizowano na kłusowników srebrzystych czapli. Przywódcą ich jest Garman. Od dwu lat staramy się ująć tę bandę. Wreszcie wczoraj o mało nam się to nie udało. Zebrałem w Citrus Grove pięćdziesięciu ludzi, ale tamci wywąchali, co się święci, i wycofali się w cyprysowe bagna. Obsadziliśmy oczywiście wyraj czapli srebrzystych i ukryliśmy tam dwudziestu mężczyzn. Reszta moich ludzi tropi uciekających kłusowników w cyprysowym bagnie.

Wczoraj nam niestety umknęli,

lecz sędzę, że zyskaliśmy mimo to bardzo wiele. Moim zdaniem Garman jest skończony.

- Zatem Garman był przywódcą bandy?

Davis uśmiechnął się.

- Czy istnieje w ogóle coś w tych stronach, w czym Garman nie maczałby palców? To wyłącznie on ponosi winę za wytępienie srebrzystych czapli.

- Czy ma pan na to dowody?

- Bezsprzeczne. Dysponuję fotografiami, na których w całym szeregu gniazd wypróbowuje bombę gazową własnego pomysłu.

- Dlaczego więc nie chwyta się jego samego?

Usta Davisa wykrzywiły się w zgorzkniałym uśmiechu.

- Czy słyszał pan, by któregoś z wielkich, wpływowych ludzi -

mam na myśli naprawdę wysoko postawione osobistości naszego kraju - pociągnięto do odpowiedzialności? Nie. Ludzie, którzy za nim stoją, cała banda z Waszyngtonu nie dopuściłaby nigdy do tego. Zresztą to zrozumiałe, działa tu instynkt samozachowawczy.

- Mój Boże! Czy Garman jest aż tak wpływowym, że rząd się go obawia? - Co pan wie o Garmanie?

**- Muszę przyznać, że niewiele
- odparł Roger. Davis skinął głową.**

- Chętnie pana wobec tego trochę uświadomię. Garman jest przede wszystkim bardzo bogaty. Posiada parę domów w Waszyngtonie, kilka w Chicago, w Nowym Jorku, duże biuro w Jacksonville, ten pałacyk tutaj, ponadto jacht "Annę" i statek

"Manhattan". A poza tym naturalnie masę pieniędzy w najrozmaitszych bankach. Ilekroć jest w Waszyngtonie, pewni najwybitniejsi politycy oblegają jego dom. Dlaczego? Ponoć po to, by pograć w pokera. Żaden jednak z tych ludzi nie przegrywa przy stole Garmana ani grosza. Co

prawda zaproszenie dostają tylko ci, którzy przyklaskują planom Garmana. Żaden z nich nie wzięłby zwyczajnej łapówki: ktoś jednak może mieć coś przeciw temu, że grają u Garmana i stale dużo wygrywają?

- Rozumiem.

- Podczas sezonu turystycznego Garman gości na swym jachcie najwybitniejszych polityków kraju. A gdy okres wakacyjny się kończy, wycofuje się do swego pałacyku w dżungli. Wtedy rozpoczyna się jego urlop, podczas którego oddaje się swoim najrozmaitszym przyjemnościom. Na bagnach tej ziemi ukrywa się więcej złoczyńców niż gdziekolwiek indziej w Ameryce. A wśród służby Garmana nie ma ani jednego bez względu na to, czy Murzyn, biały, czy czerwonoskóry, za głowę którego nie wyznaczono by wielkiej nagrody. Jego personel składa się z bandytów z Kuby, zbirów z Nowego Jorku, gangsterów z Chicago, zbiegów z więzień, złodziei i morderców, jest to jednym słowem banda najgorszych

indywiduów spod ciemnej gwiazdy, jacy kiedykolwiek od dawnych czasów korsarskich znajdowali się tu w takiej masie. Z takimi to właśnie ludźmi spędza Garman swój urlop! On jest ich władcą o nieograniczonej władzy, oni jego bezwolnymi niewolnikami.

- Ale dlaczego on to robi? - dopytywał się coraz bardziej zdumiony Roger.

- Dlaczego? Bo przynosi mu to ogromne zyski. Oto spójrz pan - Davis chwycił za swą torbę myśliwską i wyrzucił z niej na ziemię zupełnie zeszywniałe, martwe ciało wspaniałej czapli srebrzystej. - Ale to są tylko uboczne interesy. Garman odkrył tereny lęgowe ptaków i te ptaki, które karmią swe młode w gniazdach, przedstawiają niezwykle łatwy łup. Personel

Garmana dostaje mieszkanie,

**jedzenie, whisky, jak też
niewielkie wynagrodzenie
pieniężne za tę rzeź, która się
tu stale odbywa. Prawdopodobnie
nie więcej jak po dolarze za
sztukę. Cała reszta należy do
Garmana. A jego piękny jacht
"Anna" spełnia niekiedy rolę
olbrzymiej rzeźni wypełnionej aż
do powały wieloma tysiącami
zestrzelonych ptaków. Rozumie
pan już teraz, o co chodzi?**

Roger skinął głową i dodał:

**- Ale rząd podjął w swoim
czasie kroki, które miały
przeszkodzić tej okrutnej rzezi.**

Czy nie ustawiono wtedy straży przy terenach łęgowych?

- Tak, to prawda. Lecz kto pańskim zdaniem dał tym strażnikom zajęcie? Garman w Waszyngtonie przez swych wpływowych przyjaciół. I rzeczywiście strażnicy wywiązują się ze swego zadania. Pilnują gniazd, nikt nie ma do nich dostępu. Nikt z wyjątkiem bandy Garmana. Oficjalnie więc położono w tych stronach kres bezkarnemu tępieniu czapli srebrzystych. Potajemnie odbywa się ten proceder jednak nadal, przybrał nawet formę rozległego przemysłu, który całkowicie spoczywa w rękach Garmana.

- Ależ na Florydzie muszą być także porządni ludzie, ludzie, którym powinno zależeć na tym, by kraj rozwijał się na

**zdrowych, uczciwych podstawach -
rzekł Roger. - Dlaczego ci nie
sprzeciwiają się temu haniebnemu
procederowi?**

**Davis uśmiechnął się
pobłaźliwie.**

**- I na to mogę panu dać
odpowiedź - odparł. - Nieliczni
z nich tylko wiedzą o tym, co
się tu dzieje. Garman
zmonopolizował przecież
wszystko. Zatrudnieni przez
niego strzelcy, całkowicie od
niego zależni, nabrali wody w
usta, a nabywcom zabitego
ptactwa, splawianego jachtem**

"Anna" w głąb kraju, też zależy

na tajemnicy. Wszystko jest tak doskonale zorganizowane, że mało kto może powziąć podejrzenia. Dawniej liczba czapli srebrzystych w południowej Florydzie szła w miliony. Nie sposób ich było prawie zliczyć. Rozmnażają się niezwykle szybko. Lecz od kiedy sfery oficjalne wydały zakaz tępienia ptaków, nie stwierdzono najmniejszego przyrostu, a to by z pewnością nastąpiło, gdyby kłusownictwo naprawdę ustało.

- Teraz rozumiem, dlaczego Garman zamknął rzekę Chokohatchee!

- Słusznie! I wie pan już, z jakich względów za wszelką cenę chciał panu obrzydzić pobyt w tych stronach. Głównie dlatego, że pańska praca zapoczątkowałaby osiedlanie się ludzi w tej

okolicy. Pokazał pan, co z tych bagnistych terenów można zrobić, gdy się je odwodni. Garman obawia się, że pana przykład zachęci innych, uczciwych farmerów, a nie zbrodniczych spekulantów ziemią, jak to było dotychczas. Jakie byłyby następstwa tych zmian? Jego banda musiałaby się wycofać, ustałoby zabijanie czapli srebrzystych, a Garman przestałby być dyktatorem o nieograniczonej władzy. Dlatego, Payne, chce się pana za wszelką cenę pozbyć. Radzę panu mieć się na baczności. Teraz zapewne spróbuje uciec się do przemocy.

Roger rozważał coś, a potem zapytał wolno:

- Czy nie zamierza go pan aresztować? Ma pan przecież dość dowodów przeciw niemu.

Davis wzruszył bezsilnie ramionami.

- Wierz mi pan - odparł - że nie miałyby to żadnego sensu. Nie mógłbym mu nic zarzucić. Ma zbyt wielu przyjaciół w Waszyngtonie. Jedyne co możemy, to rozpedzić jego bandę, co

położyłoby kres niedozwolonemu tępieniu ptaków, ale Garman...

- Rozumiem. Jest zbyt silny.

- Tak. Nie będzie już jednak rozporządzać swoimi ludźmi. Ale pozostanie Garmanem. Zna go pan przecież.

Roger skinął głową.

- Dołoży wszelkich starań, by

w okolicy odgrywać rolę takiego samego udzielnego władcy jak dotychczas i aby pana zniszczyć.

Roger odwrócił się. Nie myślał teraz o sobie, lecz o Anetce. Przybycie i działalność Davisa nie zmieniły pod żadnym względem sytuacji. A Garman z pewnością już się zorientował, że Anetka nie znajduje się u Rogera. W przeciwnym razie byłby wrócił, by ją zabrać. To oznaczało też, że dowiedział się, gdzie Anetka przebywa, i podjął kroki, by ją ścigać. Może mu się już nawet udało dostać ją znowu w swoje ręce.

Podczas gdy przygotowywano wieczerzę, Roger wykradł się z obozu i pobiegł do miejsca, gdzie pozostawił kajak. Na skutek pojawienia się Davisa stracił wiele cennego czasu.

Natomiast Garman zyskał na czasie. Roger wskoczył do łodzi i począł pośpiesznie wiosłować w dół. Gdy znalazł się w pobliżu pałacyku Garmana, serce zamarło mu z przerażenia. Cały teren wokół domu wyglądał na wymarły i opuszczony. I jacht "Anna" również znikł.

XXIX

Koło przystani natknął się na młodego marynarza, który na małą barkę ładował właśnie parę olbrzymich kufrów.

- Czy sezon już się skończył?

- zagadnął Roger jakby mimochodem.

- Nie wiem, co się dzieje, ale odpłynęli - mruknął marynarz. -

A mnie samego zostawili z tymi

ogromnymi bagażami. Nie mogę sobie dać rady.

Roger pomógł mu.

- Jak to? Zapomnieli kufrów opuszczając posiadłość? - zapytał.

- Gdzież tam zapomnieli - skrzywił się marynarz. - Ale mr Garman nie zostawił im ani chwili czasu. Wpakował nagle wszystkich na "Annę" i skierował ich rzeką w dół. Nie wiem dlaczego. Musiało się coś stać.

- Zapewne śpieszyło się bardzo mr Garmanowi?

Słowa Rogera brzmiały całkiem spokojnie, lecz serce waliło mu

jak młotem.

- Mr Garmanowi? Przecież on wcale nie odpłynął.

- Nie?

- Nie, tylko senator Fairclothe i mrs Livingstone. Kazał im iść natychmiast na pokład! Krzyczał w ich stronę, aby się pośpieszyli. Poddali się jego woli bez sprzeciwu. Do diabła z nimi, rzekł do kapitana. I w pół godziny później nie było już po nich ani śladu.

- Mr Garman pozostał więc sam?

- Sam - marynarz mrugnął dwuznacznie. - Nie sędzę.

Już w następnej chwili poczuł, że go ktoś podnosi i przyciska do muru.

- Chłopcze, mów prosto z mostu, jeśli ci życie miłe - huknął Roger. - Czy miss

**Fairclothe została razem z
Garmanem?**

**- Tu nie ma nikogo z wyjątkiem
kucharza i zarządcy.**

- A gdzie ona jest?

**- Nie wiem. Mr Garman wyruszył
dokądś na koniu zaraz po
odpłynięciu "Anny".**

- Sam?

**- Z całą pewnością. Miss
Fairclothe nie było tutaj.**

**Roger pobiegł w stronę domu.
Zarządca, krępy, gruby drab, od
którego z daleka załatywało
whisky, czekał już na niego.**

- Czy mr Payne?

- Tak, a o co chodzi?

- Mam dla pana wiadomość. Mr Garman powiedział, że pan tu przybędzie - rzekł i podał mu kartkę, której treść była właściwie skierowana do Garmana. Kobiece pismo było czytelne.

"Panie Garman! Jestem w małym domku na Palm Island. Oczekuję pana dziś w nocy. Anetka."

A poniżej skreślone szerokim, męskim pismem widniały słowa: "Biedny Payne"!

- Palm Island? - powtórzył Willy Tygrys. - Tak. Garman mieć dom na Palm Island.

- Czy wiesz, gdzie to jest?

Była już ciemna noc, gdy Roger ściągnął Tygrysa z posłania, by go jak najdokładniej wypytać.

- Małe jeziorko być tam - Willy poprzez ciemność pokazał palcem w las, który na zachodzie

stanowił granicę Kwiecistej Prerii.

- Wyspa na jeziorze?! Czy to daleko?

- Tak. Kilka mil dżunglą.

- Dobrze, Willy. Teraz idź spać!

Długo błądził po dżungli, szydząc z siebie i nazywając się sentymentalnym głupcem. Tak, Garman miał rację. Wszystkie marzenia, ideały, najskrytsze nadzieje nie były niczym innym jak iluzją, kłamstwem, mamidłem z bajki, które sprowadziły go na manowce niepotrzebnych przeżyć. List w jego kieszeni był tego dowodem. Raz po raz czytał: "Oczekuję pana dzisiaj w nocy. Anetka".

To oznaczało jedno: Garman zwyciężył!

XXX

**Roger osiągnął małe jeziorko
położone w lesie w chwili, gdy
świt zaczął zabarwiać wodę
jeziora. Znalazł kajak**

**wyciągnięty na brzeg i
powiosłował w stronę wyspy.
Otaczały ją wokół okazałe palmy,
których pnie pogrążone były
jeszcze w ciemnościach nocy,
natomiast korony złociły się już
w pierwszych promieniach słońca.
Między palmami wiła się bujnie
dzika plątanina najrozmaitszych
roślin, kwiatów i winnej**

latorośli. Krętą ścieżką podążył Roger przez oszałamiającą swymi zapachami dżunglę i dotarł wreszcie do małego bungalowu wzniesionego w tym rajskim otoczeniu.

- Garman! - zawołał ochrypłym głosem. - Garman!

Daremnie jednak czekał na odpowiedź. Ociągając się wszedł do środka domu. Obawiał się, że lada chwila natknie się na ślady, których poszukiwał. Na werandzie znalazł grube cygaro Garmana wyrzucone po paru pociągnięciach. Wnętrze przedstawiało oplakany widok. Połamane krzesła, rozbite szkło, podarte firanki tworzyły tak bezładne rumowisko, jak gdyby jakieś dzikie zwierzę, oślepione szalem, stratowało i zniszczyło wszystko. Nawet ramy okienne

leżały na ziemi.

Roger wyszedł z domu próbując zrozumieć, co się tu stało. Czy Garman uświęcił swój triumf, czy raczej nie zrobił tego i wpadł w dziką orgię niszczenia?

Dotychczas nie dostrzegł żadnych śladów walki. Opuścił wyspę w pośpiechu.

Poranne słońce stało już wysoko na niebie, gdy powrócił z lasu i ponownie udał się w stronę pałacyku Garmana. Z trudem torował sobie drogę przez gąszcze karłowatych palm. I nagle na polanie, na której się właśnie znalazł, zetknął się oko w oko z Garmanem.

Garman trzymał w ręku strzelbę, a jego rysy wykrzywione były z wściekłości. Zaledwie się spostrzegli, a już

skoczyli na siebie i chwycili się gołymi rękami kierowanymi prymitywną żądzą pokonania przeciwnika. Zwarli się w żelaznym uścisku. I zaraz Roger poczuł na sobie wielkie łapy Garmana. Jakby oprzytomniał. Garman był silniejszy. Jego prawa ręka chwyciła pięść Rogera o cal od swej brody i obezwładniła ją. Trzymał kułak Rogera jak w kleszczach, a potem z wolna zaczął mu wykręcać ramię.

Garman był silniejszy. Ta myśl nie opuszczała Rogera ani na chwilę. Z trudem hamował nieodpartą chęć rzucenia się na

niego na oślepe, niezależnie od następstw, jakie to za sobą pociągnie. Wiedział bowiem, że w tym wypadku walka szybko by się skończyła. Te okropne, tłuste, ale silne ręce nie wypuściłyby już więcej swej ofiary. Garman miał zbyt wiele doświadczenia w bijatyce, by nie wykorzystać należycie swej przewagi.

Roger ograniczył się zatem do obrony zgrabnie wymykając się pięściom Garmana przygotowującego się do zadania ostatecznego ciosu; za wszelką cenę starał się zachować zimną krew. O zwycięstwie nie było mowy.. Młode i sprężyste ciało Rogera nie miało w tej walce żadnych szans. W pierwszej chwili gwałtowny atak młodzieńca powstrzymał Garmana, lecz teraz coraz wyraźniej

uwytatniała się jego fizyczna przewaga.

Nacierał na Rogera coraz bardziej. Pierwsze mocne uderzenia chybiły. Ale teraz oto jego szeroka dłoń zbliżała się niczym drapieźne zwierzę ku szyi Rogera, chcąc jak najprędzej zamknąć ją w duszącym uchwycie. Dzikie błyski w jego oczach i wykrzywione drwiącym uśmiechem usta świadczyły o tym, że Garman pewny był swego zwycięstwa.

- Mam cię wreszcie, Payne! -

krzyknął. - Już mi nie ujdiesz. Nikt nie usłyszy, jak będziesz skomleć o łaskę. Ale zanim się z

panem załatwię, jeszcze się trochę pobawimy. Co? Pan się broni? No, no, nie przypuszczałem!

Słowom jego towarzyszył nagły skok ku przodowi. Z rozmachem rozwarł ramiona i już za chwilę zamknął Rogera w żelaznym uścisku. Z trudem wyswobodził się Roger z tej ciasnej obręczy.

"Nie wolno mi za blisko dopuścić go do siebie" - pomyślał, gdy uwolnił się z jego rąk. Wyrwanie się z łap Garmana kosztowało go wiele wysiłku. Aż osłabł. Odskoczył dalej, aby ochłonać.

**- Podejdź no bliżej, ptaszku!
- zawołał Garman nieco zdumiony szykując się do nowego skoku. -
Wybiła już pańska ostatnia godzina!**

Roger szukał wzrokiem słabej

strony w postawie przeciwnika. Wreszcie uderzył w szczękę nieprzyjaciela i odskoczył na bok. Za chwilę jak żbik spadł na Garmana i wymierzył mu potężny sierpowy w brzuch, po czym znów umknął w tył. Garman pozostał jednak niewzruszony jak skała. Pięść Rogera trafiła go wprawdzie w usta, krew ściekała mu z warg, mimo to nie przestawał się uśmiechać.

- Szkoda pańskiego trudu - tłumaczył. - Nikt pana tu na tych bagnach nie znajdzie, a myszolowy czekają.

Po tych słowach zrobił wypad, lecz Roger sprytnie odskoczył i za moment jeszcze raz walnął Garmana w szczękę, i znów uciekł w bezpieczne miejsce.

- Myszolowy czekają, Payne - wznowił Garman swój jednostajny

**monolog. - Wielkie, głodne
myszołowy siedzą już tam, na
wierzchołkach cyprysów.**

**Roger prawie nie dosłyszał
ostatnich słów, albowiem Garman
rzucił się teraz na niego z**

**furią i począł go bez pamięci
okładać razami. W ataku tym obaj
przeciwnicy posunęli się aż na
skraj karłowatych gąszczy. Roger
dotknąwszy palcami ostrych liści
uskoczył niespodziewanie na
prawo. Jego ruch był tak
zręczny, że Garman nie mógł go
dosięgnąć, za to Roger chwycił
wpół swego rozwścieczonego
przeciwnika i zaczął głową walić**

w jego brzuch. Garman roześmiał się i

wbił pazury w przeguby rąk Rogera, po czym rzucił się na ziemię. Wobec tego musiał go Roger puścić.

Walka przeniosła się teraz na teren polany. Garman nie żałował przekleństw. Starał się przeciwnika zapędzić w gąszcze, lecz Roger robił wszystko, aby do tego nie dopuścić. Garman raz po raz powtarzał swe wypadki, a Roger tyleż razy wymykał się jego niebezpiecznym chwytom. Ilekroć nadarzała się sposobność, doskakiwał do przeciwnika i walił go bez pardonu.

Jego bezustanne wyzwiska zbywał milczeniem. Zdawał sobie sprawę, że jedyną możliwością ratunku, jaka mu pozostała, to

zmęczyć Garmana. Lecz skoro walka przedłużała się, a Garman nic nie stracił ze swej świeżości, przestał Roger ufać swym nadziejom. Mimo to był spokojniejszy niż poprzednio. Wiedział, że toczą walkę na śmierć i życie.

Nowy błysk złośliwości w oczach Garmana stał się dla niego ostrzeżeniem. Garman przystanął pozornie po to, żeby odsapnąć, w rzeczywistości jednak usiłował zniecka butem kopnąć Rogera w brzuch. Zaatakowany w porę odskoczył w bok, tak że dostał mu się tylko cios w biodro. I znowu cofnął się i kręcił w kółko na skraju polayn. A Garman chciał powtórzyć swój poprzedni manewr. Zbliżył się i koniec buta

wymierzył w kolano Rogera, lecz chłopak zorientowawszy się, co się święci, kopnął nogą stopę przeciwnika, zręcznie złapał ją i poderwał do góry, aż Garman z łomotem zwałił się na ziemię.

- Psie! - warknął wściekły Garman i zerwał się na nogi. Po czym skulony ruszył na Rogera jak rozjuszony byk. Walił na oślep, a mimo to uderzenia jego były celne i silne. Obrona Rogera niewiele pomagała. Daremnie starał się uniknąć nowych ciosów. Jeden z nich, wymierzony w czoło, rzucił go w środek palmowych zarośli. Jednak udało mu się wstać, zanim

przeciwnik dopadł do niego.

A Garman szalał wprost z wściekłości, że Roger tak długo stawia opór zachowując przy tym spokój. Chłopak przyznawał w duchu, że cudem tylko uniknął śmierci. Wiedział już, że nie wolno mu dopuścić do tego, by tamten po raz drugi rzucił go na ziemię. Serce biło mu jak młotem, a urywany oddech wydobywał się z jego szeroko otwartych ust.

Wreszcie i Garman się zmęczył. Wargi miał tak rozbite, że straciły swój zwykły kształt, oddychał ciężko; nierytmiczne, szybkie unoszenie się klatki piersiowej świadczyło o tym, że i jemu walka dała się we znaki. Rogerowi począł dokuczać silny ból w prawym kolanie. Przypomniwał sobie, że otrzymał w

to miejsce mocny cios. Teraz skutkiem tego jego ruchy stały się wolniejsze. Mimo że był w opłakanym stanie, wiedział, że będzie się bronić do ostatka.

Nagle odezwał się Garman.

- Zabrałeś mi dziewczynę, psie przeklęty, teraz odpokutujesz za to!

Nowe siły wstąpiły w Rogera. Uciekł się do podstępu. Gdy Garman zasłonił się od dołu, potężnym uderzeniem prawej ręki zdzielił go prosto w usta. Jego

cios był celny. Jeszcze raz spróbował wprowadzić przeciwnika w błąd, raz jeszcze zniemacka

prawą pięścią uderzył w pochyloną głowę Garmana. Udało mu się trafić, ale jednocześnie sam poważnie osłabł od tego ciosu. Nadwerężył sobie też prawą rękę.

Garman zaśmiał się. Krew ściekała mu po twarzy. Widząc osłabienie Rogera, rzucił się na niego. Ale Roger lewą ręką zatrzymał uderzenie. I nie zważając na to, że pozbawia się osłony, skierował ją w rozbite usta przeciwnika. Prawa ręka niestety dotkliwie go bolała, noga stawała się sztywna i ociężała. Mógł atakować i bronić się tylko lewą ręką. I ta nie ustawała w pracy.

Garman zaczął się wreszcie cofać. Roger bił bez opamiętania, a ilekroć Garman odpowiadał, uchylał się od

ciosu. Garman wyraźnie miał tego dosyć. Pragnąc skończyć walkę z dzikim okrzykiem rzucił się naprzód. Roger chciał uskoczyć w bezpieczne miejsce, gdy w tej samej chwili prawa noga odmówiła mu posłuszeństwa. Pośliznął się o coś twardego. Kątem oka dostrzegł strzelbę Garmana. Ale i Garman ją zauważył. W ostatnim wysiłku rzucił się Roger do przodu. Było już jednak za późno. Garman pochylił się, by podnieść broń. Z rozpaczą walczącego na śmierć i życie wymierzył Roger jeszcze jeden mocny cios. Lewa ręka z całą siłą wylądowała na karku Garmana poniżej ucha. Przeciwnik jęknął i padł na ziemię. Roger wyrwał mu strzelbę z ręki. Garman, leżąc, jak człowiek szalony śmiał mu się prosto w twarz.

**Roger odrzucił daleko broń i
zawołał:**

- Wstawaj! Walcz!

**Garman podniósł się i na
drżących nogach podszedł do
Rogera. Ten wywinął ręką i**

**celnym uderzeniem trafił go w
podbródek. Garman znokautowany
runął na ziemię i nie podniósł
się ze zbroczonego krwią piasku.**

XXXI

**W parę godzin później dotarł
Roger nad brzeg rzeki oddalonej
dość znacznie od domu Garmana.**

**Wędrował już długo bez celu,
unikał dróg, okrążał polany,
trzymał się cienistych, mało
uczęszczanych ścieżek dżungli jak
zranione zwierzę, które chce swe
rany ukryć przed jasnością dnia.**

**Ogarniała go coraz większa
radość na myśl o zwycięstwie nad
Garmanem. Lecz jakkolwiek
uważał, że Garman w tych
stronach jest skończony i że
nigdy nie odważy się więcej
odgrywać roli tyrauna, plon
zwycięstwa był dlań równocześnie
gorzki jak piołun. Czuł się
rozbity jak ktoś, kogo nagle
pozbawiono wszystkich iluzji i
nadziei. Garman miał rację.
Roger zbyt poważnie potraktował
marzenia, a teraz rzeczywistość
zerwała ze swego oblicza maskę
ułudy i ukazała mu bez osłonek
szarą, bezbarwną twarz.**

Słowa Garmana brzmiały mu jeszcze ciągle w uszach i zdawały się zeń szydzić. Garman poniósł klęskę, został pobity, a jednak zwyciężył. Pozostały jego słowa, które zadawały ból zwycięzcy. Roger nachylił się, by zaczerpnąć nieco wody ze strumienia, i odskoczył przerażony swym własnym wyglądem. Zobaczył obcą twarz. Pił z zamkniętymi oczyma, a potem zanurzył całą głowę w wodę. Ochłodzony i czysty ponownie zbadał swe oblicze w przezroczystej toni. Znikły ślady kurzu i walki, lecz jego twarz mimo to była strasznie zmieniona.

Nienawiść w jego oczach i cyniczny uśmiech dookoła ust

dowodziły, że to Garman go zwyciężył. Roger roześmiał się mimo woli, lecz pod wpływem własnego głosu wzdrygnął się przerażony. Odwrócił się i zataczając się na nogach znikł w ciemnościach dżungli.

A potem wrócił tam, gdzie walczył z Garmanem. Przeciwnika nie było. Minęło parę długich chwil, zanim Roger uświadomił sobie, jak bardzo go to rozczarowało. Przyszedł tu, by przyznać Garmanowi rację. Nie żywił już żadnej nienawiści do Garmana. To właśnie on odsłonił mu prawdę o życiu. Zamierzał usiąść w miejscu, gdzie jego przeciwnik runął na ziemię, ale

w pobliżu zauważył całkiem świeże ślady. Musieli więc tu niedawno być jacyś ludzie. Przypatrywał się śladom obojętnie, gdy wtem odkrył między nimi odcisnięte wyraźnie myśliwskie buty Higginsa. A potem zrobił nowe odkrycie i krew uderzyła mu do twarzy. W piasku zobaczył zarysowane odbicie kobiecego pantofla tenisowego. Ten szczegół przemawiał za obecnością Anetki.

Zorientował się wnet, że ślady dochodziły do polany. Bez wątpieniaa Higgins, Tygrys i Anetka nadeszli z tamtej strony. Domyślał się nawet, że biegli. A potem zauważył, że tropy rozpraszały się, zbaczały w różnych kierunkach, a następnie znowu pojawiły się w miejscu, gdzie Garman padł na ziemię.

Stąd prowadziły już wyraźnie ku posiadłości Garmana. Opodal widoczne były także inne kroki. Chyba podniesiono tu Garmana i odprowadzono do pałacyku.

Gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca zabarwiły wierzchołki palm, Roger skierował wzrok w stronę domu Garmana położonego w pobliżu jeziora. Ku swemu zdumieniu dostrzegł "Annę" spoczywającą w przystani. Higgins, Davis i

Tygrys stali w pobliżu pergoli i spoglądali na rezydencję. Naraz odwrócili się i znikli między drzewami. W tej chwili z domu

wyszedł Garman. Był obandażowany. Utykając ruszył do przystani. Obok niego szła Anetka. Opierał się na niej przez moment, lecz nagle zatrzymał się, z trudem, wysunął swe ramię i powiedział:

- Nie, na to nie mogę się zgodzić.

- Chcę tylko pana odprowadzić na pokład - wyjaśniła dziewczyna. - Jest pan jeszcze zbyt osłabiony, by iść bez oparcia.

Garman zachwiał się, lecz nie przyjął jej pomocy. Mówił powoli, a każde słowo przychodziło mu z widoczną trudnością.

- Musi pani wiedzieć, Aneto, że nawet będąc w takim stanie czuję upokorzenie, że to właśnie pani mi pomaga.

**- Nie powinien pan tak myśleć.
Zaśmiał się niewesoło.**

**- Zwycięska młodość jest
wspaniałomyślna wobec
pokonanego. Młodość zwyciężyła
i...**

**- Nie ma sensu, by to
ustawicznie powtarzać. Jest pan
ranny. Musi pan jak najprędzej
dostać się do lekarza.**

**- Czy lampart może się zmienić
w potulnego baranka? - zapytał.**

**- Nie, to niemożliwe. I on sam
tego nie chce. Jest i pozostanie
drapieżnikiem. Przed paru
minutami byłem osłabiony, teraz
jednak wracam do sił. Ale choć
odzyskuję siły, ja sam odchodzę.
Ja, silny mężczyzna, odchodzę,
by nie widzieć miejsca porażki i
aby o niej samej zapomnieć. Nie
zobaczy mnie pani nigdy więcej,
Aneto!**

To rzekłszy Garman zachwiał się, ale po chwili zaśmiał się cynicznie.

- Czy sądzi pani, że się zmieniłem?

Mógł mówić zaledwie szeptem. Zatoczył się, jak gdyby był pijany, z trudem złapał równowagę, lecz nie zaprzestał mówienia.

- Moja droga Anetko, proszę to sobie zapamiętać: ludzie się nie zmieniają. I pani jest tego najlepszym przykładem. Ani dzungla, ani palące słońce, ani nawet ja nie zdołałem pani zmienić. I choć ciało było

słabe, duch pozostał silny. Nie mam zamiaru obłudnie udawać, że pani zwycięstwo mnie cieszy. Wolałbym, aby mi się to udało. Teraz jednak odchodzę i chcę o pani zapomnieć. Jeśli pani lituje się nade mną, to zupełnie niepotrzebnie. W głębi duszy jestem zadowolony, że tak się stało. Moje interesy tutaj nie sprawiają mi już od dawna najmniejszej satysfakcji, działają mi tylko na nerwy.

Kulejąc zbliżał się do jachtu.

- Jeśli chodzi o Rogera, niech się pani nie martwi. Odnajdzie go pani. Zaufaj swemu instynktowi. Należy pani do kobiet, które potrafią odnaleźć przeznaczonego dla nich mężczyznę. Wierz mi, Anetko, Payne jest odpowiednim mężem dla pani.

Na skutek gwałtownego bólu musiał się zatrzymać.

- To prawdziwy mężczyzna. Rozumu nie ma może za wiele, ale i to wystarczy. Odpowiadacie sobie doskonale i myślę, że nikt was nie rozłączy. Choć niejedną walkę stoczycie jeszcze ze sobą, moje dziecko. Ten chłopiec wie, czego chce. A i pani nie należy do tych cichych dziewczątek, które schodzą z drogi. Lecz wasze wojny będą tylko zakamuflowanymi pieśczołami!

Stojąc już na brzegu odwrócił się jeszcze i zapytał:

- Poda mi pani rękę, Anetko, zanim odejdę?

- Ależ oczywiście - odparła i wyciągnęła dłoń. Lecz Garman

podążył dalej nie dotknąwszy jej nawet.

- Dziękuję pani. Chciałem się tylko upewnić - rzekł wchodząc z trudem na jacht.

"Anna" ruszyła natychmiast i odплыnęła w dół rzeki. Anetka towarzyszyła statkowi wzrokiem, dopóki nie znikł za pierwszym zakrętem. Gdy się potem odwróciła, spostrzegła zbliżającego się do niej Rogera i z jej piersi wyrwał się okrzyk wyzwolenia, szczęścia, miłości.

- Anetko! - szepnął.

- Zaczekaj - odparła. -

Chciałabym tylko coś wyjaśnić.

- Wiem o tym - rzekł i cofnął się o krok. - A co do Garmana, to...

- Wiem - przerwała mu. - To było straszne, lecz mówiono mi, że to nie ty zaatakowałeś pierwszy. Muszę ci powiedzieć o moim liście.

- Czy ma to jeszcze jakieś znaczenie?

- Owszem! Udałam się na Palm Island, by tam ostatecznie podjąć decyzję.

Spojrzał w jej rozpromienione, młode oczy i rzekł czule:

- I dobro zwyciężyło.

- Tak. I to jest właśnie takie piękne. Nie wiedziałam, czy mi się to uda. Garman był taki silny. Miał też poparcie mej rodziny. I ten jego magiczny wpływ. Zdawało mi się niekiedy, że kontroluje me myśli i uczucia. Lecz czy pamiętasz swe słowa, jakie wypowiedziałeś wówczas, gdy staliśmy wpatrzeni

**w siebie i prosiłam cię, abyś
odszedł, a Garman nas
szpiegował?**

**Spojrzał wnikliwie w jej oczy
i kiwnął głową:**

**- Powiedziałem wówczas, Kocham
cię!**

**- Tak. To ty mnie uratowałaś.
Zrozumiałam w owej chwili, jak
bardzo mnie kochasz. Przeczulałam
to zresztą już w Gumbo Key,
gdyśmy się po raz pierwszy**

spotkali.

**- To prawda - odrzekł. -
Kochałem cię od pierwszej
chwili.**

- I ja ciebie. Lecz wszystko

wydawało mi się takie nierealne. Myślałam zawsze, że miłość jest tylko marzeniem, choć do takiej właśnie tęskniłam. Obawiałam się, że wpływ Garmana zwycięży. Dlatego usunęłam się, aby wszystko przemyśleć, poznać samą siebie, swe uczucia. Wtedy się przekonałam, że ciągle myślę o tobie. Dlatego wysłałam ten list do niego. Obawiałam się jego reakcji, postanowiłam więc wprowadzić go w błąd, Chciałam... Nie chciałam, by był tutaj, gdy ty i ja...

- Nie rozumiem.

- Wprowadziłam go celowo w błąd, by móc iść do ciebie. Gdy on poszedł na Palm Island, pośpieszyłam do twego obozu, a potem szukaliśmy cię, Rogerze.

- Nie jestem cię wart, najdroższa - odezwał się i

przypadł do jej rąk.

**A gdy jej głowa skłoniła się
łagodnie na jego piersi, objął
ją szczelnie ramionami i trzymał
tkliwie jak odzyskany skarb.**